ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 3/630 2000

• « La Culture » • Revue mensuelle •

W. KIEŻUN: **CZTEREJ JEŹDŹCY APOKALIPSY POLSKIEJ BIUROKRACJI**

J. NOWICKI: **PRZESZŁOŚĆ I PERSPEKTYWY WSM**

A. KORASZEWSKI: **„KRZYWA DZWONOWA"**

M. WILK: **DEMOKRACJA PO RUSKU**

A. ENGELKING: **POLAK–KOŁCHOŹNIK**

SPIS RZECZY

Witold Kieżun:	*Czterej jeźdźcy apokalipsy polskiej biurokracji*	3
Jacek Nowicki:	*Przeszłość i perspektywy idei Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej*	13
Andrzej Koraszewski:	*„Krzywa dzwonowa"*	23
Krzysztof Czyżewski:	*Wariacje kosowskie (III)*	36
Mariusz Wilk:	*Demokracja po rusku (notatki na marginesie lektury)*	56
	WIERSZE	
Zbigniew Dominiak:	*Łyczakowska 55*	64
Leszek Szaruga:	*Umarli mówią – Wzrok*	65
Janusz Szuber:	*Krahla*	66
	KRAJ	
Krzysztof Wolicki:	*Wejście smoków*	67
SMECZ:	*Z ukosa*	76
Ewa Berberyusz:	*Kartki ze skażonej strefy*	96
	SPRAWY I TROSKI	
Anna Engelking:	*Polak–kołchoźnik*	107
Andrzej Stach:	*Radio Maryja zamiast „Słowa"*	119
	SĄSIEDZI	
Andrzej Stach:	*Kronika niemiecka*	121
	KRONIKA KULTURALNA	
Konrad W. Studnicki-Gizbert:	*Emigracja i kultura polska w świecie*	129
–	*Paryska Biblioteka Polska zmienia skórę*	132
–	*Nagroda ZŁOTE BERŁO*	134
–	*Nagroda „Przeglądu Wschodniego"*	135
	NOTATKI REDAKTORA	136
	KSIĄŻKI	
M. Broński:	*Krew i kukurydza*	142
Andrzej Skrendo:	*„Żebracze treny" Tadeusza Różewicza*	146
Mikołaj Tyrchan:	*Wizja Polski na łamach „Kultury" 1947-1976*	152
Ola Hnatiuk:	*Dedal i Ikar*	155
A.K.:	*Wyzwania XXI wieku*	161
–	*Wydarzenia miesiąca*	163
W.S. Adamus, J. Hejnar, ks. H. Hoser, E. Jastrzębska, J.E. Kleszczyński, M. Michniewicz, A. Koraszewski, J. Słubicki, K. Wolicki, K. Żaboklicki	*Listy do Redakcji*	166
A. Koraszewski:	*Sprostowanie*	175
–	*Odpowiedzi Redakcji*	176

W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec/Mars 2000

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr Wacław S. Adamus, Ingelheim (Niemcy) – po raz 14-ty – DM 100,00	F. 335,00
H.A. Arter, Podstaw (Australia) – po raz 6-ty	F. 270,00
Leszek Bednarski, Halifax (Kanada)	F. 400,00
Zdzisław Bobrowicz, Princeton, NJ (USA) – po raz 10-ty – dol. 100,00	F. 650,00
Maria Dąbkowska, Chicago, IL (USA) – po raz 4-ty – dol. 50,00	F. 325,00
Jerzy Drobiszewski, Canberra (Australia)	F. 600,00
Dr Stanisław Judek, Ottawa – po raz 24-ty – dol. can. 100,00	F. 460,00
Izabella Krasuska, Etobicoke ON (Kanada) – dol. can. 100,00	F. 460,00
Ewa i Jan Krok-Paszkowscy, Londyn – zamiast kwiatów na grób Krystyny Szomańskiej, zmarłej w Londynie 20 listopada 1999 r. – £. 25,00	F. 250,00
Ewa i Jan Lipieccy, Beaumont (Francja) – po raz 3-ci	F. 1.000,00
Dr Edward Majchrowicz, Cary, NC (USA) – dol. 10,00	F. 65,00
Volodymir Malynovytch, Vincennes (Francja)	F. 750,00
Renata i Witold Mikułowscy, Warszawa – zamiast kwiatów na groby państwa Langrodów	F. 270,00
Janusz Morkowski, Rapperswil (Szwajcaria) – po raz 8-my	F. 200,00
Bronisław Partyka, Port Orange, FL (USA) – po raz 18-ty – dol. 41,00	F. 266,00
Romuald Quas de Penno, Wilmington, DE (USA) – po raz 15-ty – dol. 34,00	F. 220,00
Prof. Henryk Ratajczak, Paryż – po raz 12-ty	F. 500,00
Stefan Henryk Rosé, Paryż – po raz 21-szy	F. 1.400,00
Zygmunt Sowa, Indian River, MI (USA)	F. 154,00
W piątą rocznicę śmierci Marii Topperman – Wojciech, Caroline i Noemi Topperman, Downsview ON (Kanada)	F. 400,00
Veronica i Tadeusz Żabowie, Ennet Baden (Szwajcaria) – pamięci Władysława Raczyńskiego, zmarłego 10 grudnia 1999 r. w Charleston Puy Bonnet, Francja	F. 500,00
Zamiast kwiatów na grób Brata, inż. K. Nowickiego, zmarłego w grudniu 1999 r. w Melbourne (Australia)	F. 200,00

DZIĘKUJEMY

DO PRENUMERATORÓW «KULTURY»

Od kilku tygodni dostajemy listy czy telefony od wielu naszych czytelników, zawiadamiające, że nie dostali ani grudniowego, ani styczniowo-lutowego zeszytu *Kultury*. Niektórzy dostali numer grudniowy razem z listopadowym. Wszystkich prosimy o wyrozumiałość – to wina poczty francuskiej, która ciągle strajkuje nie zawiadamiając o tym nikogo. Żadne reklamacje nie pomagają – chcemy wierzyć, że w bieżącym roku wszystko wróci do normy!

REDAKCJA

Czterej jeźdźcy apokalipsy polskiej biurokracji

Czterej jeźdźcy apokalipsy biurokracji to najpowszechniej występujące patologiczne zjawiska: gigantomania, luksusomania, korupcja i arogancja władzy.

1. Podstawową cechą procesu transformacji administracji publicznej jest systematyczny wzrost zatrudnienia, jego skala może być określana jako gigantyczna. Przypomnijmy, że administracja centralna w okresie od 1990 do 1998 roku włącznie wzrosła od 46 tys. do 126,2 tys. pracowników, jest to więc wzrost bez mała trzykrotny. Również daleko idące tendencje wzrostu wykazała samorządowa administracja gminna, która od 83,4 tys. pracowników w 1990 roku wzrosła w 1997 do 142,1 tys.

Zadziwiające jest, że ten gigantyczny wzrost administracji centralnej odbywał się w okresie przekształcania ustroju w wolnorynkowy, z rozwiniętym procesem prywatyzacji i radykalnego zmniejszenia państwowego sektora gospodarczego i przy oficjalnym głoszeniu idei pomocniczości i państwa obywatelskiego. Zadziwia również fakt, że kolejne zmiany koalicji partyjnych w niczym nie zmieniły tej tendencji.

Przykład czteroszczeblowej struktury organizacyjnej w Warszawie z 779 radnymi jest niewątpliwie swoistym negatywnym rekordem światowym.

112 ministerialnych stanowisk w rządzie, gigantyczna rozbudowa kancelarii prezydenta i kancelarii premiera, wreszcie reforma powiatowa tworząca parę tysięcy atrakcyjnych stanowisk i rozbudowująca poważnie liczebność admi-

nistracji publicznej, są dalszymi przykładami gigantomanii nieuzasadnionej skalą rozwoju gospodarczego (pierwsze dwa lata niepodległości to ujemny dochód narodowy, a jednocześnie wzrost administracji centralnej o 42,6 tys. pracowników). Stopień patologii organizacji i marnotrawstwa przekraczającego limity akceptacji społecznej jest tu wyjątkowo duży.

Podobnie przedstawia się sprawa budowy powiatów. Na tle struktur państw Unii Europejskiej przedstawionych w Europejskiej Tabeli Statystycznej II szczebla samorządu tzw. NUTS 3 polski powiat wygląda humorystycznie.

kraj	ludność w mln	II szczebel	ludność II szczebla w tys.
Belgia	10,7	43 arrondissements	248
Dania	5,25	15 amter	350
Francja	58	100 departements	580
Grecja	10,5	51 nomoi	206
Hiszpania	39,2	52 provincias	752
Holandia	15,5	40 COROP-regions	387
Niemcy	83,5	328 kreise	255
POLSKA	38,6	373 powiaty	103
Portugalia	9,8	30 grupos de concelnos	367
W. Brytania	58,8	65 counties (local authority regions)	900
Włochy	57,5	95 regions	605

W świetle porównania ze strukturami UE koncepcja polskiego powiatu jest zasadniczym odstępstwem od racjonalnej struktury podporządkowanej regułom sprawności. Typowy polski powiat ziemski to 30-tysięczne miasto i 50 tysięcy ludności w 8 gminach. Tą małą jednostką kieruje starosta, wicestarosta, 3 do 5 członków zarządu i 21-osobowa rada powiatu. W tym 30-tysięcznym mieście mamy jeszcze burmistrza i 23-osobową radę miejską. Majątek powiatu to majątek generujący koszty (szkoły, szpitale, domy pomocy społecznej). Powiat ma rażący niedobór środków własnych.

Nawet w małej Grecji II szczebel samorządowy obejmuje 206 tys. ludzi, Hiszpania, kraj mniej więcej o równej liczbie ludności co Polska, utworzyła II szczebel dla 752 tys. mieszkańców. Powiat w Polsce jest więc klasycznym przykładem

gigantomanii, rozbudowy nadmiernej ilości małych jednostek organizacyjnych.

2. Drugi jeździec apokalipsy biurokracji, luksusomania, przejawia się w wielu formach. Pierwsza podstawowa to skala zarobków związana z ostatnią reformą powiatowo-regionalną. Okazało się, że budowa nowej sieci powiatów, urzędów marszałkowskich, Kas Chorych i reformy służby zdrowia, zaowocowała nie tylko wysokim wzrostem zatrudnienia, ale i wysokim wzrostem uposażeń. Z podanych przykładów wynika, że średnie zarobki w nowych terenowych jednostkach samorządowych są o 50-60% wyższe niż w dawnych urzędach rejonów i obecnych państwowych urzędach wojewódzkich. Zarobki terenowej samorządowej kadry kierowniczej odpowiadają mniej więcej 60% uposażeń w Kanadzie, państwie o pięciokrotnie wyższym dochodzie narodowym na głowę niż mieszkańca Polski.

Dalsza forma luksusomanii to tradycyjne wydatki na luksusowe samochody, umeblowanie gabinetów, kilkudziesięcioosobowe oficjalne podróże służbowe do egzotycznych krajów: Arabii Saudyjskiej, Alaski, Australii, Meksyku, Afryki Południowej itd., budowa luksusowych budynków za pieniądze publiczne itp.

Najbardziej jednak dramatyczną oznaką luksusomanii jest marnotrawstwo w wykorzystywaniu nieoficjalnych funduszy pozabudżetowych, stanowiących 50,5% całości funduszy publicznych.

3. Trzecia typowa patologia to korupcja. Już wiele lat temu ustępujący burmistrz Gminy Centrum ujawnił, a ówczesny marszałek Sejmu Małachowski opublikował informację o niezwykłym skorumpowaniu samorządowego aparatu w Warszawie. Pisał, że rozpoczęcie procedury sprzedaży przez miasto działki ziemi na cele gospodarcze zaczyna się od ofiarowania mercedesa. Upowszechnienie korupcji w Polsce jest tajemnicą poliszynela.

Ostatnio opublikowany przez Transparency International raport (październik ubiegłego roku) wskazuje na poważny wzrost korupcji w Polsce. W rankingu 99 państw Polska spadła z 39 miejsca w roku 1998 na 44.

Szef polskiego oddziału TI prof. Kamiński twierdzi, że

„...oczywisty jest dla nas wpływ wprowadzonej niedawno reformy administracyjnej, który może spowodować dalsze pogarszanie się pozycji Polski w kolejnych latach" (Apanowicz, 1999). Sądzę, że ta opinia na tle obserwowanej zachłanności nowej nomenklatury samorządowej zademonstrowanej uchwaleniem, wręcz nieprzyzwoitych w polskich warunkach terenowych, uposażeń, może być uznana za trafną. Ci reprezentanci lokalnej społeczności, wybrani na zasadzie systemu proporcjonalnego, być może nie są ludźmi zasługującymi na zaufanie w kwestiach pieniężnych.

4. Typowa czwarta patologia biurokracji to arogancja władzy. Tutaj można by przedstawić masę przykładów. W sferze transformacji administracyjnej taką właśnie arogancją było w 1993 roku stwierdzenie Szefa URM, że „nie będzie się organizowało żadnej dyskusji nad projektem stworzenia powiatów, bo nie ukrywam, że chcemy tworzyć fakty dokonane. Rząd bierze tu pełną odpowiedzialność".

Tego rodzaju wypowiedzi o nieodpowiedzialności społecznej i braku potrzeby zasięgania opinii społecznej w realizacji najlepszej i jedynie słusznej koncepcji budowy powiatów było znacznie więcej. Cały zresztą proceder uniemożliwiania merytorycznej poważnej dyskusji z fachowcami na tematy reformy powiatowej był właśnie objawem tego typu patologii, która jest zaprzeczeniem otwartego obywatelskiego państwa.

Zupełny brak reakcji na dramatyczny i rzeczowy list otwarty grupy wysokiej rangi specjalistów w sprawie budowy powiatów świadczy również o upowszechnieniu się tej patologii organizacyjnej. W Kanadzie po ogłoszeniu listu otwartego w sprawie limitu wieku dla profesorów, jego autorzy zostali w ciągu dwóch dni zaproszeni do Prezesa Rady Ministrów w celu uzgodnienia toku działania. Paradoksalnie można stwierdzić, że na listy otwarte intelektualistów władza ludowa PRL reagowała negatywnie, ale natychmiast.

Synteza rozbieżności – teoria organizacji – praktyka transformacji

1. Brak wyjściowej koncepcji całości transformacji i administracji publicznej. Przy założonej decentralizacji brak ustalenia

kompetencji Centrum i Terenu oraz proporcji wielkości zatrudnienia. Przeprowadzanie reformy „po kawałku", bez świadomości jak będą wyglądać dalsze „części". Brak do tej chwili koncepcji struktury, wielkości i zakresu działania ministerstw i pozostałej w ramach administracji centralnej tzw. administracji specjalnej. Rażąca nieprofesjonalność projektowania.

2. Odrzucenie zasady pomocniczości przy budowie struktur organizacyjnych poprzez stałe, nieuzasadnione ani organizacją procesu pracy, ani skalą rozwoju gospodarczego, rozwijanie aparatu centralnego i zwiększanie dysproporcji pomiędzy wielkością aparatu centralnego i terenowego. Łączy się z tym również odrzucenie zasady inwigilacji czystej poprzez rozbudowę centralnych i terenowych jednostek administracyjnych o zadaniach nadzoru i kontroli nad jednostkami grupującymi zespoły fachowców.

3. Odrzucenie zasady płaskich struktur organizacyjnych i szerokiej rozpiętości kierowania poprzez budowę trzy- i czteroszczeblowej struktury organizacyjnej (Warszawa, oddziały urzędów wojewódzkich) i mnożenie stanowisk kierowniczych, a także poprzez mnożenie jednostek administracyjnych odniesionych do małej liczby mieszkańców (powiaty – średnio 103 tys. mieszkańców).

4. Konstrukcja powiatu niezwiązanego żadnymi więzami organizacyjnymi z gminą jest fikcją organizacyjną i jest sprzeczna z zasadą spójności megasystemu administracji publicznej. Fakt objęcia przez urząd powiatowy nadzoru nad jednostkami wyższego rzędu niż nadzorowane przez gminy, musi doprowadzić do faktycznej merytorycznej nadrzędności lub do konfliktu. Zasada komplementarności działań gmin i powiatu bez przewidzenia wzajemnych więzów organizacyjnych wydłuża obieg informacji i ewentualnej współpracy technicznej drogą poprzez urząd wojewódzki. Konfliktogenność zarządzeń porządkowych powiatu w stosunku do gminy przy braku więzi służbowej (nadrzędności). Niezrozumiałe odejście od konstytucyjnej zasady kontroli jedynie legalności działań samorządowych poprzez wprowadzenie prakseologicznego kryterium skuteczności.

5. Brak wyliczenia kosztów reformy powiatowej i kosztów utrzymania założonej struktury w precyzyjnych przedziałach *ca* 50 typów kosztów. Zupełne nieliczenie się z kosztami społecznymi.

6. W etapie reformy powiatowej brak równorzędnego rozważenia koncepcji alternatywnych poprzez wszechstronną i jawną ich analizę.

7. Brak opracowania kompleksowego planu nowoczesnej instrumentalizacji wielkiego systemu administracji publicznej w przedziałach czasowych i dostosowania go do struktur statycznych i dynamicznych.

8. Upolitycznienie całego procesu przeprowadzania reformy poprzez działania zespołów rządowych podporządkowanych władzy politycznej. Szeroka promocja polityczna tylko jednej koncepcji poprzez enuncjacje czynników politycznych i mediów uzależnionych od środowisk politycznych. Wybór najdroższego w kategoriach materialnych i moralnych wariantu. Stosowanie nieakceptowalnych metod dyskusji *ad personam* i metodyki „syndromu wroga".

9. Niezaradność wdrażania, brak pełnego i starannego przygotowania legislacyjnego, lokalowego, zaopatrzeniowego i osobowego.

10. Permanentna dezinformacja na etapie wdrażania reformy powiatowej, dotycząca kosztów, struktur, podziału administracyjnego.

11. Niedopracowanie struktury finansowej powiatów, uzależnionych od dotacji budżetowych, co ułatwia rozwój patologii klientylizmu.

Co robić?

Jak wynika z powyższych rozważań, cały proces transformacji administracji publicznej nie może być pozytywnie

oceniony w kategoriach organizacyjnych. Niewątpliwe upodmiotowienie gmin, które dokonało się w pierwszym etapie ideologicznego entuzjazmu po odzyskaniu niepodległości, było dokonane sprawnie i zgodnie z wszystkimi zasadami struktur demokratycznych. Jednakże już bardzo szybko ujawniła się infekcja biurokratyzacji, niepohamowanego rozwoju administracji. Wydaje się, że jest to znane zjawisko, szczególnie w nowo rozwijających się samodzielnych organizmach państwowych, szybkiego wykształcenia się oligarchii politycznej, zachłannego, bo świeżo dochodzącego do źródeł władzy politycznej środowiska, nastawionego na szybkie uzyskanie korzyści materialnych i ich utrzymanie w ramach nawet cyklicznej rotacji systemu ordynacji proporcjonalnej. Ta polityczna oligarchia rozwija się poprzez stałe zwiększanie aparatu biurokratycznego, tworzenie pozabudżetowych źródeł finansowania poprzez fundusze i agencje rządowe, stale pracując nad zwiększeniem zakresu swego działania w jednostkach administracyjnych. Ten fenomen tłumaczy gigantyczny wzrost administracji centralnej w Polsce, jak również *par force* przeprowadzonej reformy powiatowo-regionalnej, formującej dużą liczbę niezwykle atrakcyjnych stanowisk i wysoką przeciętną wynagrodzeń całego aparatu.

Zachłanna multipartyjna oligarchia polityczna nie jest oczywiście specyfiką polską, jest ona powszechnym zjawiskiem. Tak właśnie rozwinęły się najbardziej zbiurokratyzowane i niezwykle rozdęte administracje Belgii i Francji. Mimo dużych różnic światopoglądowych, cała kadra polityczna była tam zgodna co do stałego rozrostu stanowisk i osobistego rozwoju materialnego poprzez działalność polityczną i administracyjną.

Te horrendalnie rozdęte biurokracje jakoś funkcjonują, bo zarówno Francja jak i Belgia dorobiły się na eksploatacji bogatych w surowce koloniach zamorskich. W tej chwili próby reform są wręcz niemożliwe, ale wysoki standard życia utrzymuje się, bo jest stara, olbrzymia baza kapitałowa. Podobne procesy miałem możność obserwowania w Afryce, z tym że tam dokonywały się przesunięcia w drodze zamachów stanu i wymordowania konkurentów do obfitego stołu administracji.

W świetle tych refleksji historycznych nie można się

dziwić istniejącej sytuacji w Polsce, ale nasza Ojczyzna, jako biedny kraj na dorobku, na tego rodzaju olbrzymią i drogą biurokrację i wszystkich jeźdźców apokalipsy nie może sobie pozwolić. Należałoby więc zaproponować w ramach prakseologicznej teorii organizacji i zarządzania program działań usprawniających, nie zapominając o jej aksjologicznych założeniach bazujących na „ogólnohumanistycznym systemie wartości *fair play*, odniesionym do kryterium sprawności i całego arsenału prakseologicznych ocen zgodnych z założeniami etycznymi."

Nie jestem przekonany o możliwości dokonania autentycznej sanacji, ponieważ poza mniejszościowymi grupami politycznymi istnieje zdecydowana większość, wykazująca solidarność w działaniach korzystnych materialnie.

Wydaje mi się, że kluczowe założenia sanacji polskiej administracji publicznej dadzą się ująć w następujących punktach:

1. Wprowadzenie do wszelkiego typu wyborów modelu ordynacji większościowej w małych okręgach wyborczych z demokratyczną zasadą zwycięstwa tego kto uzyskał większość głosów. Realizacja zasady większości wymagałaby również wzorem Belgii i Australii wprowadzenia obowiązku głosowania. W chwili obecnej do rad terenowych głosuje *ca* 30, albo i dużo mniejszy procent uprawnionych, mamy więc wszędzie rządy mniejszości, co oczywiście jest dalszym dowodem na upowszechnioną „fikcję organizacyjną" i działaniem „na niby".

2. Powołanie apolitycznego multidyscyplinarnego zespołu wysokiej klasy fachowców z zadaniem opracowania reformy centrum, z założeniem radykalnego zmniejszenia zarówno aparatu ministerstw jak i aparatu administracji specjalnej już przekazanego terenowi. Zespół ten musiałby wreszcie doprowadzić do precyzyjnego określenia zadań ministerstw, minimalizując ilość wszelkiego typu zezwoleń gospodarczych. Docelowo należałoby dążyć do powrotu do punktu wyjścia, a więc zatrudnienia w ostatnim roku istnienia PRL. Realizacja tego DOWNSIZING musi być oczywiście rozłożona czasowo, ale w ciągu jednego roku taki plan w paru wariantach powinien być gotowy.

3. Dokonanie gruntownej kontroli finansowej funkcjonowania państwowych agend i funduszy celowych i wprowadzanie tam systemu rygorystycznej kontroli sejmowej na zasadzie kontroli budżetowej z jednoczesnym rozważeniem celowości dalszego ich utrzymania.

4. Permanentne prowadzenie spektakularnej akcji antykorupcyjnej z szerokim odzewem w środkach masowego przekazu poprzez:
a) wprowadzenie amerykańskiej metody immunitetu formalnego, tj. zwolnienia od odpowiedzialności karnej dającego łapówkę, za cenę złożenia wyczerpujących zeznań umożliwiających ukaranie biorącego łapówkę,
b) aranżowanie legalnej prowokacji dawania łapówki przede wszystkim w stosunku do wyższych stanowisk służbowych,
c) bieżącego, stałego nagłaśniania w prasie, TV i radiu wszelkich afer łapówkowych i surowego karania winnych.

5. Opracowanie wieloletniego planu zracjonalizowania struktur administracji terenowej. Uczestnik duetu twórców idei powiatów: b. wiceminister MSWiA Jerzy Stępień oświadczył (*Tygodnik AWS* 18. 1. 1998): „kiedyś będą dwa szczeble administracji, to znaczy znikną gminy na rzecz powiatu. Można się wycofać z bezpośredniego kontaktu z obywatelem. Tak władza publiczna wycofuje się z pierwszego szczebla administracyjnego, a zostaje na drugim i trzecim". Okazuje się, że współtwórca struktury trójszczeblowej też widzi racjonalność dwuszczeblowej, tylko że według założeń Europejskiej Karty Samorządu Lokalnego „Kierowanie sprawami publicznymi powinno, ogólnie rzecz biorąc, należeć do tych organów władzy, które są najbliżej obywatela", a więc nie gmina, ale powiat jest kandydatem do likwidacji. Polski powiat, niewątpliwie rażący swoją wielkością na tle struktur krajów Unii Europejskiej, nie da się długo utrzymać. Drugi szczebel, o ile w ogóle jest potrzebny przy istnieniu związków gmin, to maksimum 100 jednostek.

6. Opracowanie długofalowego, precyzyjnego planu globalnej komputeryzacji i instrumentalizacji administracji

publicznej i systematyczne wprowadzanie go w życie w przedziałach corocznych.

7. Ustalenie limitów proporcji uposażeń we wszystkich organach państwowych i samorządowych, i wprowadzenie reżimu oszczędnościowego w zakresie elementów luksusomanii: samochody służbowe tak jak we Francji tylko produkcji krajowej, radykalne zmniejszenie wszelkiego typu wydatków reprezentacyjnych. Spektakularna propaganda w stylu „ciułamy bo jesteśmy na dorobku". Wykpienie nowobogackiego „syndromu mercedesa". Wzorowanie się na kanadyjskim stylu eleganckiej skromności, oszczędzania środków publicznych.

8. Zakaz łączenia jakichkolwiek kierowniczych stanowisk administracyjnych z inną pracą i działalnością gospodarczą poza pracą naukową i dydaktyczną. To samo powinno dotyczyć posłów i senatorów. Zakaz ten dotyczyłby również członkostwa w radach nadzorczych.

9. Konsekwentny rozdział władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej. Oddzielenie Prokuratury Generalnej od Ministerstwa Sprawiedliwości. Zakaz łączenia stanowisk rządowych ze stanowiskiem posła czy senatora.

10. Wstrzymanie działania ustawy o Służbie Cywilnej do czasu zakończenia akcji DOWNSIZING. Przeanalizowanie listy stanowisk, w stosunku do których może być zastosowana koncepcja służby cywilnej.

11. Weryfikacja systemu kształcenia kadry administracyjnej pod kątem radykalnego zwiększenia problematyki organizacji i zarządzania, analizy organizacyjnej, technik badania organizacji, informatyki w administracji itd.

Witold KIEŻUN

Przeszłość i perspektywy idei Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej

Stan zaspokojenia potrzeb mieszkaniowych w Polsce właściwie przestał stanowić przedmiot dyskusji. Wiadomo, że mieszkań buduje się za mało, około 5 razy mniej niż w połowie lat siedemdziesiątych, i to, co się buduje, jest przy obecnych dochodach dla przeciętnych rodzin niedostępne. Temat ten jednak jest poruszany głównie w okresach wyborów, a następnie szybko znika z pola widzenia polityków świadomych faktu, że nadany już kierunek zmian ustrojowych nie daje możliwości efektywnych rozwiązań tego problemu. Realizowana polityka powiększania zróżnicowania dochodów i statusu, oraz stratyfikacji społeczeństwa, prowadzić musi nie do zmniejszania, a do powiększania napięć w tej dziedzinie.

Podobnie dzieje się z rozwojem miast, czyli w dziedzinie z budownictwem mieszkaniowym ściśle związanej – także i tu widoczne jest odżegnywanie się od odpowiedzialności ze strony zarówno państwa, jak i samorządów, za zagospodarowanie i kształt przestrzenny miast.

Natomiast w opinii publicznej narasta krytyczny stosunek do zjawisk w tej dziedzinie. Ludzie już przyjęli do wiadomości, że o nabyciu czy wynajmie mieszkania myśleć mogą tylko nieliczni, ale trudno sądzić, że ich stan taki zadowala. Ale coraz częściej słyszy się też bardzo krytyczne opinie o tym, co powstaje w miastach. Widoczny jest fakt dużego ruchu budowlanego. W Warszawie powstaje dużo nowych budynków

(głównie biurowych) o wysokim, nigdy tu nie spotykanym standardzie technicznym. Ale ich relacja z otoczeniem budzi najczęściej nie zachwyt, a przerażenie. Powstaje gigantyczny śmietnik, wręcz groźny dla obrazu i tożsamości miasta. To samo dotyczy formy samych budynków (głos narodu wyróżnia tu dwie kategorie: „Pałac Gargamela" – budynek mały lub duży, ale zawsze nadzwyczaj ozdobny, jak z Disneylandu, oraz biurowiec ze szkła i aluminium, obowiązkowo z półokrągłą, wypiętą „pupą"). Takie budynki mogłyby powstać (i zresztą powstają) gdziekolwiek, w dowolnym miejscu i mieście, czy kraju. Wszędzie będą jednakowo obce.

Ponieważ od 60 lat budownictwo mieszkaniowe i urbanistyka były przedmiotem mojej działalności zawodowej i zainteresowań, bardzo często rozmaite osoby zgłaszają pod moim adresem o to pretensje. Nie czuję się winien – zawsze, o ile mogłem, sprzeciwiałem się tym postawom i poglądom, które teraz dominują. Niemniej uważam, że mogę próbować wyjaśnień. Dodatkowy motyw podjęcia takiej próby stanowi fakt, że od 6 roku życia (czyli od 1927 roku) miałem kontakt ze środowiskiem szczególnym – z Warszawską Spółdzielnią Mieszkaniową i zespołem instytucji z nią związanych. Najpierw jako dziecko, żyjące w tym środowisku, a więc poddane jego wpływom, w czasie okupacji jako *in spe* architekt – praktykant i technik w Pracowni Architektonicznej i Urbanistycznej związanej z WSM i prowadzącej studia teoretyczne, przygotowujące odbudowę miasta po wojnie na nowych zasadach, a później, jako architekt, próbujący kontynuacji tych idei i zasad, które w tym środowisku powstały. Wypada mi więc zacząć od ich opisu i historii ich rozwoju.

●

Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa była instytucją, która w historii polskiego budownictwa mieszkaniowego odegrała szczególnie istotną rolę. W jej Statucie zapisano dwa cele. Pierwszym z nich było „dostarczanie i wydzierżawianie członkom tanich i zdrowych mieszkań drogą samopomocy zbiorowej, oraz przy pomocy instytucji państwowych, komunalnych i innych". Chodziło przy tym o mieszkania określone znacznie później, bo w r. 1937, na I Kongresie Mieszkaniowym, jako „Mieszkania społecznie najpotrzebniejsze" – powszechnie dostępne dla ludzi utrzymujących się z własnej pracy.

Wagę społeczną tego celu wyznaczała sytuacja mieszkaniowa w miastach polskich w dwudziestoleciu międzywojennym: przeszło 66% zasobu mieszkaniowego stanowiły mieszkania jedno- i dwuizbowe, o zaludnieniu 4 osoby na izbę, tylko13% budynków skanalizowanych, a 16% wyposażonych w wodociąg. Dominowała przy tym zabudowa zwarta, intensywna, w której znaczna część mieszkań pozbawiona była dostępu słońca, możliwości przewietrzania, a znaczne obszary miasta były w ogóle pozbawione zieleni. Stan ten był względnie stabilny. Mechanizm gospodarki rynkowej, w którym mieszkanie jest towarem, sprawiał, że budowano przede wszystkim mieszkania większe, dostępne dla dość wąskiej warstwy ludzi zamożniejszych i budowano ich niewiele. W najlepszym dla inwestycji roku – 1937 zbudowano w miastach 38 tys. mieszkań, w najgorszym – 18,2 tys. mieszkań. Dla ułatwienia zrozumienia tych liczb podać wypada, że w roku 1978 oddano do użytku 250 tys. mieszkań, z tego w miastach 180 tys.

Jednak obraz miasta utrwalony w pamięci społecznej tworzyło śródmieście i niektóre zamożniejsze dzielnice, a nie takie rejony jak Powiśle, Wola, Targówek czy Marymont. Stąd często dziś wypowiadane opinie o przedwojennej Warszawie – że była miastem wspaniałym, Paryżem Północy.

Drugim celem wymienionym w Statucie WSM było: „zaspokajanie wspólnymi siłami kulturalnych potrzeb członków". Statut przewidywał tu, że Spółdzielnia prowadzić będzie „różne przedsięwzięcia gospodarcze, oparte na współdziałaniu zrzeszonych (...), organizować odczyty i zgromadzenia (...), wydawać książki i broszury (...), ogniskować życie kulturalne zrzeszonych przez organizowanie przedsięwzięć kulturalnych i wychowawczych jak ochronki, świetlice, biblioteki, czytelnie (...), odczyty, koncerty ... itp."

Nie mniej istotny zapis Statutu stanowił że: „Spółdzielnia powstaje na czas nieograniczony" – czyli, że przewiduje się ciągłość działalności, pozwalającą na gromadzenie i korygowanie doświadczeń.

W stosunku do celów, które wyznaczały sobie inne orga-

nizacje budujące mieszkania (jak ZUS) drugi wymieniony w Statucie zespół celów odróżniał od nich WSM w zasadniczy sposób. Oznaczał on zamiar stopniowego budowania całego środowiska społecznego, opartego na współdziałaniu mieszkańców i organizowaniu sobie przez nich warunków tego życia. W okresie międzywojennym dysproporcje między rynkowym kosztem mieszkania a dochodami znacznej części ludności były zjawiskiem normalnym. Powodowało to powstawanie programów pomocy kredytowej i finansowej dla ekonomicznie słabszych rodzin. Było tak w Niemczech w okresie Republiki Weimarskiej, Austrii, a zwłaszcza w krajach skandynawskich. W Szwecji rozwinęło się budownictwo spółdzielcze, którego organ koordynacyjny stanowił Związek Krajowy H.S.B. Istotnym elementem w motywacji była tendencja do wyrównywania różnic społecznych, do budowania społeczeństwa egalitarnego. Nie był to jednak jedyny rodzaj motywacji. W latach trzydziestych w USA wydano „Public Housing Act", na mocy którego powstał rozległy program subsydiowanego budownictwa mieszkaniowego. W tym akcie prawnym znajduje się zapis wymagający, by mieszkania w jego ramach budowane były „bezpieczne, higieniczne i przyzwoite" (*safe, sanitary and decent*) – ale że celem budowania tych mieszkań jest uniknięcie szkód, które mógłby ponosić ogół obywateli wskutek istnienia sąsiedztwa obszarów nędzy i przestępczości. Zawiera się w tym przekonanie o nieuchronności stratyfikacji społeczeństwa (i miasta), a dalej także zamiar tworzenia substancji miejskiej nowej, lecz już w założeniu gorszej, dla obywateli drugiej kategorii. W rezultacie o ile w Szwecji charakter miasta i jego dzielnic mieszkaniowych określa zabudowa spółdzielcza, w wielkich miastach USA rejony Public Housing wyróżniają się *in minus* w stosunku do reszty miasta.

Podobny rodzaj motywacji w WSM był nie do pomyślenia. Mimo konieczności sprostania wymaganiu dostępności mieszkań, a więc niskiego ich kosztu i bardzo skromnego standardu, osiedla WSM wyróżniały się w stosunku do przeciętnej zabudowy wielorodzinnej, współcześnie powstającej, starannym zagospodarowaniem dziedzińców z dużą ilością zieleni i placykami zabaw dla dzieci i dobrym ich utrzymaniem.

Pierwsze mieszkania WSM oddała do użytku w roku 1927 – w całym okresie międzywojennym powstało na Żoliborzu osiedle o 1380 mieszkaniach. Rozpoczęte osiedle na Rakowcu liczyło w roku 1939 – 293 mieszkania. Ilościowo, w stosunku do liczby mieszkań zbudowanych w Warszawie, nie jest to wiele. Ale też działalność WSM nie mogła doprowadzić do zasadniczej zmiany sytuacji mieszkaniowej – mogła jedynie zwrócić uwagę na problem, jego istnienie i narastanie. Dało to we współdziałaniu z takimi instytucjami jak Polskie Towarzystwo Reformy Mieszkaniowej cały ruch spółdzielczy i związki zawodowe, efekt w postaci powołania w połowie lat trzydziestych Towarzystwa Osiedli Robotniczych i zaangażowania państwa i jego polityki kredytowej w problemy budownictwa mieszkaniowego.

Ambicją twórców WSM było przede wszystkim wypracowanie wzorów i metod organizowania życia mieszkańców w lokalnej społeczności, stymulowanie ich współdziałania, pobudzanie inicjatywy dla kształtowania form życia społecznego na swoim terenie. Równolegle z budowaniem mieszkań oddawano do użytku pomieszczenia służące rozbudowywanym stale instytucjom i placówkom, stanowiącym jak to wówczas określano „Koncern WSM" – zespół wzajemnie powiązanych ale odrębnych samorządnych organizacji. Wymienić tu trzeba Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, prowadzące poradnię zdrowia, kuchnię mleczną, przedszkole, szkołę, a w późniejszych latach gimnazjum, dalej świetlicę, sale ciszy, warsztaty, czytelnię i wypożyczalnię, itp. Stowarzyszenie Lokatorów „Szklane Domy" prowadziło działalność samopomocową i rozbudowaną działalność kulturalną. W jej ramach funkcjonowała biblioteka z wypożyczalnią książek i czytelnią (przez wiele lat jedynymi w całej dzielnicy), prowadzono odczyty, działalność klubową, kursy i różnego rodzaju pracownie artystyczne. Tu powstał działający do dziś, teatr kukiełkowy „Baj". Sieć sklepów spółdzielczych, pralnia i kąpielisko, ośrodek ogrodniczy prowadzący konserwację zieleni, Warszawska Spółdzielnia Księgarska i Bank Spółdzielczy wchodziły w skład zespołu urządzeń handlowo-usługowych. W Osiedlu Żoliborskim miało swoją siedzibę Społeczne Przedsiębiorstwo Budowlane. W całym zasobie budowlanym WSM instytucje takie zajmowały około 10% powierzchni użytkowej.

Wszystkie te instytucje, otwarte również dla mieszkańców Żoliborza spoza WSM oddziaływały na całą dzielnicę i w

znacznym stopniu stanowiły o jej charakterze. Uznanie dla postaw tu wykształconych i dla „Żoliborskiego socjalizmu" było częste również w środowiskach dość odległych ideologicznie. Organizatorzy i działacze WSM wywodzili się z kręgów lewicy, głównie z PPS, ale ich działalność w Spółdzielni była niezależna od działalności politycznej, podobnie jak struktury organizacyjne całego koncernu WSM były niezależne od struktur politycznych czy ideologicznych wszelkiego rodzaju. Dla uniknięcia sporów, w Statucie Stowarzyszenia Lokatorów „Szklane Domy" umieszczono zapis o zakazie prowadzenia na jego zebraniach dyskusji na tematy polityczne i religijne.

Działalność budowlana WSM przekraczająca skalę budowy jednego domu mieszkalnego, czy zabudowy jednej działki, zmuszała do bliższego zainteresowania się problemem charakteru i struktury zabudowy w mieście, czyli problemami urbanistyki. WSM poszukiwała w tej dziedzinie współpracy z możliwie najlepszymi projektantami w kraju, i kontaktu z ośrodkami myśli urbanistycznej poza jego granicami. Już w projekcie pierwszej kolonii przy placu Wilsona przyjęto zasadę segregacji ruchu – niedopuszczania ruchu pojazdów do wnętrza dziedzińca stanowiącego przestrzeń wypoczynkową bezpieczną dla dzieci. Zasada ta (będąca w tym czasie w Polsce ewenementem) była potem konsekwentnie przestrzegana w całym osiedlu. Była to ta sama zasada, którą w zbliżonym czasie, w USA zastosował Clarence Stein w Radburn w zabudowie jednorodzinnej, a współpracujący z nim Henry Wilson przeniósł ją do zabudowy wielorodzinnej. Równocześnie z opublikowaniem przez Clarence Perry'ego w roku 1927 koncepcji „Jednostki Sąsiedzkiej" budowano Osiedle Żoliborskie będące w istocie realizacją podobnej idei. W tym samym czasie kiedy na Zachodzie propagowano luźną, umożliwiającą dostęp słońca i przewietrzanie zabudowę – na Żoliborzu przekształcano z inicjatywy WSM fragment planu regulacyjnego w rejonie obecnej ulicy Suzina w tym właśnie duchu. Osiedle na Rakowcu oparte jest o tę samą dość rygorystycznie zastosowaną zasadę, co w owym czasie w Warszawie było zupełną nowością. Działalność WSM na polu urbanistyki i architektury była wpisana w nurt myśli europejskiej w tej dziedzinie. Poszukiwano również możliwie efektywnych, nowoczesnych rozwiązań problemów technicznych – Osiedle Żoliborskie, ogrzewane z jednej kotłowni, było pierwszym i jedynym w Warszawie przypadkiem ogrzewania zdalaczynnego. Okres okupacji, kiedy ruch budowlany ograniczył się do remontów i zabezpieczania substancji ocalałej po bombardowaniach, a działalność społeczna koncentrowała się na ochronie ludzi i instytucji, był też czasem porządkowania i podsumowywania doświadczeń oraz przygotowywania się do działania po wojnie. Na terenie „Koncernu WSM" powstały ośrodki opracowujące projekty i studia dla przyszłej odbudowy oraz studia teoretyczne na temat urbanistycznych struktur zabudowy mieszkaniowej. (Pracownia Architektoniczna i Urbanistyczna SPB). Z tego dorobku po wojnie czerpało w znacznej mierze inspirację Biuro Odbudowy Stolicy. Równocześnie wszystkie instytucje grupujące się wokół WSM stanowiły punkt oparcia dla bardzo dużej liczby osób ukrywających się przed władzami okupacyjnymi ze względów politycznych bądź też ze względu na pochodzenie.

Pierwsze trzy lata po wojnie to okres ekspansji zarówno WSM i instytucji z nią związanych jak i propagowanych przez nią zasad budowania osiedli... Na podstawie studiów prowadzonych w czasie okupacji przez B. Brukalską ukończone zostaje osiedle na Żoliborzu z domem społecznym stanowiącym jego centralny obiekt. Spółdzielnia podejmuje realizację osiedla na Kole – projekt ten opracowywali jako teoretyczne studium H. i S. Syrkusowie. Powstaje osiedle na Mokotowie, również wykorzystujące zasady wypracowane w czasie okupacji. Tym samym rozszerzył się bardzo zakres i skala działania nie tylko samej spółdzielni, ale i wszystkich powiązanych z nią instytucji.

Trudno dziś powiedzieć jak to powiększenie zakresu wpłynęłoby na ich dalsze funkcjonowanie, gdyby sytuacja polityczna nie zmieniła się zasadniczo po roku 1948. Ale w tym właśnie roku w ramach przystosowywania ustroju kraju do wzorów z ZSSR – podobnie jak w innych krajach na wschód od Łaby, rozpoczęto likwidację wszystkich form samorządności. Samorządy miejskie zastąpione zostały przez aparat państwowy, a całą działalność spółdzielczości mieszkaniowej w zakresie inwestowania przejął Zakład Osiedli Robotniczych będący również instytucją państwową, działającą w całym kraju. Tym samym, cały ogromny obszar działal-

ności „oddolnej", samorządowej, miał teraz przejąć scentralizowany aparat państwa.

Decyzje te były dla najistotniejszej części „idei WSM", mianowicie idei wyzwalania inicjatyw samorządnej zbiorowości, niszczące. Ale pozostała, wychowana w WSM kadra, która przeniesiona w części do aparatu państwowego, przeniosła też elementy doświadczeń i dorobku WSM do praktyki inwestycyjnej tego aparatu. W projektowaniu urbanistycznym i architektonicznym nastąpił znaczny regres mającego swe źródła polityczne przymusowego wzorowania się na przykładach importowanych z ZSSR.

Po roku 1956 nastąpił kolejny zwrot w polityce państwa a w związku z tym odrodzenie spółdzielczości mieszkaniowej, i nawrót do tych zasad, które stanowiły dorobek przedwojenny, studiów okresu okupacji oraz paruletniej praktyki lat 1945-48. Z jedną jednakże i to bardzo istotną różnicą. Nie pojawił się już nigdy układ organizacyjny instytucji powiązanych ze sobą samorządnych, działających na jednym terenie, na rzecz jednej społeczności i pod jej kontrolą. Szkoła, przedszkole, działalność kulturalna, handel i usługi, stanowią teraz odrębne obszary działania, zarządzane niezależnie jeden od drugiego, w układzie hierarchicznym, państwowym. Z idei propagowanych przez WSM pozostała jedynie „kompleksowość" – to znaczy zasada wyposażania zespołów mieszkaniowych we wszystkie niezbędne urządzenia społeczno-usługowe. Ale odrodziły się dyskusje na tematy merytoryczne i poszukiwania nowych, dostosowanych do nowej sytuacji rozwiązań programowych i projektowych. Z tego też okresu pochodzą najlepsze pod względem projektowym i najpełniejsze programowo osiedla WSM (Sady Żoliborskie, Rakowiec, Zatrasie) a także wiele osiedli inspirowanych tą samą myślą urbanistyczną (Bielany, Osiedle Młodych na Grochowie).

Okres ten nie trwał długo. Na początku lat sześćdziesiątych pojawiły się pierwsze próby ograniczania roli inwestora. W imię usprawniania procesu budowy i oszczędności w roku 1964 nastąpił kolejny zwrot w polityce państwa, polegający na odebraniu gestii inwestorom (a więc i spółdzielniom) w zakresie projektowania zespołów mieszkaniowych, i przekazanie jej przedsiębiorstwom budowlanym, odpowiedzialnym przed władzami przede wszystkim za wybudowanie

określonej liczby mieszkań. Zapoczątkowało to proces eliminowania budownictwa usługowego i doprowadziło do spadku jakości projektów a w krótkim czasie do dominacji technologii wielkopłytowej, dla wykonawcy najwygodniejszej, ale też i bardzo kosztownej. Zwłaszcza jeżeli rozważać koszty społeczne które wywołuje niedostosowanie inwestycji do potrzeb i miejsca budowy. W dalszym ciągu następował spadek jakości technicznej nowych budynków. Definitywne załamanie nastąpiło około roku 1978 – od tego czasu spada również liczba corocznie oddawanych do użytku mieszkań zbliżając się (w przeliczeniu na tysiąc mieszkańców rocznie) do wskaźników z okresu międzywojennego.

Z końcem lat osiemdziesiątych państwo wycofuje się ze wspierania budownictwa mieszkaniowego. Mieszkanie uzyskuje z powrotem charakter towaru poddanego mechanizmom rynkowym, towaru z racji ceny niedostępnego dla znacznej części społeczeństwa. Pogarszająca się sytuacja mieszkaniowa stanowiła przed laty przedmiot wstydu i powód krytyki – teraz bywa przedstawiana jako zwycięstwo wolności wyboru warunków mieszkaniowych, ograniczonej jedynie – posiadaniem pieniędzy.

Redukuje się także wpływ państwa i gmin miejskich na kształtowanie miasta i jego przestrzeni. Planowanie przestrzenne i urbanistyka są coraz częściej traktowane jako instrument umożliwiający handel terenami, a kształt miasta staje się wypadkową działań inwestycyjnych, mających na celu jedynie interes własny. Oznacza to regres całej ogromnej dziedziny działalności społecznej, a w dalszych skutkach prowadzi do swoistego regresu w świadomości. Symbolicznym wręcz jego świadectwem w samej spółdzielni noszącej jeszcze nazwę WSM jest likwidacja „Izby pamięci WSM", gdzie przechowywane i gromadzone były dokumenty z jej historii, ponieważ przedsiębiorstwa komercyjne mogą zapłacić za wynajem lokalu (czyli jednego pokoju). Lata powstawania i rozwoju WSM, charakter jej działalności społecznej, trwają już tylko w pamięci pewnej liczby ludzi starych i w kształcie zbudowanych osiedli, z których historyk będzie mógł próbować coś odczytać.

Historia zatoczyła wielkie koło, i jesteśmy dziś w punkcie dziwnie bliskim punktu wyjścia pod wieloma względami, choć przecież innym. Najwyższa pora na wnioski. Może ich być wiele – ale wniosek generalny wydaje się jeden i zawarty jest

w przytoczonych na początku punktach wstępnych Statutu WSM, mówiących o potrzebie budowania mieszkań powszechnie dostępnych i organizowania oraz stymulowania współdziałania mieszkańców w tworzeniu godziwego środowiska społecznego. Ale problem dysproporcji w warunkach mieszkaniowych rodzi się zawsze zarówno w takiej gospodarce, w której mieszkanie jest towarem, jak i w takiej, w której jest dobrem reglamentowanym, centralnie wydzielanym. Nie może on też zostać rozwiązany w tych systemach gospodarki tylko środkami technicznymi czy organizacyjnymi. Stanowi bowiem tylko jeden z odcinków znacznie szerszego problemu podmiotowości społeczeństwa i celów jakie sobie ono stawia, oraz jego samoorganizacji. Bez choćby tylko ogólnie zarysowanej koncepcji tych celów, bez uruchomienia wyobraźni społecznej i poczucia odpowiedzialności, ani w dziedzinie tworzenia godnych człowieka warunków mieszkaniowych, ani w budowaniu przestrzennego środowiska, sukcesów nie należy się spodziewać.

●

Na fali krytyki tego, co się dzieje dziś, bardzo często moi rozmówcy zadają mi pytanie, czy w dzisiejszych czasach nie można odwołać się do tych tradycji, których konotacja w społeczeństwie polskim ma jak się zdaje charakter pozytywny, i powrócić na te ślady, które pozostawili twórcy i realizatorzy tamtych idei. Muszę przyznać, że nie mam przesadnego zaufania do wędrowania po śladach – czyichkolwiek. Historia zdaje się świadczyć o tym, że kończy się to najczęściej ich zadeptaniem. Niestety, drugi raz do tej samej rzeki wejść się nie da. Każde pokolenie musi podejmować trud sprostania w nowej sytuacji innym problemom, innym uwarunkowaniom.

To, do czego dziś można nawiązywać, to nie zrodzone w innych warunkach metody i środki organizacyjne, a CELE, i przyjęcie postawy odpowiedzialności każdego pokolenia za aktywne budowanie godziwych warunków życia dla ludzi, i organizowanie ich współuczestnictwa w tworzeniu instytucji i przestrzeni dla nich przychylnej. Bo w omawianych dziedzinach naprawdę liczą się nie prestiż, bogactwo, czy to „żeby nadążać", a LUDZIE. Wszyscy.

18.01.2000 r.

Jacek NOWICKI

„Krzywa dzwonowa"

„The Bell Curve" – pod takim tytułem ukazała się kilka lat temu w Stanach Zjednoczonych głośna książka przewidująca wyłonienie się nowej struktury społecznej opartej na wrodzonej inteligencji i kwalifikacjach. Autorzy Richard J. Herrenstein i Charles Murray dowodzili, że nowoczesny (amerykański) system oświaty coraz sprawniej wyławia dzieci mające wysoki iloraz inteligencji oraz, że trendy rozwoju szybko zmieniają charakter rynku pracy, na którym jest coraz mniej miejsca dla ludzi z niskimi kwalifikacjami. Ich zdaniem, założenia niektórych reformatorów systemu społecznego, przekonanych, iż brak zainteresowania dzieci szkołą, wysoka przestępczość, skłonności do alkoholu i narkotyków, to patologie wywołane wyłącznie przez społeczne środowisko, nie znalazły potwierdzenia w badaniach, a większość programów naprawczych niemal całkowicie zawiodła. Nowoczesny system oświaty zwiększa ruchliwość społeczną i dość sprawnie wyławia inteligentne jednostki nawet z zaniedbanych środowisk i w przyszłości społeczeństwo, w znacznie większym stopniu niż dziś, dzielić się będzie na zdolnych i wykształconych, którzy mają dobrze płatną pracę oraz mniej zdolnych, z reguły bezrobotnych lub utrzymujących się z pracy dającej bardzo małe dochody.

„The Bell Curve" wywołała ogromną burzę protestów, a jej autorów oskarżono o wszystkie możliwe grzechy. Ponieważ zebrany materiał empiryczny konfrontowany był ze statystykami testów na inteligencję, które w Stanach Zjednoczonych od dziesiątków lat przeprowadza się na masową skalę, główny kierunek ataku dotyczył przede wszystkim tego, na ile

te testy są wiarogodne i na ile w ogóle cokolwiek mierzą. Autorzy bronili się przed tymi zarzutami stwierdzeniem, że jakkolwiek będziemy na te testy patrzyli, istnieje udowodniona statystyczna korelacja między wynikami testów na inteligencję, a powodzeniem jednostki w szkole, a następnie w życiu zawodowym.

Szczególnie pesymistyczne wrażenie robią zebrane dane empiryczne wykazujące bardzo nikłą skuteczność przeróżnych programów resocjalizacyjnych. Charles Murray uważany jest za autora pojęcia *new underclass* – nowej klasy pariasów – rosnącej grupy społecznej, będącej w znacznym stopniu poza rynkiem pracy, tworzącej rozrastające się wielkomiejskie getta, gdzie rządzą odmienne niż w reszcie społeczeństwa prawa i odmienna etyka, gdzie średnia ilorazu inteligencji dzieci jest poniżej przeciętnej i prawdopodobieństwo wyrwania się z tego getta oraz awansu do klasy średniej jest bardzo niskie.

Stosunkowo niedawno czytałem wywiad z Karolem Modzelewskim, zatytułowany „Pariasi wolnej Polski" (*Rzeczpospolita* 11.12.1999 r). Modzelewski używa pojęcia „pariasi" w nieco innym kontekście niż autorzy „The Bell Curve". Dla niego są to ludzie „odcięci od udziału we wspólnocie i w dobrodziejstwach cywilizacyjnych". Przekształcenia ustroju politycznego i gospodarczego wywołują trwałe podziały na uprzywilejowanych i upośledzonych. W szczególności dotyka to ludności wsi i małych miasteczek, gdzie niskie dochody i bezrobocie, powodują nie tylko niemożność włączenia się w nurt przemian pokolenia dorosłych, ale dramatycznie obniżają szanse startu dla ich dzieci.

Wywiad z Karolem Modzelewskim przeprowadzony został na marginesie dyskusji wokół zaproponowanej przez Leszka Balcerowicza reformy systemu podatkowego. Zdaniem Modzelewskiego, reforma ta (zawetowana już później przez prezydenta Kwaśniewskiego) wzmocniłaby i tak bardzo wyraźną tendencję powstawania nowej klasy pariasów.

Z kilku względów nie chciałbym w tym miejscu rozważać niezwykle skomplikowanego problemu wyboru modelu systemu podatkowego w dzisiejszej Polsce. Wydaje mi się, że ten wybór jest w niemałym stopniu uzależniony od dominującej filozofii społecznej i ekonomicznej. Filozofia ta zaś (tak społeczna jak i ekonomiczna) jest dziś w Polsce odbiciem panujących trendów na Zachodzie, a przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych. Ponieważ tam empirycznie stwierdzono, że pomaganie nie pomaga, a wręcz przeciwnie, wzmacnia inercję, więc i u nas wahadło wychyliło się w drugą stronę. Obawiam się, że proste analogie aż nazbyt często okazują się uproszczeniami.

Kryzys państwa opiekuńczego jest dla większości obserwatorów dokonujących się dziś zmian społecznych całkowicie oczywisty. Na przestrzeni kilku dziesięcioleci najbardziej uprzemysłowione kraje zwiększały nakłady na politykę społeczną w tempie znacznie przekraczającym wzrost wpływów do budżetu. Podczas gdy pierwsze dziesięciolecia państwa opiekuńczego były ewidentnie skuteczną inwestycją, radykalnie zwiększając kwalifikacje znajdującej się na rynku siły roboczej i wzmacniając chłonność rynku wewnętrznego, ekonomiczna skuteczność tych działań na późniejszym etapie okazała się niewspółmiernie słabsza.

Dla krajów rozwijających się, kroczących śladem państw rozwiniętych, pojawiają się tu dwa istotne pytania: czym były owe skuteczne elementy państwa opiekuńczego, co właściwie spowodowało późniejszą nieskuteczność tej polityki i na ile obserwacje zjawisk występujących w krajach rozwiniętych odnoszą się do społeczeństw krajów rozwijających się?

Siedemdziesiąt lat temu w Stanach Zjednoczonych polityka zasiłków dla bezrobotnych, gwarantowanych cen na towary rolne dla rolników, robót publicznych, wzmożonych nakładów na oświatę, służbę zdrowia i inne dziedziny sektora publicznego, pozwoliła uporać się z kryzysem nadprodukcji i szalejącego bezrobocia. Dziś, w tych samych Stanach Zjednoczonych, polityka ograniczania świadczeń socjalnych, redukcji podatków, prywatyzacji znacznych części sektora publicznego, doprowadziła nie tylko do zlikwidowania deficytu w budżecie państwa, ale również (ku zdumieniu krytyków tej polityki) przyniosła wzrost nowych miejsc pracy i ograniczenie bezrobocia.

Podobnie jak skuteczność polityki państwa opiekuńczego kilkadziesiąt lat temu, tak i współcześnie skuteczność liberalizmu prowadzi wielu autorów do pospiesznego wyciągania wniosków o ludzkiej naturze i uniwersalnych prawach ekonomii. Wówczas (w krajach demokratycznych) większość

przedstawicieli nauk społecznych wyrażała stanowcze przekonania, że człowiek jest niemal całkowicie produktem środowiska, że dostęp do oświaty i odpowiednia polityka społeczna zniesie nierówności między ludźmi i stopniowo doprowadzi do ekonomicznego i cywilizacyjnego egalitaryzmu. Dziś dominuje przekonanie, że powodzenie w życiu zdeterminowane jest w znacznym stopniu przez nasze wyposażenie biologiczne, zaś najlepszą motywacją do wysiłku jest pozostawienie ludzi własnemu losowi i zmuszenie ich do wykazania inicjatywy. Jednocześnie jednak, najbardziej zwariowani zwolennicy biologicznego determinizmu nie dochodzą do wniosku, że najzdolniejsze dzieci powinny być zwolnione z obowiązku szkolnego. Nadal jednym z głównych elementów wszystkich definicji inteligencji jest zdolność uczenia się, zaś ekonomiści (również ci związani ze szkołą liberalną) zwracają uwagę na silną korelację między skutecznością systemu oświaty, a wzrostem gospodarczym. Co więcej, od szeregu lat w zachodnich demokracjach słychać głosy zaniepokojenia, że system masowej oświaty uległ wypaczeniu i że niektóre państwa azjatyckie uzyskują na tym polu znacznie lepsze osiągnięcia, co z biegiem czasu może prowadzić do osłabienia konkurencyjności zachodniej gospodarki. Zgodnie z dominującą dziś filozofią społeczną, *antidotum* na te niepokoje poszukuje się w stawce na szkolnictwo prywatne i poszukiwanie takich metod zarządzania szkołami publicznymi, które w jak największym stopniu zbliżone byłyby do metod stosowanych w instytucjach będących własnością prywatną.

Polska, zamiast państwa opiekuńczego, miała komunizm (system teoretycznie oparty na podobnych przesłankach filozoficznych, ale całkowicie wyprany ze zdrowego rozsądku) zaś demontaż tego systemu oparto w niemałym stopniu na wzorach wypracowanych dla uporania się z negatywnymi skutkami nadmiernie rozbudowanego państwa opiekuńczego. Nie osiągnąwszy poziomu rozwoju gospodarczego i cywilizacyjnego, jaki w krajach zachodnich uzyskano w niemałym stopniu dzięki reformom społecznym składającym się na to, co nazywamy państwem opiekuńczym, opieramy dzisiejsze reformy na filozofii neoliberalnej, która zróżnicowanie społeczne traktuje jako siłę napędową rozwoju. W efekcie, grupy społeczne najbardziej dyskryminowane we wcześniejszym

okresie historycznym znajdują się w beznadziejnej pozycji startowej na obecnym etapie. Jeśli idzie o wieś i małe miasteczka, okres komunizmu stworzył tu całkiem spore możliwości awansu społecznego, ale główną cechą tego procesu była migracja najzdolniejszych do dużych miast i wielkiego przemysłu. Przystępując do procesu transformacji, polska wieś i związane z nią małe miasta nie tylko mają bardzo słaby rynek pracy, ekonomicznie słabe samorządy, ale również w znacznym stopniu pozbawione są własnej inteligencji. Brak racjonalnego wsparcia procesu transformacji może w tych regionach spowodować jej niepowodzenie. Ostrzegając przed tą tendencją Karol Modzelewski akcentuje przede wszystkim moralne konsekwencje pozostawienia znacznej części społeczeństwa w gorszej pozycji startowej. Osobiście jestem głęboko przekonany, że mamy tu do czynienia również z fatalnym błędem ekonomicznym, gdyż konsekwencją pauperyzacji tak dużej części społeczeństwa jest ograniczanie wewnętrznego rynku zbytu oraz osłabianie potencjału siły roboczej.

Z wielu wątków tego złożonego problemu chciałbym się tu zatrzymać przy problemie oświaty. W największym skrócie wprowadzana obecnie reforma wymusić miała lepsze wykorzystanie publicznych nakładów na oświatę, wyrównanie poziomu nauczania w szkołach wiejskich, podniesienie poziomu nauczania we wszystkich szkołach i na wszystkich szczeblach, lepsze dostosowanie programów do potrzeb rynku pracy. Ani potrzeba reformy, ani jej ogólne cele nie są kwestionowane. Dyskusję wywołały metody, przy pomocy których mają być one osiągnięte.

Wśród pierwszych pozytywnych efektów reformy widać masowy pęd nauczycieli do podnoszenia kwalifikacji. Bodaj najbardziej negatywnym efektem wydaje się być chaos, niedostatek informacji, złe przygotowanie logistyczne. Nie wszystkie krytyczne uwagi na tematy tej reformy daje się traktować z równą powagą, wydaje się jednak, że ze szczególną uwagą należy wysłuchiwać głosów napływających ze środowisk wiejskich, gdzie sytuacja oświaty była już bardzo zła, a w wyniku obecnych zmian może być jeszcze gorsza. Na czym polega osobliwa specyfika wiejskiej oświaty? Zacznijmy od dość oczywistego faktu, że ze względu na statystycznie niższy poziom wykształcenia ludności zamieszkującej tereny

wiejskie, dzieci rozpoczynają tam naukę w szkole mając znacznie słabszą stymulację intelektualną w domu, co więcej – niższy jest również poziom zamożności rodziców i niższy jest poziom zamożności samorządów. Oznacza to, że rodziców nie zawsze stać na zakup podręczników (w szczególności przy częstej zmianie podręczników i niemożności zakupu podręczników używanych) a sama szkoła jest gorzej wyposażona w pomoce naukowe. (W niektórych szkołach wiejskich, tam gdzie jest kopiarka, spotykam się z przypadkami notorycznego łamania przez nauczycieli prawa i kopiowania dla uczniów stron podręczników.) Ze względu na bardzo niską atrakcyjność polskiej wsi, często fatalne warunki mieszkaniowe i z reguły gorsze warunki płacowe, sytuacja kadrowa wiejskich szkół jest oczywiście gorsza niż w miastach. Jednym z mechanizmów wymuszających podniesienie poziomu programów szkolnych ma być w nowej reformie prawo wyboru szkoły przez rodziców. Wszystko wskazuje na to, że mechanizm ten w warunkach wiejskich (jak również w małych miastach) okaże się raczej mało sprawny, by nie powiedzieć iluzoryczny. Główną metodą mającą pozwolić na lepsze wyposażenie i lepszą obsadę kadrową szkół ma być likwidacja małych szkół wiejskich i dowożenie dzieci do szkół większych. Z ekonomicznego punktu widzenia problem jest bardzo poważny. W gminie, w której mieszkam, roczny koszt kształcenia dziecka w najmniejszej szkole (mającej zaledwie 33 uczniów) wynosi 5.190 złotych, podczas gdy w największej, w której uczy się blisko 500 uczniów, wynosi 2.660 złotych.

W chwili obecnej wiele wskazuje na to, że wskaźnik średnich kosztów uczenia jednego ucznia nie ma żadnego związku z poziomem nauczania w różnych szkołach. Czy możliwe jest, że zarówno wczorajsza filozofia, na której oparty był polski system oświaty, jak i filozofia, na której wspiera się obecna reforma systemu edukacji, zawiera jakiś poważny błąd?

Przed niespełna dwoma laty w Stanach Zjednoczonych ukazała się książka Judith Rich Harris zatytułowana „The Nurture Assumpion". Książka wywołała burzę wśród psychologów i pedagogów gdyż kwestionuje obowiązujące od dziesięcioleci założenia procesu wychowawczego. Autorka ponad 30 lat temu skończyła studia psychologiczne, nie dostała się na studia doktoranckie, przez wiele lat zajmowała

się pisaniem podręczników psychologii, wreszcie doszła do wniosku, że nie powinna przykładać ręki do popularyzacji twierdzeń, które jej zdaniem są nieprawdziwe. Jej główna i najbardziej rewolucyjna teza stwierdza, że proces socjalizacji dziecka w niewielkim stopniu jest wynikiem relacji dziecko-dorośli, a w szczególności dziecko-rodzice, natomiast w lwiej części jest wynikiem relacji między jednostką a grupą rówieśniczą. Krótko mówiąc, to nie dorośli wychowują dzieci, a dzieci wychowują dzieci. Autorka przedkłada dowody prawdziwości swojej tezy odwołując się do obserwacji i badań w społeczeństwach współczesnych, do badań antropologów, sięgając do najnowszych osiągnięć psychologii ewolucyjnej.

Judith Rich Harris próbuje rzucić nowe światło na toczącą się od kilku stuleci dyskusję na temat wpływu dziedziczności i środowiska na jednostkę. Genetyka i współczesne badania psychologów dostarczają bardzo solidnych dowodów na to, że wpływ dziedziczności jest zdecydowanie większy niż sądziliśmy w przeszłości, ale nawet jeśli nie mamy większego wpływu na poważne wzmocnienie odziedziczonego potencjału intelektualnego, nawet jeśli mamy zakodowane w naszych umysłach niektóre cechy osobowości, to ukształtowane w procesie wychowania różnice kulturowe w znaczący sposób decydują o tym, jak jednostki dają sobie radę w społeczeństwie i jak funkcjonują społeczeństwa.

Oparte w znacznym stopniu na teorii Freuda i jego zwolenników założenia, że osobowość jednostki jest produktem emocjonalnego stosunku rodziców do dziecka, jest zdaniem Judith R. Harris w dużym stopniu nieporozumieniem. We współczesnym świecie coraz więcej ludzi zastanawia się na starość nad trudnym pytaniem, na ile ich życie zmarnowało niewłaściwe podcieranie tyłeczka w niemowlęctwie. Nie umniejszając znaczenia rodzicielskiej miłości, pani Harris dochodzi do wniosku, że świat jednak zwariował.

Jakie implikacje dla reformatorów systemów oświaty ma teza, że to nie dorośli wychowują dzieci, a dzieci wychowują dzieci? Bardzo poważne, bo jeśli ta teza jest prawdziwa, to wychowanie przez informowanie dzieci o tym, co jest dobre i słuszne okazuje się nieskuteczne, natomiast zasadniczą uwagę należy poświęcić na wzmacnianie więzi oraz postulowanych wartości w grupach rówieśniczych.

Kiedy opowiadam o tej książce nauczycielom, część z nich reaguje świętym oburzeniem świeżo dokształconych, część rozbawieniem, iż ktoś odważył się głośno powiedzieć, że król jest nagi.

Karol Modzelewski, zapewne ze względu na okazję z jakiej przeprowadzono z nim ten wywiad, prezentuje problem pariasów wolnej Polski tak, jakby szanse młodego pokolenia mieszkańców wsi i małych miasteczek zależały wyłącznie od pieniędzy. Nie jest to cała prawda. W środowiskach wiejskich obserwujemy często brak ambicji, słabe wyniki nauczania, wtórny analfabetyzm młodzieży kończącej szkoły zawodowe. Z drugiej strony, tam gdzie ta ambicja jest, często okazuje się, że udaje się pokonać nieprawdopodobne wręcz trudności i kontynuować naukę aż do ukończenia studiów włącznie. Czy chodzi tu o ambicje rodziców na temat własnych dzieci, czy o ambicje samych dzieci? Jedno i drugie, ale wydaje się, że wręcz ważniejsze są ambicje samych dzieci.

Wróćmy jeszcze na moment do książki Judith R. Harris. W pewnym momencie opisuje ona przypadek nauczycielki, która w latach czterdziestych uczyła w starej szkole w ubogiej dzielnicy wielkiego miasta. Wśród uczniów tej szkoły przeważały dzieci białych imigrantów oraz dzieci murzyńskie. Minimalny procent absolwentów tej szkoły trafiał do szkół średnich. Podczas badań statystyk szkolnych ze zdumieniem stwierdzono, że uczniowie tej jednej nauczycielki (która uczyła tylko w klasach pierwszych) mieli znacznie lepsze wyniki w późniejszych latach nauki i znacznie częściej niż inne dzieci kontynuowali naukę po ukończeniu szkoły podstawowej. Kiedy przeprowadzono szereg wywiadów z jej byłymi uczniami okazało się, że pozostała w ich pamięci, jako ktoś kto nigdy nie podnosił głosu, często zostawała po lekcjach, żeby pomóc uczniom, którzy o to prosili, dzieliła się z uczniami własnym śniadaniem i pamiętała ich imiona nawet po dwudziestu latach. Jak twierdzili badacze, ani jeden z uczniów tej nauczycielki nie miał nigdy problemów z czytaniem i pisaniem.

W komentarzu do tego przypadku pedagogicznego sukcesu Judith R. Harris wyraża opinię, że nauczyciel jako organizator grupy dzieci, ma często większy wpływ na wychowanie dziecka niż rodzice.

Całkowity przypadek zrządził, że jeszcze w trakcie lektury tej książki zetknąłem się z panią Jadwigą Jałowiec-Bartczak, nauczycielką z powiatowego miasta, która mimochodem wspomniała w rozmowie, że na początku swojej kariery zawodowej przez kilkanaście lat była szczęśliwa, ucząc w małych jednoklasowych wiejskich szkołach. Jadwiga Jałowiec-Bartczak wydaje się nie mieć żadnych wątpliwości na temat tego, że o sukcesach edukacyjnych dziecka w największym stopniu decydują pierwsze lata nauki i atmosfera w szkole. Byłam szczęśliwa – mówi – mogłam się uczyć od tych dzieci ich świata i mogłam je uczyć miłości do książki. Moje dzieci były w późniejszych latach uważane jako „dziwne", nie biły się, nie bały się publicznych występów, lubiły się uczyć.

Nie mamy statystyk na temat losów życiowych uczniów pani Jadwigi, obydwie szkoły, w których kolejno uczyła, zostały zlikwidowane, a ona sama od wielu lat uczy w dużej szkole w mieście powiatowym. Jadwiga Jałowiec-Bartczak nie przestała lubić swojego zawodu, jest twórcą autorskiego programu nauczania, w którym akcent położony jest na wartości humanistyczne rozbudzane przez teatr, wspólne wycieczki, spotkania z ciekawymi ludźmi itp., skończyła właśnie pisanie nowego elementarza, przygotowuje kolejny program autorski i czasem odpowiada na pytania dziennikarzy „dlaczego jej się chce".

Podczas naszego kolejnego spotkania powracam uparcie do tamtych lat pracy w jednoklasowych szkołach z jednym nauczycielem. Dla pani Jadwigi największą zaletą tej pracy była wolność, prawo do eksperymentu, możliwość zintegrowania tej grupki dzieci i możliwość stopniowego pozyskiwania rodziców. „Uczyłam ich, że są lepsze, bo nie tylko się uczą, nie tylko mają dobre stopnie, ale jeszcze pomagają rodzicom w gospodarstwie. Moje dzieci potrafiły siedzieć na furze z gnojem i recytować wiersze."

Dla człowieka przyzwyczajonego do nowoczesnej szkoły sam pomysł klasy złożonej z dzieci z różnych roczników jest szokujący. Moje pytanie o technikę uczenia w takiej klasie wywołuje uśmiech na twarzy pani Jadwigi. W każdej klasie nauczyciel ma uczniów na różnych poziomach, w takiej klasie dzieci mają nieco odmienne zadania, co może stwarzać pewien problem, ale równocześnie, przy odpowiedniej meto-

dyce i przygotowaniu lekcji, może być wręcz ułatwieniem. Jeśli grupa nie jest zbyt duża, dzieci w różnym wieku zupełnie nieźle obok siebie funkcjonują i często mogą sobie pomagać.

Opowieść pani Jadwigi o jej metodach pedagogicznych wydaje się być żywą ilustracją głównej tezy Judith R. Harris – dzieci uczą się od dzieci, dzieci nie są małymi dorosłymi, nie naśladują dorosłych, ich idolami są odrobinę starsze dzieci i bardziej dominujące jednostki z grupy rówieśniczej. Jeśli stworzy się właściwą kulturę w grupie zaczyna się pewien automatyzm, wymagający ustawicznego wsparcia, ale wzory postaw są już jak drożdże.

Pytana o receptę na reformę oświaty na wsi Jadwiga Jałowiec-Bartczak nie ma żadnych wątpliwości – należy rozpocząć od rocznika zero, postawić na oświatę podstawową, tworzyć od tego rocznika atmosferę w szkole sprzeczną z całą dotychczasową tradycją. Postawić na maleńką wiejską szkołę, w której dzieci w pierwszym okresie uczenia się nie byłyby narażone na kulturę szkół-molochów.

W dużych szkołach wpływ pojedynczego nauczyciela na grupę jest utrudniony, dodatkowym problemem jest hierarchia, niski autorytet nauczycieli zajmujących się nauczaniem początkowym, często dochodzą tu do głosu imperialne ambicje dyrektorów zmierzających do zwiększenia swojego stanu posiadania, w zespołach nauczycielskich widzimy krzyżujące się ambicje, często obserwuje się konsekwentne niszczenie nauczycieli zajmujących się dziećmi w nieopłaconym czasie, decydujących się na eksperymenty pedagogiczne i wychylających się ponad przeciętność. Oddzielenie najniższego stadium nauczania i radykalne podniesienie prestiżu nauczycieli zajmujących się nauczaniem początkowym mogłoby tu przynieść znaczne, pozytywne efekty.

Karol Modzelewski stwierdza w swoim wywiadzie, że materialny niedostatek nie powinien powodować trwałego upośledzenia społecznego. Uważa, iż właściwym środkiem zaradczym byłoby wprowadzenie darmowych dojazdów dla uczącej się młodzieży wiejskiej do szkół licealnych w miastach. Z pewnością, ale chyba nie tu jest główny problem. Dla Elżbiety Wierzbickiej, polonistki z wiejskiej szkoły w gminie, w której mieszkam, głównym problemem jest rozbudzenie ambicji tak, aby wszystkie jej dzieci wyniosły jak

najwięcej ze szkoły i aby jak największa grupa chciała pójść do liceum. Oczywiście zdaje sobie sprawę z faktu, że niektóre z nich nie będą mogły kontynuować nauki z przyczyn ekonomicznych.

Wieś Mokowo, gdzie uczy Elżbieta Wierzbicka, jest bardzo biedna. Część dzieci nie dostaje z domu drugiego śniadania i w szkole, w miarę skromnych możliwości, organizuje się dożywianie. W szkole jest 88 uczniów. Można ich było wyjątkowo często spotkać na różnych konkursach recytatorskich czy na szkolnych przedstawieniach. Uczniowie z Mokowa są pupilami kierowców szkolnych autobusów. Lubią z nimi jeździć, bo zachowują się inaczej niż dzieci z innych szkół.

Pani Elżbieta mogłaby być jedną z dawnych uczennic Jadwigi Jałowiec-Bartczak. Mimo geograficznego sąsiedztwa nic o sobie nie wiedzą. Podobieństwo pedagogicznych metod i rezultatów jest uderzające. Polonistka z Mokowa narzeka, że nie ma już w domu żadnych szmat, bo wszystko zużyła na stroje i rekwizyty w przedstawieniach uczniów. Kiedy pytam o spadek czytelnictwa wśród młodzieży, odpowiada, że niczego takiego nie zauważyła. Na moje właściwie retoryczne pytanie, czy chłopcy czytają mniej niż dziewczynki, pani Elżbieta zabawnie się krzywi i stwierdza, że u niej jest odwrotnie, chociaż z dziewczynami też nie ma problemu. W jej klasach nie ma uczniów, którzy mają trudności z czytaniem i pisaniem. Elżbieta Wierzbicka uczy w starszych klasach, woli to, ma łatwiejszy kontakt ze starszą młodzieżą, nauczanie początkowe jest zbyt trudne, chociaż niektórym wydaje się, że każdy to potrafi, ale ona również uważa, że pierwsze klasy są absolutnie najważniejsze.

Źródła sukcesu szkoły w Mokowie? Znamy wszystkie dzieci, znamy ich rodziców, mały, zgrany zespół nauczycielski, dobry dyrektor.

Szkoła w Mokowie będzie prędzej czy później zlikwidowana. Z ekonomicznego punktu widzenia nie ma racji bytu.

Powróćmy do krzywej dzwonowej Gaussa i odwiecznego problemu dziedziczności i środowiska. Większość z nas nie ma wątpliwości, że wrodzone zdolności intelektualne są zróżnicowane, większość nie ma również wątpliwości, że

środowisko może wzmacniać lub osłabiać to zróżnicowanie. Środowisko to jednak bardzo złożone pojęcie. Dotychczas akcentowano przede wszystkim znaczenie rodziny. Entuzjazm dla masowego kształcenia i edukacyjnych fabryk usunął z pola widzenia znaczenie grupy rówieśniczej i możliwości kształtowania charakterów w inny sposób niż tylko przez samo dostarczanie wiedzy. W zamożniejszych grupach ten trend nie spowodował poważnych problemów. Niezależnie od wszelkich teorii, klasy średnie (zabawny neologizm określający grupy mogące sobie pozwolić na luksus samodzielnego organizowania sobie swojego życia) mają wszędzie tendencję do organizowania swojego środowiska przez skupianie się we własnych dzielnicach, posyłanie dzieci do mniejszych, elitarnych szkół, skupianie ich w wyselekcjonowanych grupach zainteresowań, poza szkołą. W Stanach Zjednoczonych (i nie tylko) wielkie szkoły w ubogich dzielnicach stały się wylęgarnią przemocy i wszelkiej patologii społecznej. Te szkoły, ze swoimi zakratowanymi oknami i uzbrojoną strażą, coraz bardziej przypominają zakłady karne, w których nauczyciele od dawna przestali marzyć o pedagogicznych sukcesach i częściej myślą o tym jak wrócić cało do domu. Absolwenci tych szkół, podobnie jak absolwenci szkół elitarnych, dobrze ilustrują tezę, że w przyszłości społeczeństwo dzielić się będzie na zdolnych, dobrze wykształconych i bogatych, oraz mniej zdolnych, mających bardzo niskie kwalifikacje bezrobotnych lub żyjących z prac dorywczych.

Jeszcze nie mamy tych problemów, mamy problem jak nadrobić edukacyjne zaniedbania w środowiskach wiejskich i w małych miasteczkach. Zdaniem niektórych nauczycieli, zasadniczym, ukrytym celem obecnej reformy systemu oświaty jest redukcja publicznych nakładów na edukację i przerzucenie tych kosztów na rodziców. Nie jestem aż tak pesymistyczny. Intencje są z pewnością inne, ale efekty tej reformy mogą się w wielu wypadkach okazać odwrotne od zamierzonych.

Wielkość zgromadzonych środków publicznych to jedna sprawa, skuteczność ich inwestowania w społeczeństwo jest problemem odrębnym. Karol Modzelewski stwierdza, że młodzież wiejska jest nie mniej zdolna niż młodzież w miastach. Z pewnością znajdą się ludzie gotowi twierdzić, że

tak nie jest. Ale jest to chyba źle postawiony problem. Nie interesuje mnie krzywa dzwonowa wrodzonej inteligencji w różnych grupach społecznych, interesuje mnie pytanie, czy system edukacyjny można zoptymalizować i doprowadzić do tego, aby sprzyjał maksymalnemu rozwojowi zdolności każdego dziecka. Jest to cel w równym stopniu pożądany z moralnego i z ekonomicznego punktu widzenia. Odnoszę wrażenie, że przy tak sformułowanym celu, założenia obecnej reformy są chybione, zgadzam się z tymi, którzy twierdzą, że punkt ciężkości powinien być położony nie tyle na gimnazja i szkoły średnie, co raczej na nauczanie początkowe, nie tylko na wyławianie talentów i dalszą segregację zdolnych i mniej zdolnych, a na radykalne podniesienie sprawności intelektualnej całej populacji uczniów. Zgadzam się również z autorami reformy, twierdzącymi, że w szkole niesłychanie ważne jest wychowanie. Wydaje mi się jednak, że program reformy nie daje odpowiedzi na pytanie w jaki sposób szkoła ma skutecznie wychowywać. Teoria Judith Rich Harris może tu być pewną wskazówką. Tymczasem jednak połączenie koncepcji Leszka Balcerowicza z koncepcjami ministra Handkego, jeśli idzie o rozwój szkolnictwa wiejskiego wydaje się być receptą na katastrofę.

Wiejskie, jednoklasowe szkoły nauczania początkowego nie są jeszcze jakąś magiczną receptą na podniesienie poziomu nauczania wiejskich dzieci i na wyrobienie w nich orientacji na ciekawsze wzory kulturowe. Mogłyby stanowić ważny punkt wyjścia. Mogłyby dać pewien punkt oparcia dla wychowawców w starszych klasach i, dzięki większym możliwościom indywidualnej pracy nad uczniem, mogłyby zmniejszyć zróżnicowanie podstawowych sprawności czytania i pisania. Właśnie to zróżnicowanie owych podstawowych sprawności stało się przed paroma laty punktem wyjścia reformy systemu oświaty w Wielkiej Brytanii. Ogólnokrajowe sprawdziany umiejętności czytania i pisania jedenastolatków były tam pierwszym etapem wprowadzania systemu ocen nauczycieli i szkół. Ostatecznie bez opanowania tych sprawności na pierwszym etapie nauki, szanse powodzenia w dalszych latach są niemal zerowe.

Andrzej KORASZEWSKI

Wariacje kosowskie (III)

„Za każde słowo serbskie dziesięć marek kary" – żartował Agim Čavdarbaša, gdy szukając słów porozumienia, przywoływaliśmy także serbskie. W garści trzymał pęk kluczy, którymi otwierał kolejne kłódki, łańcuchy i zamki. Wsparty na lasce, posuwając się drobnymi kroczkami i zatrzymując co rusz, by uspokoić astmatyczny oddech, powoli wprowadzał Eqrema Bashę i mnie do swego królestwa. Byliśmy w Čaglavicy, wiosce odległej kilka kilometrów od Prištiny, gdzie Agim wybudował sobie niewielki dom przysposobiony w pełni do potrzeb warsztatu rzeźbiarskiego. Wyrzucony z Akademii, tutaj przez ostatnie dziesięć lat prowadził zajęcia ze swymi studentami. Zdziwiłem się usłyszawszy, że przed wojną nie musiał zamykać tych drzwi na klucz. W domu i w ogrodzie, w którym Agim „sadził" swoje rzeźby, widoczne były ślady barbarzyńskiego spustoszenia: to, co było z drewna, porąbano, prace ceramiczne potłuczono, duże fotografie pomników założycieli Ligi Prizreńskiej (w czasie wojny zniszczone w Prizrenie) poryto nożem. Pozostały jedynie rzeźby z marmuru, jak te białe kosy, którym twórca zawczasu przyprawił chropawe pręgi, uprzedzając uderzenia jakiegoś ostrego narzędzia.

„Zdravo, Ilja, kako si?" – usłyszałem nagle, nie wiedząc do kogo zwraca się Agim, gdyż jego spojrzenie skoncentrowane na porozbijanych rzeźbach, nie zdradzało wcale adresata. „Strašno, Agim." Teraz dopiero dostrzegłem starego człowieka przykucniętego po drugiej stronie ogrodzenia z siatki drucianej. Z siwymi zwisającymi wąsami przypominał Vuka Karadžicia. „Strašno." On też nie patrzył na Agima,

dłubał coś patykiem w ziemi. Zapadła cisza. Rozejrzałem się wokoło. Królestwo Čavdarbašy było wyspą pośród serbskich sąsiadów. Wszędzie stały nowobogackie „kwadratki" z antenami satelitarnymi, wykładane na zewnątrz lustrzanymi szkiełkami i kolorowymi kawałkami lastriko. Jedna, należąca do rodziny lekarza, była opuszczona. W sąsiedniej krzątała się kobieta. Pojawiała się tylko ukradkiem, za firanką, w ogrodzie, na balkonie, ale to wystarczyło, aby całą przestrzeń pomiędzy nami pokłuły jej wrogie, zimne spojrzenia.

Nie wiem czy Agim i Ilja choćby raz spojrzeli na siebie. Oczy mieli napełnione łzami i czułem, że gdyby ich spojrzenia spotkały się, nie powstrzymaliby płaczu. Właściwie w ciszy trwała ich rozmowa po serbsku. Niewiele bym nazbierał marek od Agima. Co jakiś czas padały pojedyncze słowa, rzucane niby od niechcenia. Wynikało z nich, że obaj dobrze wiedzą którzy z sąsiadów to zrobili i co się działo podczas wojny. Ta rozmowa nie informowała. Przypominała raczej trwożliwe napinanie wiązadła splecionego wspólnie przez lata przyjaźni, sprawdzające czy nie naderwało się podczas wojny. Agim już nie zwracał uwagi na to, że mówi do mnie serbskimi słowami i – niby to pokazując katalogi – powtarzał swym chrapliwym szeptem: „To je dobar čovek, znaš, dobar."

Nie dalej niż trzy kilometry od „gniazda" białych kosów znajdowała się słynna Gračanica. W sposób już niemal stereotypowy, to tutaj, w ufundowanym w XIV wieku przez króla Milutina monasterze prawosławnym, zachodni pisarze odkrywali duszę serbską i niepojęte misterium bałkańskie. Zanurzając się w świat mroku i tajemnicy, nieprzystępny dla racjonalnego myślenia, przywodzący im na myśl postaci z powieści Dostojewskiego, autorzy światowych bestsellerów doświadczali jego potęgi i kuszącego uroku, wobec których dylematy moralne i dramaty ludzkie rozgrywające się na zewnątrz, w świetle dnia, przestawały mieć istotne znaczenie. „Nie sądzę, abyście mogli zrozumieć – tłumaczył Rebecce West przed wejściem do monasteru Constantin, jej towarzysz podróży – to, co dla nas Serbów jest tak bardzo osobiste i czego wy, obcokrajowcy, nigdy nie uchwycicie. To zbyt trudne dla was, my jesteśmy zbyt nieokrzesani i zbyt głębocy dla waszej gładkości i powierzchowności." Te słowa były jak miód na serce dla zbuntowanej Angielki, uciekającej przed pogrążającą

się w faszyzmie Europą końca lat 30-tych. W swojej słynnej książce „Black Lamb and Grey Falcon" (Czarne jagnię i szary sokół) pisała: „Nad nami światło sączące się przez wysokie okna z najzwyklej niepojętej obfitości nieba, padające na freski i objawiające coś tak ledwie uchwytnego percepcją, o myśli tak przepastnej, że to jest prawie poza zasięgiem naszego zachodniego rozumienia."

Podróżujący jej tropem na przełomie lat 80-tych i 90-tych Robert Kaplan „w tym sanktuarium dogmatu, mistycyzmu i dzikiego piękna" odbył rozmowę z matuszką Tatianą, mniszką oprowadzającą często turystów po Gračanicy. „Ja jestem dobrą chrześcijanką - mówiła – ale nie nadstawię drugiego policzka jeśli jacyś Albańczycy wydłubią oczy memu bliźniemu Serbowi, albo zgwałcą młodą dziewczynę, albo wykastrują dwunastoletniego chłopca, (...) Wiem, że jestem zajadłą nacjonalistką. Sprawy będą się miały coraz gorzej pomiędzy nami i Albańczykami, zobaczysz. Tutaj nie będzie pojednania." Takie rozmowy toczyły się na codzień w miejscu, o którym autor „Balkan Ghosts" (Bałkańskie duchy), zauroczony freskami, napisał: „Jeśli niebo ma swoje odzwierciedlenie gdziekolwiek na ziemi, to właśnie tutaj".

Kiedy Rebecca West wyszła z cerkwi w Gračanicy miała poczucie, że wszystko co ją otacza dokoła jest marnością nad marnościami. Spustoszenia wokół dokonali Turcy zwyciężając na Kosowym Polu i na ponad pięćset lat poddając tę ziemię swemu panowaniu. Jej wizja sięgała głęboko w przeszłość, do czasów cywilizacji króla Dušana, gdy tutejsi mieszkańcy obfite jadło spożywali ze złotych i srebrnych naczyń, władali greką równie dobrze jak mową serbską i tworzyli arcydzieła sztuki i architektury. Potrzebowała tej wizji dla swych zmagań z rodzimym, brytyjskim, i europejskim imperializmem, dla swej postawy broniącej prawa narodów do samostanowienia, wreszcie dla ukazania zdeprawowanej Europie Zachodniej innego oblicza Słowian, wobec których czuła się okryta hańbą (zwłaszcza po układzie w Monachium zdradzającym Czechów i po zdradzeniu Polaków we wrześniu 1939 roku), i których – odnosi się to głównie do Serbów – wybrała na swoich bohaterów. Jej Kosowo, które nazywała Starą Serbią, zachowało się jedynie w monasterach prawosławnych. Nie miała złudzeń, że żołnierze, których tu spotkała przechodząc przez

zakurzone podwórze będące kiedyś wspaniałym ogrodem, nie pchają tych taczek z kamieniami, by odbudować zaginione pałace.

„Wszystko, co rozciąga się dookoła tego miejsca, jest brudne i bezpańskie" – tak żegnała się z Robertem Kaplanem matuszka Tatiana. Ta wypowiedź różniła się jednak znacząco od wizji angielskiej pisarki. Słowa mniszki mówiły nie tylko o tym, że mając Gračanicę Serbowie są tak samo wspaniali jak Włosi (o tym w rozmowie była mowa wcześniej), ale przede wszystkim, że są lepsi i po stokroć bardziej cywilizowani od swoich sąsiadów, Albańczyków. Bo ten brud i bezpańskość wszędzie dokoła, to właśnie oni, stanowiący zdecydowaną większość mieszkańców Kosowa. Matuszka Tatiana rzeczywiście była nacjonalistką, ale w sensie, jakiego nie uświadamiała sobie Rebecca West, rozumiejąc nacjonalizm jeszcze bardzo niewinnie. W trakcie swej podróży spotkała w Kosowie chłopców, którzy recytowali jej z pamięci długie wersety o świetności dawnego królestwa serbskiego, o bohaterskiej walce z tureckim najeźdźcą i wyzwoleniu z niewoli. Takim oto jawił jej się wówczas nacjonalizm – szlachetnym wysiłkiem narodu, by zachować swój język, wierzenia i kulturę. Błędem popełnianym często w Europie, było – jej zdaniem – utożsamianie nacjonalizmu, „który jest pragnieniem narodu do bycia sobą z imperializmem, który jest pragnieniem jednego narodu, by uniemożliwić innym narodom bycie sobą."

Ale matuszka Tatiana myślała inaczej. Wyrażała inną formę nacjonalizmu, znacznie bardziej prymitywną i niebezpieczną. Nie chodzi już w niej o pamięć czy dumę narodową, która ocala naszą odrębność i stawia na równi z największymi. Nie chodzi o równanie w górę lecz w dół, nie o bycie najlepszym, lecz lepszym od sąsiada. Reszta nie jest ważna. Nikt tak nie był świadom tej postaci nacjonalizmu, jak mieszkaniec titowskiej Jugosławii, Danilo Kiš. „Nie skacze się, nie rzuca się młotem, aby pobić swój rekord, lecz by pokonać ich, jedynych, podobnych a tak różnych; to ze względu na nich rozpoczyna się grę. Nacjonalista (...) nie boi się nikogo prócz swego brata. Ale wobec niego odczuwa strach egzystencjalny, patologiczny. Zwycięstwo wroga wybranego oznacza jego absolutną klęskę, przekreślenie jego bytu".

Rebecca West bez żadnej obawy spoglądała na srożących brwi i recytujących patriotyczne wersety młodych nacjonalistów serbskich, z których to postawy, tak jak z przydrożnych dzikich róż i mleczy, nie mogło zrodzić się żadne zło. Co innego matuszka Tatiana, której słowa, odbijające się echem w niebiańskim sanktuarium Gračanicy, zapowiadały nadejście rychłej katastrofy.

Nic mnie nie ciągnęło tego dnia do wstąpienia do środka cerkwi w Gračanicy. Jeszcze całkiem niedawno, kiedy planowaliśmy z Miletą z Belgradu wspólną podróż do Kosowa, cieszyłem się na myśl, że w towarzystwie tego artysty i historyka sztuki zajrzę do wnętrza bogatej kultury, doświadczę piękna, odkryję coś nieznanego. Dzisiaj to nie we wnętrzu Gračanicy znajdowała się tajemnica, którą chciałem odkryć, i nie tam kierowała się moja ciekawość, pragnąca zrozumieć życie w całym jego piekącym absurdzie. Tam znajdowała się jakaś porzucona przez ludzi bizantyjska skamielina. Żywy fresk rozciągał się wszędzie dokoła, wszędzie gdzie miała być tylko spustoszona ziemia, brud i bezpańskość. Trzeba było tylko przejrzeć na oczy. Postacie niektórych świętych na freskach w Gračanicy mają wydłubane oczy, gdyż miejscowi ludzie wierzyli, że ich farba leczy ślepotę. Uświadomiłem sobie, że minął już czas, kiedy po ozdrowienie albo odkrycie tajemnicy tej ziemi, trzeba było zstępować do tego wnętrza pożerającego wszelką racjonalną myśl. Aby zrozumieć Kosowo trzeba wreszcie wyjść na światło dnia i z nim się oswoić, nauczyć się dostrzegać w tym, co nas tu otacza, niezwykły fresk, dramatyczny, chwytający postaci w sytuacjach ostatecznych, rozdarte bólem ponad ludzkie siły, przywalone tragedią ponad ludzkie – wszystko jedno, wschodnie czy zachodnie – rozumienie, stojące w obliczu niepojętych wyroków bożych, a jednocześnie, a pomimo wszystko, ciągle w ruchu, w czynieniu: to dziko folgujący swej upadłej naturze, to jakąś cudowną mocą ją poskramiający, w otoczeniu bestii i aniołów, w poszukiwaniu racjonalnych odpowiedzi, w zawiązywaniu realnych więzów, przęseł, złączy, które już jutro, pojutrze, będą ku czemuś prowadziły. I wszystko to w asyście najzwyklej niezmiennej, nieskrwawionej bieli śnieżnych szczytów gór na horyzoncie, ku którym któregoś dnia wzbiją się białe kosy.

Wdzięczny byłem losowi, że zamiast usadzić mnie w grupie turystów zwiedzających Gračanicę, rzucił mnie do tej wioski w bliskiej okolicy monasteru, która w oczach oślepionych wspaniałością bizantyjskich malowideł zdawała się być jedynie marnością nad marnościami. W ogrodzie pełnym pięknych dzieł albańskiego rzeźbiarza, oszlifowanych wielkim sercem i skrywających niejedną tajemnicę tej ziemi, trwała rozmowa Agima z Ilją, ciche, światłodzienne misterium kosowskiego sąsiedztwa. Wszystko, co niepojęte, irracjonalne i mroczne, stało się nagle zrozumiałe i jasne jak promień. Oto i całe arcydzieło odkryte tego dnia: kilka dźwięków w harmonii tak prostej, że aż niewiarygodne, iż trzeba było po nią tak głęboko sięgać, tak długo iść, z taką trwogą szukać. Twarze wydobyte paroma pociągnięciami kreski, oszczędnej na przekór cierpieniu... i to starcza za cały pejzaż wojny. Pojedyncze słowa przetykane milczeniem... i to wszystko o śmierci i miłości. Wytrzymało mocno naprężone wiązadło.

Trzeba było się zbierać do dalszej drogi. Rozpocząłem rozmowę z Rebeccą West i należało ją kontynuować. Kolejna, po Edith Durham, zbuntowana kobieta wdarła się do moich myśli, uparta w dociekaniu prawdy, czasami doprowadzająca do szewskiej pasji, ale stawiająca światu pytania, które po upływie z górą pięćdziesięciu lat nic nie straciły ze swej aktualności. Jedziemy więc z Eqremem do miasta Peja, nazywanego przez Serbów Peć, a w czasach tureckich Ipek. Agima pozostawiamy w Prištinie. Nie zobaczę go więcej. Kiedy piszę te słowa jego serce nie bije już wśród żywych. A Ilja, czy stanął na straży ogrodu w Ćaglavicy? Przez wiele stuleci strażnikami monasteru w Gračanicy byli Albańczycy, ich rodziny uważały to za wielki honor dziedziczony przez pokolenia. A teraz w mej pamięci Serb staje na straży królestwa albańskiego rzeźbiarza.

Kosowo było od dawien dawna Ziemią Dialogu. Tak też pisała o nim Edith Durham. Kiedyś, podczas odpustu w monasterze w Davič, na którym przygrywali Cyganie, spotkała prawosławnego archimandrytę zwanego Hagi. Po bliższym zapoznaniu się z nim przekonała się, że jest Albańczykiem świetnie znającym swój rodzimy język. „Tak więc jest

to Ziemia Dialogu – konstatowała. – Serbowie posiadają nawróconego Albańczyka jako głowę swojego monasteru, a dla odmiany jeden z najbardziej patriotycznie nastawionych księży albańskich w Djakovej był Serbem z urodzenia – mówił po serbsku jako dziecko, a teraz prawie zapomniał tego języka."

Dzisiaj jest nam trudno sobie wyobrazić do jakiego stopnia przeniknął to pogranicze synkretyzm religijny i kulturowy. Raporty wysłanników Kościoła katolickiego docierających do Kosowa pełne są niepokojących doniesień o dziwnych praktykach posiadania przez chrześcijan muzułmańskich rodziców chrzestnych, czy też częstych odwiedzinach świątyń chrześcijańskich przez muzułmanów, którzy wierzyli, że uczestnictwo we wspólnych rytuałach zapewni im lepsze zdrowie i dłuższe życie. Oto na przykład Fra Cherubino ze zgorszeniem donosił, że w pewnym domu pod Djakovą przywitano go słowami: „Zachodź do środka, ojcze; my w tym domu mamy katolicyzm, islam i prawosławie." O tym jak celebrowano święto Zwiastowania Marii Panny w okolicy Prizrenu wiemy z XVII-wiecznego opisu katolickiego arcybiskupa Kosowa, Pjetera Bogdani, odnalezionego w archiwach watykańskich przez Noela Malcolma: na górze o trzech szczytach ponad tysiąc osób zanosiło swe modły spędzając tam całą noc przy biciu w bębny, tańcach i śpiewach; po północy formowano procesję złożoną z muzułmanów, Serbów i Greków, ustawionych podług wieku, z zapalonymi świecami, o bosych stopach, z niektórymi muzułmanami dosiadającymi koni, obchodzącą trzykrotnie w koło najwyższy szczyt góry; rano na tym szczycie arcybiskup odprawiał mszę w języku albańskim „do tłumu ludzi różnego rodzaju", a po nim mszę odprawiał prawosławny biskup Prizrenu. Podróżnik, który wybrałby się na tę górę w końcu XIX wieku w tymże miesiącu sierpniu, spotkałby tam muzułmanów celebrujących dzień świętego Alego oraz prawosławnych wierzących, że na szczycie znajduje się grób św. Pantaleimona, którego święto obchodzono przez całą noc.

Epoka nowożytna nieuchronnie przynosiła ze sobą coraz głębsze podziały. Pierwszymi ich zwiastunami byli jednak ludzie przybywający do Kosowa z zewnątrz i nieobznajomieni z kulturą Ziemi Dialogu. Pewien stary Serb z Gračanicy,

którego wspomnienia etnografowie zanotowali w 1914 roku, opowiadał, że życie pomiędzy Albańczykami i Serbami układało się bardzo dobrze, aż do momentu, kiedy pojawili się tu Czerkiesi. Ten waleczny mały naród kaukaski, który w XVIII wieku przyjął islam, został ostatecznie podbity przez Rosję w 1864 roku i masowo wyruszył na wygnanie, szukając schronienia w granicach imperium osmańskiego. Turcy osadzili w Kosowie blisko dwanaście tysięcy Czerkiesów, mając nadzieję nie pozbawioną podstaw, że ci nienawidzący prawosławnych Słowian wojownicy, nie wejdą w żadne sojusze wymierzone we władzę sułtana.

Podobnie rzecz się miała z tzw. *muhadżirami*, a więc z muzułmańskimi uchodźcami, którzy pojawili się w Kosowie w dużej liczbie ponad 50 tysięcy w latach 1877-78. Był to czas, kiedy po wojnie rosyjsko-tureckiej do Serbii przyłączono ziemie w dolinie rzeki Morawy, a więc na północny-wschód od Kosowa. Wtedy to też miało miejsce pierwsze „czyszczenie" ziemi będącej pod panowaniem serbskim z muzułmanów. Projekt ten nie narodził się w Leskovacu, Nišu czy też Vranju, a więc miastach, gdzie w sposób najbardziej brutalny został zrealizowany (spotykając się tam raczej z oporem miejscowej ludności serbskiej, włączając w to lokalnych generałów), lecz w Belgradzie, gdzie przygotowywano państwową politykę etnicznie czystego terytorium. Faktem pozostaje, że *muhadżiży* osiedlający się w Kosowie, z których zdecydowana większość była Albańczykami, różnili się znacznie od swoich rodaków współżyjących od stuleci ze swymi sąsiadami, przynosząc ze sobą nienawiść do chrześcijan, a zwłaszcza prawosławnych Serbów. Dotyczy to również muzułmanów, którzy przybyli do Kosowa z Bośni, emigrując stamtąd dobrowolnie po tym, jak dostała się ona pod panowanie Habsburgów, i którzy utworzyli *muhadżirską mahalę* w Prizrenie.

Od tamtego czasu, od Kongresu Berlińskiego w 1878 roku, rozpoczyna się walka pomiędzy Serbami i Albańczykami o Kosowo, które Timothy Garton Ash nazwie „europejską Palestyną". Zderzają się ze sobą dwa nacjonalizmy, różne, bowiem – w odróżnieniu od serbskiego, rodzącego się na fali ruchu narodowego i dążącego do wyzwolenia spod niewoli tureckiej – albański miał charakter obronny, rodził się z Albań-

czyków ze strony ich sąsiadów, nie kryjących swych roszczeń terytorialnych Serbów, Czarnogórców i Greków. Tradycja sąsiedztwa, tego najbliższego, która tutaj przez stulecia była kultywowana, stanowiąca, że sąsiad ważniejszy jest od własnego brata, została zerwana.

Oczywiście wcześniej również nie była to kraina pokoju i międzyludzkiej zgody. Nie brakowało wojen, konfliktów i wzajemnych uprzedzeń, ciągnących się przez stulecia. Jednak ludzie według innego porządku budowali swoje wspólnoty na brzegach rzek płynących przez ich ziemię. Czasem katoliccy i prawosławni przywódcy duchowni spiskowali wspólnie przeciwko sułtanowi, czasem klany rodzin czarnogórskich i albańskich zawierały sojusz, by wspólnie łupić bogatych, czasami biedni Serbowie i Albańczycy wspólnie buntowali się przeciwko wysokim podatkom, czasami spór dotyczył katolickich i muzułmańskich Albańczyków, a nie Serbów, z którymi jedni i drudzy dobrze współżyli. A przy tym kraj tych mieszkańców osiedli porozrzucanych na różnych brzegach rzek słynął ze wspaniałych mostów, które obdarzano kultem, podobnie jak ich budowniczych. Wtedy nie znano jeszcze takiego charakteru rzeki jaki posiada dzisiaj Ibar, dzieląca powojenną Mitrovicę na brzeg albański i serbski, a wznoszący się nad nią most, na którym stacjonują francuscy żołnierze, miast łączyć dwa brzegi, zabezpiecza, by się wzajemnie nie pozabijano.

Kiedy Edith Durham dotarła po raz pierwszy do Kosowa, pełno już tam było nienawiści, przypadków podrzucania do meczetów martwych świń (znak wypowiedzenia wojny muzułmanom przez chrześcijan) i szpiclów różnej maści, knujących rozpętanie krwawego narodowego konfliktu. Już wtedy mogła spotkać się z takimi wypowiedziami Albańczyków, jakie w przededniu drugiej wojny światowej usłyszała Rebecca West od dwóch katolickich mieszkańców Peci wiozących ją taksówką do monasteru: „Zgodni byli co do tego, że ucieszyłaby ich każda wojna, byle tylko dała im szansę zabicia wielu Serbów." I już wtedy mogłaby dodać, tak jak to później uczyniła jej krajanka: „Wiedziałam, że dla takich sformułowań istniało pewne usprawiedliwienie." Edith podróżuje w przeddzień pierwszej wojny bałkańskiej, wybuchłej w 1912 roku,

w wyniku której Kosowo dostało się pod panowanie serbskie, i która przyniosła ze sobą pierwszą w Kosowie „Albańską Golgotę" (tak zatytułował swój, opublikowany w 1913 roku, materiał dokumentujący zbrodnie armii serbskiej w Kosowie austriacki socjaldemokrata, Leo Freundlich). Komentujący te wydarzenia dla gazety *Kijewskaja Mysl* jej wiedeński korespondent Leon Trocki, pisał (jeszcze wówczas pod nazwiskiem Lew Bronsztein): „Serbowie w Starej Serbii, powodowani narodowym wysiłkiem zmierzającym do zmiany niekorzystnych dla nich danych w statystyce etnograficznej, dopuścili się systematycznej eksterminacji ludności muzułmańskiej." Na możliwość rewanżu nie trzeba było długo czekać. Zimą 1915 roku armia serbska, zaskoczona jednoczesnym uderzeniem sił austriacko-niemieckich z północy i bułgarskich od strony Macedonii, zmuszona zostaje do odwrotu. Jedyna droga wiedzie przez góry Kosowa i północnej Albanii. W śniegu i mrozie, pozbawieni żywności i odpowiedniej odzieży, zjadając własne konie i dopuszczając się aktów kanibalizmu, ginący masowo żołnierze serbscy nie doświadczyli żadnej pomocy ze strony miejscowej ludności.

Obrazy z odległej przeszłości stały przed mymi oczami jak żywe. Pomimo wysiłków, by uwolnić się od ciężaru historii, przez cały czas podróży z Eqremem, moje myśli powracały z uporem do tragicznych wydarzeń, które tu miały miejsce. „Czasem bardzo trudno jest określić różnicę pomiędzy historią a smrodem skunksa". Przypomniałem sobie to zdanie Rebeki, gdy poczuliśmy odór rozkładającego się mięsa pochodzący od bydła rozszarpanego na polu przez miny. Most przy naszej trasie został wysadzony w powietrze, więc teraz podskakiwaliśmy na wybojach polnej drogi, mając w ustach pełno kurzu z rejonu Drenicy.

Trudno było sobie wymarzyć lepszego towarzysza podróży niż Eqrem. Gdybym miał z nim zawędrować na samą krawędź piekła i tak czułbym się bezpieczny. Posiadał dar mądrego zamieszkiwania rzeczywistości w której przyszło mu żyć, charakterystyczny dla poety wrażliwego na każdy jej szczegół i pozostającego w najlepszej komitywie z tym, co realne, a tym samym dalekie od iluzji, uprzedzeń i kompleksów. Dawało mu to niebywały spokój i siłę, a zarazem pewien

nadmiar serdeczności, którym chętnie się dzielił. Udomowił siebie w tej krainie po królewsku i nie wyobrażam sobie takiej mocy – a różne już przeciwko niemu napierały – która byłaby zdolna wyrwać go z jego Kosowa.

„A może to teraz właśnie jesteśmy na krawędzi piekła?" – myślałem rozglądając się dokoła. Komentarze Eqrema stawały się coraz bardziej lakoniczne, a gdy padło słowo „Drenica", urwały się. W milczeniu przejeżdżaliśmy przez ziemię jałową, od lat nieuprawianą, obok zdziczałych ogrodów, gospodarstw, z których nie pozostał kamień na kamieniu, ptactwa rozdziobującego padlinę, dzieci taplających się w wodzie na dnie lejów po bombach, ryczących krów z niewypróżnionymi wymionami, bo nie było komu wypróżnić, bo nawet młodzi chłopcy i kobiety szły tutaj do walki, a starcy, jeśli pozostali, kuśtykali o kulach. Byliśmy na albańsko-serbskim Kosowym Polu, w rejonie Drenicy.

Wydarzenia, o których świat usłyszał w 1998 roku pod hasłem „masakry w Drenicy", a potem wyjątkowo krwawy w tym rejonie przebieg wojny 1999 roku, to był zaledwie ostatni akt śmiertelnej walki o wyzwolenie, jaką toczyli tutaj Albańczycy. Ledwie zakończyła się pierwsza wojna światowa, ledwie powstała Jugosławia, a już ci, których o wolę przynależności do państwa południowych Słowian nikt nie pytał, uformowali w rejonie Drenicy niewielkie oddziały rebeliantów, zwane *kačak* (od tur. zbieg, uchodźca). Ich charyzmatyczny przywódca, Azem Bejta, wraz z walczącą z nim młodziutką żoną Shotą, zgromadzili w swych oddziałach około dziesięciu tysięcy bojowników. Domagali się m.in. samorządności dla Kosowa, wprowadzenia języka albańskiego do szkół i zaprzestania odbierania Albańczykom ziemi. Początkowo za zasadę przyjmowali niestosowanie przemocy wobec serbskich cywilów i nietykalność świątyń. W odpowiedzi miejscowe władze zaczęły tworzyć formacje, tzw. *četas*, zbrojne oddziały złożone z miejscowych Serbów. Tak narodził się ruch czetników, którego pierwszym przywódcą został Kosta Pecianac, przyjaźniący się za młodu – jak wieść gminna niesie – z Bejtą. Ale teraz o żadnej przyjaźni nie mogło już być mowy; zapomniano także o zasadzie oszczędzania ludności cywilnej; polała się sąsiedzka krew. Serbowie bezlitośnie rozprawili się ze słabo uzbrojonymi oddziałami *kačaków*. W 1927 roku Shota,

ostatnia ocalała ich przywódczyni, śmiertelnie ranna, przedzierała się z resztką bojowników do Albanii, gdzie wkrótce zmarła. Stała się bohaterką dla wielu kobiet albańskich, które jeszcze nieraz walczyć będą z bronią w ręku.

W czasie drugiej wojny światowej partyzanci jugosłowiańscy znajdowali sojuszników wśród kosowskich Albańczyków obiecując im niepodległość albo przyłączenie do Albanii. Gdy w 1944 roku okazało się, że obietnica nie zostanie dotrzymana, Albańczycy poczuli się zdradzeni. W Kosowie rozpoczęły się rozruchy, dla stłumienia których Tito musiał wysłać blisko 30-tysięczne oddziały. Ich epicentrum znowu stanowił rejon Drenicy, gdzie zbuntował się albański przywódca partyzancki, Shaban Polluzha. Czterdzieści cztery wioski zostały zrównane z ziemią, by stłumić opór miejscowych Albańczyków, utrzymujący się do marca 1945 roku. Tim Judah, autor książki „Serbowie", konstatował: „wcielenie Kosowa do Serbii w 1944 roku było równoznaczne z ponownym zaszczepieniem raka w politycznym ciele Serbii".

Oni nie chcieli żyć ze sobą razem. Nie było końca zerwanej tradycji sąsiedztwa. Drenica jest tego najbardziej jaskrawym dowodem. Przez lata komunizmu próbowano budować sztuczne braterstwo, ustanawiane mocą partyjnego nakazu, fałszywe i spartaczone jak większość socjalistycznych budowli. Symbolizować je miał betonowy pomnik stojący do dzisiaj w centrum Prištiny, na pośmiewisko chyba jedynie. Eqrem, objaśniając mi, że te trzy splecione ze sobą elementy to narody: serbski, czarnogórski i albański, dodał ironicznie, wskazując na płaskorzeźbę obejmującą pomnik od dołu: „A te pełzające w bólach postaci to pewnie Cyganie." W początku lat 90-tych Bogdan Bogdanović, były burmistrz Belgradu, którego zaliczam do prawdziwych autorytetów moralnych pośród Serbów, wypowiedział słowa, które mogły paść równie dobrze zanim komuniści zaczęli rządzić w Jugosławii: „Aby położyć raz na zawsze kres nienawiści i wzajemnym waśniom, Albańczycy i Serbowie muszą rozdzielić się jak przyjaciele i żyć obok siebie jak dobrzy sąsiedzi." Ale Bogdanović żyje na wygnaniu, w Wiedniu, a tam, wewnątrz bałkańskiego interioru, jego słowa brzmiały jak bredzenie kogoś, kto albo jest szaleńcem albo zdrajcą. Więc nie rozstali się jak bracia. Gdy

wiosną 1999 roku setki tysięcy Kosowian rozpoczęły swoją kolejną wygnańczą wędrówkę przez ośnieżone góry, cóż innego mógł powiedzieć Ismail Kadare, autorytet moralny pośród Albańczyków: „Po tym wszystkim Serbowie i Albańczycy nie mogą żyć razem, przynajmniej przez długi, długi czas."

Wszystko, o czym piszę teraz, rani moje serce. Jakbym czynił coś wbrew sobie, wbrew całej swojej naturze. Kawał życia poświęciłem budowaniu mostów pomiędzy ludźmi, żyłem i pracowałem na pograniczu wierząc, że ocalając to, co wspólne, wielokulturowe, ocalamy najgłębszą naszą istotę. Bez „ty", bez drugiego głosu, który na pograniczu jest zawsze głosem innej narodowości czy religii, człowiek pozostawał tylko częścią całości, zagrożony upadkiem. Wierzyłem naiwnie, że współżycie różnych narodowości w jednej wspólnocie, jak w jednym domu, to jest ta słuszna sprawa, o którą trzeba walczyć zawsze i wbrew wszystkiemu. Powinienem zatem znaleźć się w gronie tych szlachetnych ludzi z całego świata, którzy dobrodusznie acz stanowczo domagali się od Albańczyków i Serbów, żeby nadal żyli ze sobą razem i w zgodzie. Będąc w Kosowie zrozumiałem, że jest to wymaganie nieludzkie i groźne. Groźne dlatego, że kieruje na drogę fałszywej iluzji, która może mieć swój koniec na krawędzi kolejnej przepaści. Czułem, że prawdę mówią Bogdanović i Kadare, i że to do ich mądrości powinny zostać dostosowane rozwiązania polityczne, a nie do dobrych chęci światowych dobrodziei.

Tutaj, w rejonie Drenicy, wszystko zostało zrujnowane. Wszystko trzeba było zacząć budować od nowa. A jeśli twój dom zostanie spalony – myślałem, przejeżdżając obok zgliszcz parceli, przed którą pozbawieni dachu nad głową ludzie umocowali tablicę z napisem „No more Serbia!" – jeśli zostanie zburzony do fundamentów, to rozpoczynając jego odbudowę musisz najpierw zakreślić granicę. Inaczej nie zbudujesz domu, nie stworzysz pogranicza, nie odrodzisz tradycji sąsiedztwa. Jeśli twój świat zostanie zrujnowany, to pierwsze, co czynisz w instynkcie samozachowawczym, to oparcie własnych rąk o kamienie znaczące nową granicę. One są jedynie realne. Człowiek powinien mieć prawo do ich ułożenia i ich nienaruszalności, choćby to prawo nie figurowało na żadnej liście praw człowieka. Trudno to odczuć spekulując z oddali, natomiast w Kosowie ci, którzy tego nie słyszą, przypominają osoby lubiące śpiewać, którym jednak słoń nieszczęśliwie nadepnął na ucho.

Będąc Europejczykami w większości wychowanymi w czasach pokoju i oswojonymi z niwelowaniem granic, zbyt łatwo zapominamy, że nie wszystko, co stanie przed nami jako wyzwanie, dotyczyć będzie zachowywania wartości już ustanowionych. Czasem będziemy musieli budować coś zupełnie od nowa. A to dlatego, że tu w Europie, umiemy także niszczyć bez litości i do fundamentów. Tak, sami jesteśmy barbarzyńcami, bądź też przyzwalającymi na barbarzyństwo, co na jedno wychodzi, bo popiół zniszczenia osiada na rękach jednych i drugich, tak jak teraz na moich ten kurz z Drenicy.

Zbliżaliśmy się do Przeklętych Gór. W bruegelowskim pejzażu rozległego płaskowyżu osamotniona cerkiew, zwalona na ziemię, z rozbitą kopułą, nieomal tak samo mogła ujść uwadze jak upadek Ikara. Tak więc także i to tabu, nienaruszalności świątyni, tak przestrzegane jeszcze w ruchu *kačaków*, zostało tutaj złamane. Był piękny wrześniowy dzień. Ognistoruda czerwień dachówek kryjących domy, które gęsto obsiadały okoliczne wzgórza, coraz wyraźniej odcinała się od ochry czystego nieba, siwej bieli minaretów i ciemnosinego tła gór. Peja położona była w samym rogu zbiegających się tutaj z północy i południa pasm górskich. Po pustynnej Drenicy robiła wrażenie oazy życia. Zdawało mi się, że widzę kupców, którzy, jak w dawnych czasach, przybywają z Raguzy po *fina lana de Albania*, słynną tutejszą wełnę. Chłonąłem rześki powiew Bystrzycy płynącej przez środek miasta. Zagadywałem ludzi czytających klepsydry na drzewach, pełne fotografii młodych mężczyzn. Zaglądałem do kuźni Cyganów, budząc zdziwienie, bo nikt inny tam nie zachodził. Cieszyłem oczy tłumem i gwarem ludzi na *čarsiji*. I nagle fatamorgana spragnionego wody pustynnika zaczęła znikać. Zobaczyłem, że stragany obwieszone azjatyckimi ciuchami i inną tandetą spotykaną na wszystkich wschodnioeuropejskich targowiskach, ustawione są na usypiskach gruzu. Zobaczyłem domy wypalone od środka jak czarne dziuple.

Zobaczyłem XVI-wieczny meczet Bajrakli wydrążony wewnątrz nie jednym ręcznym granatem. Zobaczyłem siedzącego u jego wejścia starego człowieka w plisie, strażnika pustki. „Nasze miasto zgasło" – powtarzał, a Eqrem tłumaczył mi, że *manary* (a więc minarety, dosłownie – miejsca chroniące światło) we wszystkich trzydziestu jeden meczetach Peji zostały zniszczone. Błąkaliśmy się długo po starej części miasta i Kapaśnicy, jednej z albańskich dzielnic. Setki pojedynczych domów zniszczono od środka. Tego nie mogła dokonać armia, ostrzeliwująca miasto z artylerii. To musiała być – jak powiedział nam właściciel knajpki, w której zjedliśmy *čevabčiči* i *pitarkę* – „ręczna robota". Tego dokonać mogli tylko sąsiedzi, dom po domu, z precyzyjną wiedzą o każdym mieszkańcu.

W innej dzielnicy trafiliśmy do kościoła katolickiego, chyba jedynej ocalałej świątyni w mieście. Siostry Matki Teresy właśnie prowadziły modlitwę, przeplataną pieśniami przy akompaniamencie gitary. Od jednej z nich dowiedziałem się, że wśród modlących się są także muzułmanie. „Usłyszysz też pieśń po słowiańsku" – dodała szybko i zniknęła. Ale któż mógł ją śpiewać, jeśli nie prawosławni...?

Trzeba było jakoś pozbierać myśli. Przysiedliśmy w zrujnowanym meczecie, nieopodal *hamamu* (tureckiej łaźni). Przylegał do niego cmentarz, a na dziedzińcu zarastał zielskiem kamienny *szardirwan,* tryskający kiedyś źródlaną wodą. W *mihrabie,* obszernej niszy ujętej po bokach kamiennymi kolumnami, wskazującej modlącym kierunek na Mekkę, bezpańska suka urodziła szczenięta, które wysuwały ku nam swoje pyszczki z łoża umoszczonego jesiennymi liśćmi. Panowała absolutna cisza. Siedziałem naprzeciw Eqrema, katolik – a więc bliższy tutejszym katolickim Albańczykom, i Słowianin – a więc bliższy Serbom, siedziałem naprzeciw Albańczyka o tradycjach muzułmańskich, który prowadził świecki tryb życia, jak większość ludzi w Kosowie, siedziałem w pustym meczecie i czułem, że istnieje coś silnego pomiędzy nami, co łączy. Byliśmy ze sobą zaledwie kilka długich dni, ale to wystarczyło by dzielące nas różnice zeszły na dalszy plan. Nie zawdzięczaliśmy tego świadomej woli, wzajemnej ciekawości czy chęci zrozumienia. Raczej miejscu i czasowi, w którym się spotkaliśmy. To był dziwny rodzaj mocy biorącej się stąd, z tego zrujnowanego miasta, z Kosowa, z wojny, z krawędzi piekła. Myślę, że tej samej, z którą spotkaliśmy się w kościele. Pojawia się w sytuacjach najbardziej niewyobrażalnych, trudnych, kiedy wyczerpuje się tolerancja, a wkrada nienawiść i przemoc. To wtedy dochodzi do tych spotkań, koniecznych, intensywnych, przełamujących podziały, z którymi w innej sytuacji nie potrafilibyśmy sobie poradzić przez całe lata wspólnego obcowania. To, co zobaczyłem w kościele, nie było jednym z nabożeństw ekumenicznych, które znałem, którego uczestnicy chcą się poznać i wspólnie pomodlić za jedność. Tam spotkali się ludzie, którzy doświadczyli absurdu międzyludzkich podziałów i zapłacili za to najwyższą cenę. A wtedy jest to już inna modlitwa.

Ponownie zacząłem czuć, że przebywam na Ziemi Dialogu. Powracające obrazy różnych mieszkańców Kosowa uczestniczących we wspólnych obrzędach, pochodzące z odległej przeszłości, nakładały się na dzisiejsze, z kościoła i meczetu. Zdawały się wyrażać jakiś archetypowy prawzór. I to właśnie tutaj, w tym zgasłym mieście, przypominającym szkielet, którego obraz tak niesamowicie trafnie antycypowała Rebecca West swoim opisem sprzed ponad pięćdziesięciu lat: „Nikt, kto nie był w Peci, nie może sobie wyobrazić jak nierzeczywiste mogą być domy, w których żyją ludzie. Większość z nich, podobnie jak niektóre sklepy, mogłaby zostać przewrócona w pół godziny przez niespecjalnie silnego człowieka wyposażonego w mały kilof, a wiele mogłoby się rozpaść do samych fundamentów. (...) Strumień wił się w głębokim korycie jak czarny wąż, a domy stawały się kredowoblade jak widmo albo szkielet."

Eqrem musiał już wracać do swojego miasta, do Prištiny. Patrząc w ślad za oddalającym się przyjacielem przypomniałem sobie jego opowieść o zakopanej rzece. Priština nie miała rzeki. Kiedy budowano pomnik braterstwa, tamtejsza rzeka była tak brudna i cuchnąca, że ją zakopano. Bardzo chciał ją odzyskać. Brakowało mu jej, bo ona to most – drugi brzeg. Wiedziałem, że i on, i wszyscy w Kosowie, którzy będą kopać razem z nim, dotrą któregoś dnia do rzeki płynącej przez Ziemię Dialogu.

Mnie pozostał już ostatni odcinek drogi. Minąłem *check-pointy* włoskich żołnierzy, rozstawione w pobliżu

monasteru w Peci, w którym znaleźli schronienie ostatni pozostali tu Serbowie, i powoli zanurzyłem się w przepastny kanion Rugova. Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Droga wiła się pod skalnymi urwiskami, z których zimą 1915 roku armia serbska zrzuciła w przepaść swoją broń, by nie dostała się w ręce Austriaków i Bułgarów. Z przełęczy Przeklętych Gór spojrzałem po raz ostatni na Kosowo. Patrolowane nieustannie przez samoloty NATO, przywiodło mi na myśl ludzką krainę opisywaną w wierszu albańskiego poety, Alego Podrimji, krainę, w której wskazuje się Albańczyka albo Serba, aby go zabić, ale nie wskazuje się wilka... „Biada trzodzie, która nie zabija wilka".

Odwróciłem się. Przede mną była granica z Czarnogórą, na której kiedyś kończyło się imperium osmańskie. Tutaj „strome przepaście i nieprzystępne szczyty ukazują żelazne uwarunkowania, które nasza ziemia ukrywa pod trawą i kwiatami." Było to dobre miejsce na spotkanie z autorką tych słów, Rebeccą West.

●

Nie możemy zbyt długo rozmawiać, Rebecca. Na to przyjdzie czas innym razem. Wiem, że to gdzieś tutaj spotkałaś starą kobietę, której życie na pograniczu nie oszczędziło cierpienia. Szła w te góry, by zrozumieć, dlaczego to wszystko się stało. „Gdy spadał na nią miecz z ciemności, chwyciła jego ostrze, nie bacząc, że ucina jej palce, i trzymała tak długo, aż zdążyła zapytać z jakiej substancji został zrobiony, gdzie wykuty i kto nim władał." Rozpoznałaś w niej siebie. Ty też uważałaś, że trzeba walczyć z przeznaczeniem przypisanym nam przez naturę przemocą. Wyruszyłaś w podróż, próbując zgłębić istotę katastrofy, której nadejście przeczuwałaś. Nie myliłaś się. To nie był sen, który uczynił Europę tak zamilkłą, to była śmierć. Jestem tutaj, bo trudno mi było usiedzieć w domu kiedy wybuchła nowa wojna w Kosowie. Tak jak wcześniej, trudno mi było wytrzymać w Europie podczas walk w Bośni. Szukałem miejsca, gdzie prawda o nas samych nie ukrywa się pod kwiatami. I ja niespodziewanie znalazłem siebie zagubionego w labiryncie, a nitka, zdająca się z niego

wyprowadzać, prowadziła na Bałkany. Po 1989 roku w moim domu wszystko wydawało się być rozstrzygnięte i poukładane: demokracja, prawa człowieka, gospodarka wolnorynkowa, unia europejska... Jeśli nie już, to za chwilę. Tymczasem droga wiodła mnie w takie powikłanie, w którym – jak pisałaś – „nikt nie może mieć racji i nikt nie może być jej pozbawiony, a przyszłość nie może być szczęśliwa." Przybywałem tu ze świata długotrwałego pokoju, o którym Kant pisał, że wiedzie zazwyczaj do panowania ducha handlu, niskiej chciwości, tchórzostwa i zniewieściałości. Ty znałaś cenę pokoju utrzymywanego kosztem innych wartości. Nie znosiłaś Chamberlaina i jego doktryny appeasementu, *tchórzliwie ustępującej żądaniom dyktatora. Powracając z Kosowa znajdowałaś swoich rodaków przyjmujących kapitulację w Monachium jako triumf rozwagi w zachowywaniu* status quo. *Zawalił ci się wtedy świat. Wszystkie uznane przez ciebie autorytety i głoszone przez nich idee nie wytrzymały próby rzeczywistości. Zaczęłaś podróżować do Jugosławii w czasie, gdy europejska bestia wyszła ze swojej jamy. Dostrzegłaś, że dobre chęci i szczytne wartości nic nie znaczą dopóki nie zostaną zrealizowane w życiu, a więc w konfrontacji z tą bestią. Domagałaś się już wtedy międzynarodowego trybunału sądzącego władców za ich zbrodnie. Utworzyliśmy taki trybunał, ale nigdy byś nie zgadła, że jako pierwszego oskarży on prezydenta Jugosławii. Oczywiście dzisiaj nic nie jest takie samo, jak za twoich czasów. Bestia wydaje się dużo słabsza, ale mam poczucie, że wcale żeśmy jej nie ujarzmili, że to dopiero początek. Zresztą już i to, te dziesięć lat wojen w rozpadającym się na kawałki królestwie Słowian południowych, wystarczyło by stwierdzić, że również moje ideały nie wytrzymały próby rzeczywistości. Wiedza zdobywana przeze mnie w podróży na Bałkany jest gorzka. Dom, który zbudowaliśmy w Europie po zwycięstwie najpierw nad faszyzmem a potem komunizmem, okazuje się być domem na lato jedynie. Mamy kartę praw człowieka, lecz nie mamy siły, aby ją wcielić w życie. Co więcej, użycie tej siły zdaje się stać w sprzeczności z tymiż prawami. To paraliżuje. Przez trzy lata biernie przypatrywaliśmy się jak giną mieszkańcy Sarajewa, miasta*

oblężonego przez wysłanników bestii. A gdy ci zaczęli się zbliżać do Kosowa, wycofaliśmy swoich emisariuszy mających chronić ludność cywilną. Potem, gdy było już za późno, wzięliśmy udział w walce, nękani cały czas obawą, że siła, po którą sięgamy, sprzeczna jest z prawem i wartościami przez nas wyznawanymi. Po tej bitwie nikt nie świętował zwycięstwa. W dalszym ciągu ponosimy klęski w imię cnoty, zamiast zwyciężać. Wyspecjalizowaliśmy się jedynie w pomocy niesionej ofiarom. Przybywszy w te góry, ja również miałem poczucie, że już tutaj kiedyś byłem, na tym naszym ludzkim Kosowym Polu. Szary sokół z pieśni o bitwie kosowskiej lecący z Jerozolimy z listem do księcia Łazarza, z którego dowie się on, że nie można być zwycięzcą jednocześnie w niebie i na ziemi, że wybierając królestwo niebieskie musi ponieść klęskę w bitwie na ziemi – ten szary sokół nadal mości sobie gniazdo w naszym łonie i wbija dziób w nasze żyły. I nadal skrwawiona skała, jak ta na Owczym Polu w Macedonii, na której wykonawca rytuału przeżynał gardło czarnemu jagnięciu, składanemu przez ludzi w ofierze – ta skała nadal ma władzę nad naszymi umysłami. Nadal wierzymy, że cierpienie i śmierć jest ceną za dobroć Bożą i nasze zbawienie. Nasza niechęć do bycia kapłanem zarzynającym ofiary, nie sprawia, że odrzucamy sam rytuał. Jest w nas coś takiego, pewna samobójcza słodycz, która sprawia, że sami chcemy zostać złożeni w ofierze. To jest ta klęska, która oznaczać ma nasze zwycięstwo i naszą wyższość wobec tych, którzy nie wyznają szczytnych wartości i wprawdzie dzierżą władzę, kierują głównym strumieniem życia, ale tylko tu, na ziemi. Dlatego pacyfiści, obrońcy praw człowieka i jeszcze wielu innych ideałów, zawsze mieli rację, której nigdy nie potrafili wprowadzić w życie. Cień szarego sokoła i czarnego jagnięcia sprawia, że walcząc o słuszną sprawę pragniemy klęski. Nie chcemy być bezwzględni i sięgać po siłę, by nie sprzeniewierzyć się swoim ideałom. Tym samym jednak nie możemy czynić miłości. Żyjąc cnotliwie, sprzeniewierzamy się miłości. Czy to nie ty, Rebecca, powiedziałaś, że miłujący rodzą się z predylekcją ku klęsce? Ależ nie, ty się właśnie przeciwko tej prawdzie zbuntowałaś, jak i przeciwko cnocie twoich przyjaciół z Unii Ślubującej

Pokój, którzy „zdradzili życie i miłość na polu większym niż Kosowo, tak dużym jak Europa". Twój bunt daje nadzieję, że bitwa jeszcze trwa. Teraz wiem, że wyruszyłem w podróż na Bałkany by razem z tobą stanąć do walki w tej bitwie, tu, w Kosowie, i w każdym innym miejscu na ziemi.

Krzysztof CZYŻEWSKI

KSIĄŻKI POLSKIE
ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE
DAWNE I NOWE
W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE
POLECA
ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI
7, rue de la Bûcherie 75005 Paris
Telefon 01 40 51 76 40
Fax 01 40 51 78 32
Metro: Maubert-Mutualité
Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87
od wtorku do soboty od godziny 10 do 19
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Demokracja po rusku (notatki na marginesie lektury)

„Dawno pora, takaja mat', umom Rossiju ponimat'".
współczesny poeta

Autor „Demokratii po-russki"*, skąd wziąłem motto, nie nazywa tego poety, ale za to wyjaśnia, jak sam *umom* Rosję pojmuje: „Należy publicznie, bez ckliwości i cackania się, pokazać r e a l n e bytowe, glebowo-klimatyczne, geograficzne i infrastrukturalne warunki życia Rosjan w przeszłości oraz obecnie".

Podkreślenie moje.

●

Najpierw kilka słów o autorze i jego książce.

Władlen (WŁADimir + LENin... ot, jak kiedyś dzieci w Sowietach nazywali) Sirotkin, doktor historycznych nauk, urodził się w 1933 roku. Do pieriestrojki pracował w Akademii Nauk ZSSR jako znawca stosunków rosyjsko-francuskich epoki Rewolucji i wojen Napoleona. Napisał wiele książek na ten temat. Podczas pieriestrojki aktywnie poparł genseka Gorbaczowa, był współautorem głośnego „50/50. Słowar' głasnosti" (wyd. 1989). W latach 90-tych pełnił sporo publicznych ról: zajmował się prawami człowieka w Rosyjskiej Federacji i rosyjskim złotem wywiezionym za granicę,

* Władlen Sirotkin, „Demokratija po-russki", MIK, Moskwa 1999, s. 423

regularnie też występował w mass-mediach... W latach 1995-98 wykładał na uniwersytetach w Sorbonie, Prinston i Cambridge. Jak sam twierdzi, ważniejszym zdarzeniem w jego życiu było poznanie Michaiła Hellera (Adama Kruczka) w Paryżu w 1990 roku.

„Rosyjskie notatki" Adama Kruczka z *Kultury* (wychodzą obecnie w Moskwie w kolejnych tomach wydawnictwa MIK) Sirotkin wziął „za gwiazdę przewodnią dla swych rozmyślań", a znajomość z Hellerem opisał w epilogu „Demokratii po-russki". Epilog ów wejdzie w zbiór wspomnień o Michaile Hellerze, zapowiadany przez wydawnictwo MIK w najbliższym czasie.

Szkice „Demokratii po-russki" nie tylko przypominają „Rosyjskie notatki", ale w jakimś sensie je kontynuują. Obaj pisarze wykorzystują historyczne analogie do głębszego zrozumienia dzisiejszej Rosji, obydwaj piszą z finezją, lekko się ich czyta – ten sam *genre,* taże ironia. Różnica w punkcie obserwacyjnym, z którego oglądają rosyjską rzeczywistość – Heller patrzył z dystansu, z Paryża, był więc mniej zaangażowany i wszystkich aktorów sceny politycznej z równą niechęcią traktował, natomiast Sirotkin spogląda od środka, sam poniekąd wciągnięty, stąd i emocje większe, i jawne sympatie (Primakow), i antypatie (Gajdar, Czubajs, i w ogóle tak zwani „młodzi demokraci"). I jeszcze jedno „Demokratija po-russki" to zbiór tekstów publikowanych w różnych periodykach, jest więc mniej spójna, niż „Rosyjskie notatki", częściej się powtarza.

Zresztą, być może p o w t ó r z e n i a są kluczem do tej książki, bowiem jej wątki się przeplatają jak nici w tkaninie, co jakiś czas powtarzając ten sam wzór. Jakby autor chciał pokazać, że historia wciąż te same karty nam rozdaje, te same „grabie" podkłada... Mamy tu starych „nowych ruskich" – ich na początku wieku nazywano „nuworyszami" (od franc. *nouveaux riches*) – np. giełdowy spekulant Rubinsztein czy „lico kaukaskiej narodowości" Manasewicz-Manuiłow, prywatny sekretarz Griszy Rasputina. Mamy „wojny kompromatów", które 80 lat temu były także brudne jak dziś – choćby wspomnieć publikację fotek carycy z Rasputinem. Mamy też terroryzm, bynajmniej nie czeczeński pomysł na życie oraz separatyzm syberyjski już w 1917 roku, i niewypłacalne długi...

Ba, nawet kolorowe metale kradli dawniej nie gorzej niż dziś, tylko nie kabel miedziany od telefonu, a klamki z brązu w wagonach.

Wątków w „Demokratii po-russki" jest wiele, każdy tu znajdzie coś dla siebie – są portrety wybitnych reformatorów Sperańskiego i Witte, a przy okazji *memento* dla dzisiejszych „czubajsów"; są odpowiedzi na pytania typu: „Dlaczegoż Jelcyn nie stał się rosyjskim de Gaulle'em?", albo: „Jest-li możliwa restauracja monarchii w Rosji?", są analogie między kanclerzem Gorczakiem i Jewgienijem Primakowem, i między Nikołajem II i Borysem Jelcynem; są intrygi z ruskim złotem i prawami człowieka na postsowieckim obszarze, i są pytania bez odpowiedzi typu: „Koniec wieku czy koniec *swieta*?" (tu język rosyjski jest dwuznaczny, bowiem *swiet* to i światło, i świat). Z tej obfitości motywów i wątków książki Sirotkina chciałbym dwa wydzielić – dwóm się przyjrzeć.

●

Wątek pierwszy – to *bazowyje otliczija* między Rosją i Zachodem, które nie tylko odróżniają Federację Rosyjską od Europy i Ameryki, ale i powodują, że wszelkie próby wykorzystania zachodnich doświadczeń *à la* Sachs w ekonomii biorą w łeb na rosyjskich przestrzeniach. Do tych „bazowych różnic" Sirotkin zalicza klimat i odległości. 70% terenu Rosji to strefa przypolarna, jak Alaska lub Grenlandia, tu żaden Golfstrom ziemi nie grzeje, jak w Skandynawii czy w Anglii. Tu wydatki na energię cieplną – ogrzanie domu tudzież ciała (szuby, walonki) – są trzy razy większe, aniżeli w Europie. W Kanadzie lub w Stanach (na Alasce) w podobnych warunkach klimatycznych żyje zaledwie 2-4% ludności kraju, podczas gdy w Rosji na Półwyspie Kolskim, na Tajmyrze czy na Czukotce zamieszkują miliony ludzi, przesiedlonych tam za Stalina. Obecny kryzys Północnej Drogi Morskiej (brak ropy, węgla, mazutu) sprawił, że wielu Rosjan znalazło się na skraju życia i śmierci. O jakich tu komputerach, o jakich internetach może być mowa?

Rzecz jasna, w takim klimacie uprawa ziemi różni się od rolnictwa w ciepłych lub choćby umiarkowanych krajach. Jak już wspomniałem, 70% terytorium Rosji to wariant „Alaski",

czyli zony „żadnych" upraw, zaledwie 13-15% ziemi nadaje się do obróbki (w Holandii 95%); w Zachodniej Europie 5 ha żywiło rodzinę od wieków, w Rosji (poza czarnoziemem) 20 ha ledwie parę gęb wykarmi, przy tym własny chleb jada się tylko od święta Pokrowa Matki Bożej (14 października), a i to nie do syta... Las tu ludzi dokarmia (jagody, grzyby), i wędka, i strzelba. Albo siano – we Francji, w Niemczech kosi się je od kwietnia do lipca, a tutaj 20 dni w lipcu i amba: to słońce spali, to deszcz zaleje. Rosyjskie przysłowie powiada, że zima trwa tu dwanaście miesięcy, reszta to lato.

A odległości? Sirotkin parokroć powtarza myśl Bierdiajewa o *Rusi usziblennoj szyr'ju*... 10 kilometrów w Europie odpowiada 100 kilometrom w Rosji i 300 na Syberii. Łatwo policzyć, że przewóz jednej tony – czy to zboża czy żelaza – jest dziesięciokrotnie droższy w Rosji i trzydziestokrotnie na Syberii, aniżeli – dajmy na to – u nas. Dodajmy do tego ogromne rzeki (wszystkie prócz Amura płyną w poprzek) tudzież błota (tundra to *krużewo* wody i mchu), by pojąć, iż głównym problemem Rosji są drogi, bo jakże wywieźć te ogromne bogactwa naturalne z odległej Północy czy z głębi Syberii? Nieliczni władcy Imperium to rozumieli, budując kanały i trakty, zazwyczaj kosztem ludzi. Niektóre z tych budów służą do dziś, na przykład Białomorkanał, inne nie wytrzymały klimatu i wypuczyły się pod wpływem zmarzliny jak szyny Strojki 501.

W ubiegłym stuleciu niejaki Majnow podróżował po Karelii i utyskiwał na brak dróg dla wywozu rudy i drewna, chociaż kraj ten leżał pod nosem ówczesnej stolicy Imperium. Łażąc minionym latem śladami Majnowa, na własnych nogach się przekonałem, że kwestii dróg tam bynajmniej nie rozwiązano.

●

Oba czynniki – klimat, odległości – rozdzielają Rosję na dwie bardzo nierówne części: na ośrodki władzy, gdzie standardy cywilizacyjne nie odbiegają zanadto od zachodnich (zwłaszcza w Moskwie) i głubinkę, gdzie warunki życia nie zmieniły się od czasów Moskiewskiej Rusi. Zatem i Rosjanie – wedle Sirotkina – dzielą się na dwa rodzaje: na stołeczną

(moskiewsko-petersburską) inteligencję u władzy (lub obok niej) i lud. Nie bardzo rozumiem, czemu Sirotkin mówi o inteligencji, ja bym użył słowa *nakip'*, czyli szum, osad, a pojęcie „stolicy" rozszerzyłbym na ośrodki władzy w krajach i okręgach, natomiast z meritum podziału się zgadzam, w istocie rzeczy istnieją dwie Rosje – niczym dwa odrębne światy – tu są kasyna, wybory miss i giełda wysokiej mody, a tam bieliznę się płucze w przeręblu i za potrzebą biega w pole. Nie dziw – pisze Sirotkin – że w swoim czasie moskiewska komunałka była szczytem cywilizacji dla mużyka z głubinki – do lasu za drwami chodzić nie musiał, i woda sama leciała z kranu. Dzisiaj także lud by nie miał nic przeciwko zamieszkaniu w osobniakach „nowych ruskich".

Ot, słowa chłopa spod Penzy: „Reformy buksują dlatego, że dla pienzeńskiego mużyka moskiewski demokrata – to przede wszystkim 'barin', 'gospodin' – którego problemy są och! jak dalekie od mużyckich trosk. Moskiewski demokrata tak i nie stał się dla mużyków swoim, naszym, ruskim na koniec. Na te wasze reformy mużyk patrzy jak na pańskie zabawy, od których siniaki i guzy dostają się jemu – mużykowi. A barin? Cóż, barin kiedy się zmęczy czy znudzi to pojedzie na wody do Baden-Baden lub do Paryża... Jeno patrzeć, jak historia znów się powtórzy – z pożarami dworów i krwawymi bachanaliami wojen i rewolucji".

Sirotkin nieraz powtarza, że zachodnie *rusowiedy* w rzeczywistości niewiele wiedzą o Rosji, budując jej obraz na podstawie wizyty w Moskwie i Petersburgu lub Krasnojarsku czy Ufie... Żadna konferencja prasowa ani bankiet u generał-gubernatora nie dadzą pojęcia o życiu w głębi kraju, to znaczy na 85% terytorium Federacji Rosyjskiej. Autor „Demokratii po-russki" opowiada, jak to pewnego razu cudzoziemcy ze statku wycieczkowego Moskwa-Petersburg byli przekonani, że baby płuczące bieliznę w rzece Swir, robiły to dla nich – w ramach etnograficznej atrakcji. Sądzę, że wielu Moskali, zwłaszcza tych z kuluarów władzy i zza kulis biznesu, myśleliby podobnie... Niedawno Sergiej Kirijenko, lider Sojuza Prawych Sił, występował w telewizyjnych debatach przedwyborczych, że jakoby starzy się wykruszają, a przyszłość należy do młodych i że oni, ci młodzi, poczuli już smak przedsiębiorczości, samorządności, demokracji. Patrząc

na jego gładko wygolony podbródek i zaczesaną łysinkę, pomyślałem:

– Ejże, Sieriożeńka, Sieriożka, mużyka ty, brata swego, nie znasz...

●

Drugi wątek książki Sirotkina, na który należałoby zwrócić uwagę – to tytułowa *demokratija po-russki*. Na przełomie lat 80-tych i 90-tych pozamieniano w Rosji „sowiety" na „dumy", by tym sposobem demokrację parlamentarną zaprowadzić od ręki... Albowiem powszechnie mniemano, że „sowiety" w Rosji wprowadzili bolszewicy w Iwanowo-Wozniesieńsku w 1905 roku, zatem ich komunistyczno-faszystowski rodowód określił charakter Sowieckiego Sojuza. „W rzeczywistości – twierdzi Sirotkin – sowiety (albo – 'wiecze') jako rodzaj samorządu miejscowego powstały tysiąc lat wcześniej i były pierwszą prymitywną formą samoorganizacji miejskich (Nowogród, Psków) i wiejskich komun". O tym, jakie były owe wiecza w rzeczy samej, pisałem niedawno, omawiając książkę Stefana Bratkowskiego – tam dla ilustracji przytoczyłem cytat z Kluczewskiego. Cytat ten i Sirotkin także przytacza, nie raz. Przypomnijmy: „Na wieczach – pisał Kluczewski w swym „Kursie russkoj istorii" – co wynikało już z ich zestawu, nie mogło być ni porządnego omówienia danego problemu, ni prawidłowego parlamentarnego głosowania. Decyzję zazwyczaj przyjmowano na oko, można rzec na słuch, raczej po sile krzyków, niż po ilości głosów. A kiedy wiecze rozdzielało się na 'partie', decyzję wymuszano tam gwałtem i kułakami, i tym sposobem zwycięska strona stawała się większością".

Ktoś może powie, że początki demokracji wszędzie były podobne. Lecz dalsze dzieje parlamentaryzmu i samorządności w Rosji wcale nie wyglądały lepiej. Ot, weźmy dla przykładu Pomorze, tak lubiane przez Sołżenicyna, który dowodzi, że to właśnie tutaj, nie w Nowogrodzie, była kraina prawdziwych demokratycznych swobód. Aleksander Isajewicz, jak wielu innych stołecznych „znawców" ruskiej głubinki, bierze *żełannoje za diejstwitielnoje*, i wymyśla fakty dla swoich teorii. Wystarczy poczytać prace Piotra Jefimienko,

etnografa i jurysty, który żył tu na zesłaniu sporo lat, np. „Narodnyje juridiczieskije obyczai Archangielskoj gubernii" (wyd. 1867), by się przekonać, jak naprawdę wyglądał *mirskij schod*, czyli swego rodzaju „wiejski parlament", z jego *mirojedami* – bogaczami, oraz *goworunami* – demagogami i *szumichoj* – tak zwano izbę, gdzie odbywał się *schod*...

Dzieje parlamentaryzmu w Rosji obfitują w zabawne epizody. Dla przykładu: gdy Katarzyna II próbowała zebrać swój pierwszy „parlament", czyli Komisję do ułożenia kodeksu praw, to w jednym ze wstępnych punktów regulaminu musiała rozsadzić deputowanych „na trzy sążnie jeden od drugiego, by plwocina jednego nie dosięgła drugiego". Niewiele to pomogło, deputowani i tak się opluwali i bili, i matuszka caryca raz na zawsze zrezygnowała z parlamentarnych idei... Lub inny przykład: na pierwszej sesji I Dumy dziesięciu delegatów pozbawiono mandatów za kradzież – jeden z nich ukradł z dumskiej toalety muszlę klozetową, aby z niej poić cielęta w swoim obejściu... A burdy i wory w obecnej Dumie?

Duch rosyjskiego parlamentu – zdaniem Sirotkina – nie zależał od jego nazwy (wiecze, duma, sowiet), lecz od politycznej kultury deputowanych. Zaś w kraju, gdzie do dziś istnieje ogromna przepaść między wąską elitą władzy i całą resztą, dla której wszystkie te „wotumy", „kworumy" czy „frakcji" nie znaczą więcej, niż „unitaz", otóż w takim kraju – twierdzi Sirotkin – wprowadzać parlamentaryzm zachodniego typu to jakby na rosyjską krowę zakładać angielskie siodło.

Pytanie tylko, czy osiodłana krowa da więcej mleka?

●

I na koniec epizod z sołowieckiego podwórka. Na przełomie lat 80-tych i 90-tych na Sołowkach wprowadzono *samouprawlienije*, czyli samorząd terytorialny. Sedno się skryło w rozdziale pieniędzy... dawniej każda jednostka budżetowa na Wyspach dostawała pieniądze od zwierzchnictwa na lądzie stałym (np. pieniądze dla sołowieckiej szkoły przychodziły z archangielskiego wydziału oświaty), przy tym wszystkie kwoty były z góry określone – ile na zapłaty, ile na remonty, i tak dalej... Po wprowadzeniu na Wyspach samo-

rządu terytorialnego, najpierw nasza Duma uchwala roczny „budżet", potem z *obłasti* przychodzą konkretne pieniądze, z reguły znacznie mniejsze niż uchwalona suma, zatem według widzimisię Gławy Administracji i jego zauszników są wydzielane.

Ot, zakupili autobus do przewozu turystów – rzekomo żeby Sołowki na siebie zarabiały – ale była zima i nie mogli go jak przywieźć, więc wydzierżawili komuś na lądzie stałym, kwoty z dzierżawy podziały się nie wiadomo gdzie, autobus się w końcu zepsuł, nikt zań nie odpowiada, tymczasem minęło lato i przyszła nowa zima, a na Sołowkach nie ma pługu do odśnieżania, który można było kupić za te pieniądze.

Takich przykładów dziesiątki.

W tej sytuacji Sołowczanie postanowili sami zlikwidować *samouprawlienije* – poprzez referendum. Zebrali podpisy, przygotowali urny, lecz w ostatniej chwili się wyjaśniło, że prawodawstwo Rosyjskiej Federacji nie dopuszcza możliwości samolikwidacji *samouprawlienija*...

Mariusz WILK

Wiersze

Zbigniew DOMINIAK

ŁYCZAKOWSKA 55

GDYBYM tam wrócił
pewnie bym nie zastał
ani jednego cienia
z domu mego

Ręka kobiety wyciągnięta w geście: TUDY!

Szklisty ślimak oka wędruje po ochrze ściany
Aż po sam dach oficyny w poszukiwaniu znaku
Obecności Patrzą w dół martwe natury okien
Ta z cieniem skrzydła na zielonej draperii
Ta z rozbitą karafką nieba i suchą gałązką
I tylko uchylony Lufcik Kwadrat Malewicza
Zaprasza do wnętrza w którym mieszka czas
Ostatecznie dowodząc zwycięstwa abstrakcji
Nad małymi mistrzami zmysłów
I jedynie smak
Przez chwilę walczy z goryczą spalającą język

X 1999

Zbigniew DOMINIAK

Leszek SZARUGA

UMARLI MÓWIĄ

dla Piotra Matywieckiego

umarł i mówią
że umarli
nie mówią nic
nowego i nic
nowego nie mówią
żywi mówią że
umarli

1.1.2000

WZROK

wzrok poety
jest szybszy od
światła przenika
pod powierzchnię
wszechrzeczy
wyprzedza
czas

Leszek SZARUGA

Janusz SZUBER

KRAHLA

Nie flaszka, nie butelka ale właśnie krahla,
Koniecznie przez słabe h,
Bo tak, inaczej niż w Krakowie, u nas wymawiano.
Z grubego szkła, zapięta
Na druciany zatrzask porcelitowym
Korkiem z gumową uszczelką.
W środku Dżin z baśni
W lepkim kolorowym płynie, tak zimnym,
Że po otwarciu dymiło mleczną mgiełką.
Ciepło, chłodno – nieważne, krahla to było coś,
Czego się nieustannie pożądało.
Na nic perswazje, że w domu kompot
Lub woda z sokiem ożynowym.
Więc kiedy udało się nam wreszcie
Zdobyć na własność pustą,
Ciemnozieloną, bezcenną,
To naszeptywaliśmy w nią zaklęcia i tajemnice
A potem skrzętnie zakopywali
W korzeniach czarnego bzu.

Janusz SZUBER

Wejście smoków

1.

Przez minione 10 lat Polacy oswajali się stopniowo z kapitalizmem. „Oswajali się" – brzmi zapewne zbyt miękko, biernie i łagodnie. Sugeruje – niesłusznie! – że był to proces jednolity, że wszyscy oswajali się razem i że byli tak samo traktowani przez Ducha Dziejów delegowanego w nasze strony u schyłku drugiego tysiąclecia. Oprawa ideologiczna tego procesu edukacji była imponująca: kapitalizm był mianowicie w tym ujęciu najbardziej naturalnym porządkiem spraw ludzkich, i najsprawniejszym, i nadto jeszcze najbardziej uświęconym i moralnym, bo opiera się przecież na Prawie, świętym prawie własności. Mogło wprawdzie dziwić, że zrazu tyle wspaniałości nie miało własnego nazwania, najczęściej mówiono i pisano o wolnym rynku, ale przecież imienia boskiego też nie wolno było u Żydów wzywać nadaremno. Zresztą stopniowo ta wstydliwość zanika, toteż dziś pani Henryka Bochniarz, Wielka Kapłanka Businessu, może pisać z pewnym zniecierpliwieniem w *Gazecie Wyborczej*, że już czas, by Polacy, którzy zaakceptowali przecież kapitalizm, nauczyli się, że muszą akceptować kapitalistów. Bo oni ich, mianowicie, jakoś nie akceptują, czy też nie całkiem akceptują. Wszystko polega na sensie, jaki się nadaje akceptacji. Większość Polaków, ci, którzy nie są kapitalistami, akceptuje kapitalistów na zasadzie „jest jak jest". Jest to akceptacja z rezygnacją. Pani Bochniarz pragnie akceptacji wdzięcznej i radosnej. Na tyle jednak Polacy nie są jeszcze oswojeni czy wytresowani. Zanosi się zresztą, że nieprędko będą, zważywszy na wieści ze świata o przypadłościach

globalnego rynku. Michael Novak, amerykański katolik-liberał chętnie cytowany w Polsce, twierdzi ponoć teraz, że odrodzenie religii jest nieodzownym korelatem i warunkiem globalnego rynku. Czyżby bez Boga ten najbardziej naturalny, najsprawniejszy, moralny i sam w sobie święty kapitalizm miał być zagrożony?

Zostawmy teologię.

Wraz z globalizacją również w Polsce rodzą się lub raczej zaostrzają dylematy dotyczące zasadniczych strategii konstruowania nowego ustroju i włączania Polski do światowego „wolnego rynku". Cudzysłów stąd, że współczesny „wolny rynek" jest obstawiony prawnikami i policjantami, regulowany tysiącami traktatów, umów i przepisów.

Okazją do uświadomienia sobie tego fenomenu stała się w naszym okresie sprawozdawczym afera z przejęciem BIG – Banku Gdańskiego, piątego banku polskiego, przez niemieckiego kolosa Deutsche Bank, który jest też nazywany pierwszym bankiem świata. Afera nie jest jeszcze zamknięta. Po ostatnim zebraniu walnego zgromadzenia akcjonariuszy BIG BG 11 lutego, Deutsche Bank triumfował, ponieważ w nowowybranej radzie nadzorczej BIG BG jest 10 jego ludzi a tylko 9 przeciwników. Zapowiadana jest jednak kontra, zapewne więc będzie w tej sprawie więcej procesów niż dwie skargi już wniesione do prokuratury, po jednej przez każdą ze stron. Nie podejmuję się referować prawnej zawartości obustronnych argumentacji. Miałbym raczej ochotę zachować się jak sąd wojskowy JC Mości Mikołaja II, który na początku stulecia sądził w Warszawie biznesmena – wtedy zresztą mówiono: geszefciarza – Nikodema Ehrlicha, oskarżonego o dostarczanie armii cesarskiej walczącej z Japończykami butów z tekturowymi podeszwami. Sąd zawyrokował: „Nikodemowi Ehrlichowi prokurator nie zdołał udowodnić popełnienia zarzucanych czynów, przeto oskarżonego się uniewinnia. Sąd wszakże jest przekonany, iż rzeczony Nikodem Ehrlich jest niebezpiecznym oszustem, groźnym dla interesów państwa i nakazuje wysiedlenie go z granic Cesarstwa bez prawa powrotu... – To była głowa ten Nikodem Ehrlich. – Kończył mój dziadek-bankier tę opowieść, dodając, że jej wysiedlony bohater pojechał do Berlina, a potem do Paryża, i w czasie pierwszej światowej był znowu... „dostawcą armii JC Mości Mikołaja II".

Przypomniałem sobie tę powiastkę zapoznając się z poczynaniami pp. Władysława Jamrożego oraz Grzegorza Wiecierzaka, prezesów odpowiednio PZU i PZU Życie (Wiecierzak jest też członkiem zarządu PZU). W PZU Skarb Państwa ma 70% akcji, a PZU z kolei ma prawie 100% udziałów w PZU Życie. Obie firmy mają udziały w BIG Banku. Awantura wybuchła, kiedy obaj panowie zachowali się na Walnym Zgromadzeniu Akcjonariuszy BIG BG 28 stycznia w sposób, który umożliwił Deutsche Bank przejęcie kontroli, wymianę rady nadzorczej i zarządu BIG BG. Było to pierwsze podejście, zakwestionowane potem przez sąd i stąd wspomniane już kolejne, z 11 lutego. Natychmiast w nocy z 28 na 29 stycznia obudzony minister Wąsacz oświadczył, że Jamroży naruszył jego instrukcje (Wiecierzakowi instrukcję ministra powinien był przekazać Jamroży). Rada Nadzorcza PZU zawiesiła Jamrożego i Wiecierzaka w funkcjach członków zarządu PZU. To samo miała zrobić z Wiecierzakiem Rada Nadzorcza PZU Życie, ale Wojciech Misiąg, jej przewodniczący, stanął okoniem, natomiast Walnego Zgromadzenia Akcjonariuszy, które by odwołało Radę z Misiągiem, nie udawało się... zgromadzić. Na WZA, które odwołuje radę, muszą być bowiem przedstawiciele wszystkich akcjonariuszy. I oto w PZU Development, które ma w PZU Życie 0,002% akcji, zachorowali kaskadowo lub zniknęli z pracy wszyscy członkowie zarządu, prokurent i wreszcie przewodniczący rady nadzorczej, który miał tamtych wyrzucić. Wiecierzak ocalał i 11 lutego Deutsche Bank wygrał kolejną rundę...

Deutsche Bank skupował akcje BIG BG już od marca 1999, a od czerwca prezes Jamroży współpracował z Deutsche Bank przy różnych kombinacjach giełdowych w przygotowaniu do wielkiego skoku. 5 listopada Skarb Państwa rozpoczął prywatyzację PZU sprzedając 30% akcji PZU za 3,02 miliarda złotych w ręce konsorcjum złożonego z porozumienia ubiezpieczycieli europejskich EUREKO, z banku portugalskiego BCP oraz z BIG BG. Tymczasem w przeddzień, 4 listopada Jamroży jednoosobowo i w tajemnicy przed własnym zarządem zawarł układ z DB o odstąpieniu mu na żądanie wszystkich posiadanych przez PZU akcji BIG BG. Wydaje się, że o umowie nie wiedział również minister Wąsacz i na pewno nie wiedzieli o niej kontrahenci z konsorcjum

uczestniczącego w prywatyzacji PZU, co było zapewne nadużyciem etyki handlowej. Umowę z DB ubezpieczała kara umowna w wysokości 30 mln dol. za odstąpienie od sprzedaży akcji BIG BG. Jamroży twierdzi z całkowitym spokojem, że działał w pełni legalnie i w interesie firmy (PZU)... Tu odsyłam do przytoczonego wyroku carskiego sądu i opinii dziadka o Nikodemie Ehrlichu. Władysław Jamroży został w styczniu br. uznany za najlepszego prezesa firmy ubezpieczeniowej w III RP w plebiscycie czytelników *Prawo i Gospodarka* oraz *Gazety Bankowej*. To też jest głowa...

W kołach politycznych afera DB contra BIG BG wywołała niespotykaną dotąd gmatwaninę frontów, ponieważ politycy reagują jednocześnie na bodźce różnego porządku.

Emil Wąsacz, dopiero co ocalony na stołku ministerialnym dwoma zaledwie głosami, wbrew całej opozycji i przynajmniej jednej trzeciej AWS, zareagował ostro z dwóch przynajmniej powodów. Po pierwsze, nie mógł przemilczeć lekceważenia, jakie mu okazał Jamroży. Pisemne czy ustne, były to instrukcje ministra, a PZU jest ciągle w 70% własnością Skarbu Państwa. Po drugie, Emil Wąsacz wie, że w ekipie AWS wisi na włosku a przejęcie przez Deutsche Bank kontroli nad BIG BG – i to tzw. przejęcie wrogie, wbrew woli zarządu zdobywanego banku – nie może się w ugrupowaniu wrażliwym na hasła narodowe nie odbić fatalnym echem. Gdyby Wąsacz nie zareagował, jego losy byłyby przesądzone.

Zresztą – i tak rokowania ministra są fatalne. Jego wystąpienie przeciw prezesowi Jamrożemu i metodom Deutsche Bank wywołało bowiem otwarty sprzeciw w kierownictwie Ministerstwa Skarbu. Wiceminister Alicja Kornasiewicz, zawiadująca sektorem finansowym, wystąpiła w TV i w prasie (w *Gazecie Wyborczej*) z zupełnie innym stanowiskiem. Jej zdaniem, nic się złego nie stało z powodu akcji Deutsche Bank, a twierdzenie, jakoby w epoce swobodnego przepływu kapitału istniało coś takiego jak narodowa tożsamość banków, jest absurdem. Poglądy pani wiceminister pokrywają się z reguły z poglądami wicepremiera Balcerowicza. Ten wprawdzie w sprawie afery bankowej unikał zajmowania publicznie stanowiska, nie chcąc zapewne dezawuować kolegi z rządu, ale zaufani dziennikarze i współpracownicy cytowali go jako

zwolennika „nierobienia awantur". Z kolei pani Gronkiewicz-Waltz, prezes NBP, opiniuje bardzo stanowczo, że prezes Jamroży nie zrobił nic nielegalnego. Bogusław Grabowski z Rady Polityki Pieniężnej, bliski Unii Wolności, pisze: „Za bardzo efektywne, choć niewątpliwie agresywne uznać należy działania zarządu PZU jako właściciela portfelowego BIG BG". (*GW*, polemika z Andrzejem Olechowskim).

Na postępy operacji wojennej Deutsche Bank zareagował również prezydent, który swego doradcę prof. Belkę wyekspediował *stande pede* z Davos do kraju, żeby ten zorientował się na miejscu w sytuacji i „złożył mu raport"*. Belka jest *nota bene* członkiem rady nadzorczej BIG BG. Prasa prawicowa przypomniała natychmiast, że BIG jako Bank Inicjatyw Gospodarczych, jeszcze przed fuzją z Bankiem Gdańskim, był typowym bankiem nomenklaturowym starej elity władzy, czego śladem ma być obecność Belki w radzie nadzorczej i co tłumaczy zaniepokojenie Kwaśniewskiego i całej SLD działaniem Deutsche Bank. Na ogół jednak ten wątek nie był specjalnie eksploatowany, gdyż narodowi pogromcy nomenklatury czują się trochę nieswojo w towarzystwie Deutsche Bank. Natomiast namiętnie grali na tej strunie liberałowie-obsesjonaci jak Bronisław Wildstein: postkomuniści są w ich oczach winni podwójnie, ponieważ jako nomenklatura naruszają wolność rynku finansowego, a zyski wkładają do kieszeni.

2.

Jakby nie dość było sprawy BIG BG, prezes Jamroży rozegrał, a właściwie sfinalizował jeszcze jedno rozdanie. Rzecz dotyczy próby podjętej przez Bank Handlowy – którego prezesem jest Cezary Stypułkowski, z którym sympatyzuje SLD, a przewodniczącym rady nadzorczej Andrzej Olechowski – sfuzjowania z Bankiem Rozwoju Eksportu w drodze krzyżowej wymiany akcji. W BRE rządzi niemiecki Co-

* W wywiadzie dla Radia Zet prezydent uznał, że za dużo jest niejasności i niewiadomych w tej sprawie. W szczególności „gdyby przyjąć wypowiedź ministra Wąsacza w sprawie BIG BG za dobrą monetę, to by znaczyło, że nie wie on w ogóle co się dzieje w jego ministerstwie i w instytucjach, których jest *de facto* właścicielem". A działania PZU „budzą podejrzenia natury także korupcyjnej".

merzbank (48,7%), który w nowym, powiększonym Handlowym miałby 27% akcji, zatem solidną mniejszość blokującą ale nie kontrolę. Ministerstwo Skarbu zablokowało ten pomysł w sojuszu z... PZU. A skąd do tego PZU? Otóż, kiedy Bank Handlowy był prywatyzowany w 1997 część akcji pozostających w ręku skarbu przekształcono w obligacje zamienne, aby nie odstraszać inwestorów zbyt dużym pakietem akcji będących własnością państwa i umożliwiających skarbowi sterowanie polityką banku (obligacje zamienne nie dają oczywiście prawa głosu). Innymi słowy, udziały państwowe w Handlowym zostały zgodnie z obietnicą ministra w prospekcie emisyjnym – zamrożone. Ale w rok potem minister Wąsacz... dofinansował tymi obligacjami PZU, firmę chronicznie pod kreską. Wkrótce potem PZU zaczął skupować akcje Handlowego na giełdzie i ostatecznie dysponuje 10% kapitału akcyjnego Banku oraz 21,4 mln obligacji zamiennych, które po konwersji dałyby 23% głosów na walnym zgromadzeniu akcjonariuszy. 28 stycznia Jamroży sprzedał ten cały pakiet Citygroup (grupa Bank of New York), która już miała 22,1% kapitału Handlowego. 10 lutego transakcja została skonsumowana. Citygroup nie ukrywa zresztą, że nie poprzestanie na zwykłej większości: zwrócił się już do Komisji Nadzoru Bankowego o zgodę na wykonywanie do 75% głosów na WZA Banku Handlowego. Tym samym amerykańskie prawo własności banku stałoby się pełne i nieograniczone przez mniejszościowych akcjonariuszy.

Rzeczpospolita piórem swego redaktora Piotra Aleksandrowicza pisała 9 lutego: „Minister skarbu powinien doprowadzić do odwołania prezesów PZU i PZU Życie bez względu na to, czy z czysto formalnego punktu widzenia wolno im było postępować tak, jak postępowali, czy nie (...)

Z punktu widzenia atrakcyjności inwestycyjnej i prywatyzacyjnej Polska i jej skarb tracą z dnia na dzień (...) Nie ma znaczenia, czy ktoś z kierownictwa Ministerstwa Skarbu aprobował to, co robili szefowie PZU i PZU Życie, czy też skarb przez swą nieudolność dał się im wymanewrować. Efekt jest bowiem jeden – resort skarbu stał się mniej wiarygodnym partnerem inwestorów (...)" Autor obciążał odpowiedzialnością wiceminister Kornasiewicz, która zdaje się „uprawiać własną politykę, wbrew lub obok stanowiska jej przełożonego" – oraz ministra Wąsacza, który „nie chciał lub nie umiał nad tą sytuacją zapanować". Autor apelował: „Na to, co się dzieje w resorcie skarbu, powinien zareagować premier".

W dwa dni potem ta sama gazeta podsumowuje: „Proces prywatyzacji polskich banków musiał się skończyć przejęciem ich przez kapitał zagraniczny, gdyż w Polsce nie ma dostatecznej ilości kapitału. Nie musiało to jednak oznaczać wchłaniania tych instytucji i podporządkowania bezpośrednio wielkim bankom światowym, BIG i Handlowy próbowały zachować samodzielność poprzez rozproszenie akcjonariatu. Próbowały też przekształcić się w silne instytucje regionalne (...) Realizacja tej strategii nie powiodła się. Nie wsparł jej bowiem rząd (...) Ostateczny podział sektora bankowego przyspieszyło agresywne – trudno ocenić czy w pełni samodzielne – postępowanie prezesa PZU Władysława Jamrożego.

Do wzięcia pozostają już tylko państwowy PKO BP i państwowo-spółdzielczy Bank Gospodarki Żywnościowej. Żaden z nich nie ma już szansy stać się silnym polskim, a tym bardziej regionalnym bankiem (...) W końcu zostaną przejęte przez silnego inwestora zagranicznego". Tytuł komentarza: „Banki zostały podzielone".

Podobne rozważania snuje Andrzej Olechowski w *Gazecie Wyborczej* z 9 lutego... On również przywiązuje wielką wagę do rozwoju samodzielnego polskiego menedżmentu oraz „polskiej kultury korporacyjnej". Olechowski ze swymi poglądami nie ma oczywiście pretensji o to, że państwo nie interweniuje na rynku bankowym. Odwrotnie, ma pretensje o komercyjne ingerencje skarbu państwa. Pisze: „Rolą państwa jest stanowić ramy dla konkurencji podmiotów rynkowych, a nie włączać się do tej konkurencji, działać na rynku, manipulować nim. Tymczasem rząd zachowuje się jak zarząd grupy kapitałowej – używa zależnych od niego spółek do wymuszania na prywatnych podmiotach takich rozstrzygnięć, które przyniosą mu finansowe korzyści. Jest to sytuacja groźna, jeśli pamięta się, że państwo jest wciąż ogromnym właścicielem i największym 'inwestorem' na giełdzie. Ma w związku z tym ogromne, nieporównywalne z nikim innym możliwości wykluczające wszelką konkurencję".

Jak widać, Andrzejowi Olechowskiemu, poza interesami jego banku, chodzi jeszcze o to, żeby Ministerstwo Skarbu

nie psuło rynku. Jesteśmy zatem ciągle w obszarze myśli liberalnej oraz ideału wolnego rynku. Emil Wąsacz mógłby odpowiedzieć, że on nie ma czasu myśleć w takiej skali. On musi obsadzać rady nadzorcze właściwymi ludźmi z AWS i zarabiać pieniądze dla budżetu. I sprzedawać temu, kto da więcej – i zaraz.

Polska biurokracja skarbowa i finansowa, związane z nią elity polityczne i media konstatują więc ostateczną porażkę starań o zachowanie jakiegoś kawałka własnej bankowości: PKO BP i BGŻ, które mają być prywatyzowane bez „inwestora strategicznego", nieuchronnie przejmującego kontrolę – są niepewną resztówką. Trudno dziś osądzić, czy były szanse realizacji koncepcji, którą reprezentował zwłaszcza Jan Monkiewicz, podsekretarz stanu w URM za koalicji SLD-PSL, żeby najpierw skonsolidować polskie banki w 3-4 duże grupy i dopiero wtedy prywatyzować. Brakowało pieniędzy i zdecydowanej woli, żeby przeciąć spory i targi, i narzucić projektowaną strukturę. A ówczesna opozycja piętnowała tymczasem „oligarchie postkomunistyczne". „Najpierw konsolidacja, potem prywatyzacja" nie udała się bankowości, podobnie zresztą jak w wielu sektorach produkcyjnych.

A co to szkodzi?

Dyskusje, jak wiadomo, trwają. Przytoczę jeden głos, Macieja Olexa Szczytowskiego, który w grupie Dresdner Bank zajmuje się stosunkami z klientami z Europy Środkowej i Wschodniej. W rozmowie z Witoldem Gadomskim (*Gazeta Wyborcza*, 4 stycznia) powiedział m.in.:

„W kraju o rozmiarach Polski znacząca część dużych i prężnych firm powinna mieć narodową tożsamość. Te firmy powinny mieć tu swoją centralę i zarząd. Prawie wszystkie firmy inwestujące globalnie mają narodową tożsamość. Blisko centrali, w rodzimym kraju, wydaje się więcej na rozwój produktu, inwestuje w najnowsze technologie, stwarza więcej miejsc pracy, tworzy się większą wartość dodaną, płaci się więcej podatków niż na peryferiach. Inwestując zagranicą kreuje się eksport z kraju rodzimego do zagranicznych spółek zależnych. Inwestor zagraniczny często, wbrew pozorom, nie udoskonala polskiej firmy (...) Polska firma po przejęciu przez takiego inwestora traci wpływ na swój rozwój (...) Ze stu największych polskich firm przeszło 40% zysku netto jest

własnością zagranicznych inwestorów strategicznych. Jeśli uwzględnić wielkie firmy przeznaczone na sprzedaż takim inwestorom, np. Telekomunikację Polską, to szybko proporcje te osiągną 75%. W ten sposób stajemy się gospodarką peryferyjną (...) Historia gospodarcza nie zna kraju o średnich rozmiarach i 40-milionowej ludności, tak szybko zdominowanego przez strategicznych inwestorów zagranicznych (...).

Pyt: Czy udział kapitału zagranicznego w polskich bankach jest niebezpieczny?

Tak. Mowa znowu o inwestorach strategicznych, a nie o kapitale w formie inwestycji portfelowych czy kredytów (...) Dominacja kapitału zagranicznego branżowego w banku kraju wielkości Polski budzi niepokój.

Pyt.: Dlaczego? Przecież banki pożyczają nie patrząc na narodowość?

Zwykle tak, ale są też przypadki trudniejsze. Niektóre polskie firmy a nawet całe branże mogą mieć problemy z uzyskaniem kredytu. Na przykład przemysł rolno-spożywczy, samorządy, małe firmy, sektor tzw. *high-tech*, firmy dokonujące restrukturyzacji, wielkie projekty inwestycyjne, np. autostrady (...) W banku, który w gruncie rzeczy jest tylko oddziałem banku zagranicznego, decyzje dotyczące większych projektów, podejmowane są poza granicami, często bez właściwego rozeznania sytuacji (...) Banki zagraniczne w ogóle uważają Polskę za kraj wysokiego ryzyka i często nie chcą słyszeć o kredytowaniu trudnych sektorów gospodarki..."

Olex Szczytowski dowiedział się od polemistów, jakie są „pułapki demagogii, obskurantyzmu i ksenofobii" a przedstawiciel Dresdner Banku wyjaśnił, że autor reprezentował wyłącznie własne poglądy.

Miejmy nadzieję, że nie straci posady.

Warszawa, 13 lutego 2000

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Dawno, dawno temu myślałem o roku 2000, jak o szczycie Mont Everestu. Czy uda mi się na niego wspiąć, a jeśli tak, to jaki będzie stamtąd widok. I proszę, jak szybko to się stało, jakby to nie było wspinanie, a spadanie. Gdyby ktoś kilkanaście lat temu opisał mi widok świata, który zobaczę z tego szczytu końca tysiąclecia, byłby to obraz tak nieprawdopodobny, że nie uwierzyłbym. A teraz patrzę i trochę się dziwię, ale nie za bardzo. Co będzie jutro i pojutrze? W roku 1900 Europa była pewna siebie i spokojna, żadne znaki na ziemi i niebie nie zapowiadały późniejszych dramatów.

Niedawno kupiłem od zamożnego, młodego chłopa wdzięczną drewnianą chałupkę, w jej miejscu postawi ponury chałupo-pałac z suporeksu. Zarabia kilkakrotnie lepiej niż ja, ale oczywiście narzeka. Był miły kiedy zawieraliśmy transakcję, ale ku zdumieniu jego ojca nie opiliśmy sprzedaży i zakupu. Nowe czasy. Dowiedziałem się od jego sąsiadów, że już nazajutrz gospodarz rwał sobie włosy z głowy, że sprzedał tak tanio. To też typowe dla naszych rolników, oni zawsze uważają, że ponoszą straty i są pokrzywdzeni. Chałupka została rozebrana przez sprawną i nie do wiary, trzeźwą, ekipę wiejską. Przewieziono ją kilkanaście kilometrów by postawić na dwóch hektarach, które przed laty nabyłem po protekcji, za butelkę wódki. I o wszystkim zapomniałem. Pojechałem tam po ponad 10 latach, mimo posiadania map geodezyjnych z wielkim trudem znajdując drogę, by na miejscu ujrzeć, że na moim polu wyrósł lasek. Trudno o bardziej poetycką ilustrację upływu czasu.

Gdy domek rozebrano, został z niego tylko biały komin, niepokojąco podobny do kręgosłupa. Wtedy na jednej z belek ujawniła się data, dom urodził się w roku 1950. Jesteśmy więc rówieśnikami. Oprawcy zaczęli mi pokazywać belki, które spróchniały i są do wymiany. „Ma już pół wieku, co się pan dziwisz i tak nieźle się trzyma". Pomyślałem o swoich

spróchniałych belkach. Nawet bez rozbierania z ciała, jestem pewien, że mam do wymiany kręgosłup, a też organ snu. Kto mi je wymieni? Najbardziej jednak niepokoi we własnym środku to o czym nie wiem? Wczoraj moje wierne, stare dżinsy pękły mi w kolanie.

Już z perspektywy stolicy z rozbawieniem obserwowałem niepokoje – jak nasza cywilizacja podłączona do komputerów zareaguje na trzy zera naszego tysiąclecia. To odwieczna potrzeba ludzkości, by lęk miał imponującą postać. I pragnienie by wejście w nową epokę nie było banalne. Nic nie pomogła ulewa fajerwerków, one też już się zbanalizowały. Nie miałem ochoty iść na plac Piłsudskiego, by z kilkunastoma tysiącami warszawiaków przekraczać razem ten próg. Nawet jeśli miałem kiedyś stadne instynkta, to mi zanikły. Ci, którzy tam się bawili, wrócili raczej rozczarowani. Zafundowałem sobie za to małą metafizykę i boli mnie od niej dusza. Sylwester spędziłem w domu na ulicy Iwickiej, gdzie mieszkało tak wielu znanych pisarzy, tam mnie zapewne poczęto, tam przemieszkałem połowę z mego półwiecza. Nie do wiary, ale ta połowa skurczyła mi się do wielkości ziarenka. Mieszkanie, które sąsiaduje z mym rodzinnym, kupił niedawno T., mój dobry kolega, reżyser. Nabył je od wdowy po pisarzu P. Więc tuż przed Nowym Rokiem mieszkanie ziongło pustką w oczekiwaniu na remont i znakomicie nadawało się na sylwestrowe przyjęcie.

Bywałem w tym mieszkaniu sąsiada jako dziecko, a też już w postaci mniej więcej dorosłej. Pamiętam P. jak siedział przy tym biurku, ze skrzydłami papierów u ramion, a ta figura wydawała mi się wieczna. Podobnie jak wielotysięczna kolekcja pieczołowicie zbieranych książek. A teraz osierocone książki zostały oddane do kilku bibliotek i antykwariatów, wywieziono meble, żywe są tylko podłogi z pociemniałą klepką, po takiej samej klepce najpierw pełzałem i to w jej szparach szukałem tajemnicy, której nie znalazłem do dzisiaj. Ale te klepki jako zbyt stare i zniszczone też zostaną wkrótce przez nowego właściciela wymienione na nowe. Życie toczy się jak walec, zacierając wszystkie ślady. W mieszkaniu stoją jeszcze brudne ściany, ocalały liczne odciski, tu wisiał obraz, nawet pamiętam jego widmo, tam jest zarys szafy, tu widać

cztery czarne odciski po nogach biurka. Za kilka dni generalny remont zatrze te ostatnie blizny wielu lat czyjegoś życia i pracy. Patrzę z rozczuleniem na metalowy korek od wanny, taki sam jak od wanny mego dzieciństwa, która wydawała mi się tak wielka, że groźna, a ten korek pozwalał wodzie stać lub jej uciekać z zatrważającym bulgotem. Dostaję w prezencie czarny telefon – taki sam stał w moim domu. Jak to możliwe, że jest już zabytkiem i sprzedaje się go w sklepach ze starociami? Kim więc ja jestem? Najbardziej jednak porusza mnie ściana, która od strony ulicy jest nieotynkowana. Szukam miejsca gdzie podczas warszawskiego powstania wybito w niej otwory strzelnicze. Od strony ulicy widać miejsca zamurowane inną cegłą, ale w mieszkaniu nie mogę tych blizn wyczuć palcami. Od lat próbuję napisać książkę o tym domu, obnażając kolejne „ściany", ale jakiś czas temu utknąłem w kłębowisku wspomnień, relacji, powikłań losów mojej rodziny i kilkunastu rodzin sąsiadów, znanych pisarzy. I uciekłem od tego pisania, ale książka co jakiś czas do mnie wraca i patrzy mi w oczy z wyrzutem, a ja wiję się jak robak przebity szpilką. Problem, że każdy detal wydaje mi się ważny, a umiejętność napisania opowieści, to zręczność nadawania wagi, ale też unieważniania rzeczy pozornie ważnych.

Teraz, z myślą o *Kulturze,* wchodzę w komputerowy plik Iwicka, jak do zatęchłego, zamkniętego od lat mieszkania, by zacytować fragment o tych dziurach, może kiedy zacytuję, to całość mi się odblokuje? To świadectwo narodzin domu, uzyskane przed wieloma laty, od jakże barwnej pary dozorców Ireny i Bogdana Badowskich. Nie ma już ich na świecie, podobnie jak większości dawnych mieszkańców domu. Badowski na początku lat 50-tych tuż obok domu pisarzy trzymał krowy, świnie, konia z wozem, całe gospodarstwo rolne. Z okien swego pokoju widziałem, jak orze pole kołysząc się nad zadem konia. Pisarze współżyli więc ze stalinizmem i ze świniami. Badowski tak wspominał narodziny domu. Warto posłuchać jego „warśawskiej" mowy: „Trzech fabrykantów żydowskich braci produkowało skrzynie na Grochowskiej. I kupili tu plac. Był rok 1939, dawaj budować. Wzięli mnie i zatrudnili na zarządcę budowy i dozorcę. Od pierwszej cegły znam ten dom. Najpierw były doły i dwie

pompy z których się wodę pompowało, bo jeszcze nie było wody magistrackiej. I tak dom rósł." Pewnego dnia Badowski poszedł z ludźmi robić ostatni strop. Na październik dom miał być gotowy. Opowiada: „Kładliśmy właśnie ten strop, był wczesny ranek, mgła, a tu lecą samoloty. Artyleria bije do nich. Ćwiczenia próbne, wszyscy krzyczą. – 'Tak kurwa, ćwiczenia próbne, mówię. Wojna!'"

Można więc z pewną przesadą powiedzieć, że Badowski wykrakał drugą wojnę światową. Co było dalej? „No i dali my spokój z budową. Wojna zapadła i zostało tak niewykończone." On sam nie poszedł na wojnę, przez przypadek. Został w domu jako nadzorca. „Przyszli Niemcy. Bracia, żydowscy fabrykanci poszli do getta i kuniec". Badowski mieszkał w tym pół-domu, ze swoją żoną, całą okupację. A żonę „zapoznał na tańcach". Wojna się chyliła ku końcowi. Pani Badowska pojechała do miasta i ledwie zdołała wrócić jak wybuchło powstanie. Jej mąż wspomina: „Zebrała się u mnie kupa uciekinierów z całej Warszawy. A koło domu trzymałem wtedy świnie, jakie dziesięć sztuk. Mówię, co ma być dla szkopów. Dzisiaj jestem, a jutro może mnie nie być, niech se ludzie podeżrą. Zarżnąłem wszystkie co do jednej. I żeśmy je zjedli." Pomyśleć, że w tym mieszkaniu, gdzie rżnięto świnie, mieszkał potem przez długie lata znany literacki krytyk Artur Sandauer, z którym mój ojciec darł koty, a z którego synem się przyjaźniłem. Najwięcej jednak czasu spędzaliśmy na podwórku, tuż przy trzepaku, gdzie w czasie powstania usiadło na spadochronie działko. Badowski wspominał ze łzą w oku to powstanie. „Trzy samoloty wtedy Niemcy zbili. Rano chłopcy z powstania przyjechali, kunie mieli i pościągali te zrzuty na swoje placówki. A potem przyszli sami do naszego domu. Zajęli drugie piętro, porobili dziury do strzelania w ścianie gdzie potem mieszkał P. i obstrzał robili na ulicę Podchorążych. Mówię – dajta spokój chłopaki, bo nas wyśledzą. – Biorę od jednego lornetkę, patrzę przez dziury, szkopa wypatruję bo strzelał. Jak przycelował, cholera to o mały figiel żem w same zęby nie dostał. Tylko kurz poszedł. I wymacali nas na całego." A potem poszli powstańcy zdobywać koszary na Podchorążych. Wyszli wszyscy z naszego domu, z kilku innych placówek też poszli, a wróciło ich tylko trzech.

Banalne jest moje wzruszenie i żal próżny, ale nie powstrzymuje to mej łzy, która popłynęła po wewnętrznej stronie policzka, kiedy wybiła północ, a Warszawa, cała Europa zakwitła fajerwerkami, jakby wybuchła nowa wojna, ale życzliwa ludziom. Myślałem bezradnie o tych młodych chłopcach, którzy rąbiąc kilofami ścianę, o którą opieram się teraz, stojąc z kieliszkiem szampana, chcieli wyrąbać wolność dla kraju, a wyrąbali własną śmierć i PRL. Ci młodzi mniej lub bardziej świadomie poświęcali się dla nas, abyśmy mogli wesoło i bezpiecznie wchodzić w nowe tysiąclecie, nie wiedząc o nich nic. Nie wiedział o nich P. który napisał tu tyle książek, opierając swoje krzesło o jeden z zamurowanych otworów strzelniczych, ale o jego książkach też już prawie nikt nie pamięta. A obecny na przyjęciu młody i miły Albańczyk z Kosowa, ze śladami tortur na ciele i duszy, jest żywym świadectwem, że historia obłędu ludzkości nie ma końca.

Z powodu pewnych zobowiązań jestem na promocji kolejnego tomu dzienników z lat 67-68 Mieczysława Rakowskiego, wieloletniego szefa *Polityki*, ostatniego I sekretarza, i w końcu grabarza PZPR. Rakowski jest inteligentny i miał zasługi w liberalizowaniu PRL. Kiedyś bym powiedział, że tym większy był z niego szkodnik, gdyż te bardziej liberalne skrawki prasy uwiarygodniały, dla naiwnych, całość tego kryminalnego absurdu jakim była Polska Ludowa, stwarzając złudzenie, że system jest reformowalny. A nie był. Ale teraz widzę to w nieco bardziej skomplikowany sposób, pewnie dlatego, że mamy skomplikowany stosunek do naszej wolności. Kwitną teraz nowe formy konformizmu, też w duszach dawnych nonkonformistów. Ten tom dzienników Rakowskiego obejmuje słynny „marzec", kiedy *Polityka* zachowała się przyzwoicie, w miarę ograniczonych możliwości tego czasu, a Rakowski czuł się zagrożony. Tak, to były lata, kiedy zapachniało faszyzmem. Dzienniki są jednak interesujące przede wszystkim dla historyka, Rakowski pisze jedynie polityką, nie ma tam nawet skrawków życia osobistego. Wiele rozumie, często cierpi z powodu różnych niegodziwości i ma wrażliwość na ludzką krzywdę. Czasami nawet myśli o samobójstwie. Ale żyje w komunizmie jak w dożywociu, mimo

częstych podróży w wolny świat, nie potrafi wyjść poza nieuchronność tego co jest. A przecież niebywałe obrzydliwości roku 67 i 68 widzi w pełnym ich blasku, są one jednak dla niego jak wstrętna choroba na własnym, a więc jedynym możliwym organizmie. Czy dzisiaj nie powinniśmy być czujni, by nie uwierzyć, że współczesna forma chamskiej komercji, która nas na co dzień zatruwa, jest wyrokiem natury?

W roku 67 i 68 wojnę Izraela z Arabami, potem manifestacje studentów, wykorzystano do walki o władzę w PZPR, to było już oczywiste nawet dla Rakowskiego. Fakt jednak, że motorem napędowym był antysemityzm. I ciekawe że tak gładko to poszło, z tak potężnym niekontrolowanym poślizgiem, że ten poślizg zaskoczył nawet pomysłodawców. W końcu posunięto się dalej niż szły ustawy norymberskie, co prawda nie do likwidacji fizycznej ludzi, a duchowej. Rakowski notuje ze zgrozą: „Jeśli ktoś na to patrzy z boku, to musi dojść do wniosku, że ma do czynienia z jakimś obłędem." Co jakiś czas powtarza, że powinien na to splunąć, ale nie potrafi. Jeśli dzisiaj kogoś zdumiewa w Polsce antysemityzm bez Żydów, to lektura tego dziennika jest cennym przypomnieniem, jakie zasoby ksenofobii były w Polsce. I jaki potężny zastrzyk wzmacniający dostało wtedy paranoiczne myślenie. Partia oczywiście prowokowała rasizm, ale podejrzany jest ten poślizg.

Spotkanie odwleka się, organizatorzy czekają na przybycie spóźniającego się prezydenta, który ma osobiście zaszczycić wieczór. Klub Księgarza na Rynku Starego Miasta jest kiszkowaty, śmierdzi wyziewami z kuchni, a jako, że wystrój lokalu jest w czasów PRL-u, więc doprawdy zapach dawnego aparatu partyjnego, który na to spotkanie przybył, połączył się w okrutnym splocie. Ociera się o mnie jak zwykle zadowolony z siebie i uśmiechnięty Jerzy Urban. Ktoś przepychając się na sąsiedni fotel, przysiada niezręcznie mi na kolanach. Tak oto miałem na kolanach towarzysza Kazimierza Barcikowskiego, wicepremiera, wieloletniego zasłużonego członka Biura Politycznego. Zerkam na inne gęby, jest Andrzej Werblan, też prawie niezmieniony, czas ich jakby konserwuje. Jest towarzysz Frelek i Tejchma i zapewne wielu innych, których nie rozpoznaję. A Werblan to przecież jeden

z czołowych propagandzistów marca 68. Przybył tu więc całkiem żwawo dawny aparat partyjny. Potem dowiedziałem się, że organizatorzy mieli pomysł by na tym spotkaniu ich nieco podszczypać, ale z tego szczypania nic nie wyszło. Aparat sobie posiedział, posłuchał i rozlazł się do domów w znakomitym samopoczuciu. A przecież kilkunastu aparatczyków na tej sali, z Werblanem na czele, jest odpowiedzialnych za zbrodnię kłamstwa tamtego czasu, to nawet wynika z dzienników Rakowskiego, są odpowiedzialni za zniszczenie polskich uniwersytetów, spustoszenia w kulturze, za tysiące wielkich ludzkich krzywd, wyjazd tylu uczciwych i zdolnych ludzi napiętnowanych rasowo. A były też stadiony pełne spędzonego tłumu, a tłum potępiał w dyktowany takt syjonistów, studentów i pisarzy. Zwożeni na te wiece nienawiści, to też ofiary. Odpowiedzialni za powszechne upodlanie są więc na tej sali. I proszę, teraz głośno protestują, że spotkanie się odwleka, bo prezydent się spóźnia. Co im tam prezydent! Obywatele wolnego kraju nie będą czekać na prezydenta, „powinien być punktualny", mruczą zgorszeni. „Jak za Stalina", mówi jakiś dawny członek Biura Politycznego, a inny na to – „Stalin nie spóźniał się". Ktoś proponuje, nie wiadomo, serio czy żartem, „to może pośpiewamy kolędy?" Tak, uważam, że to był dobry pomysł, a w finale spotkania powinna być wspólna modlitwa i łamanie się opłatkiem. W końcu jednak przybywa prezydent, jowialny, coraz grubszy, to już robi się niepokojące, tyje z każdym miesiącem. Ale nadal jest pełen energii, z intelektualnym refleksem i z pewnym wdziękiem. Ale ja nagle czuję jakieś wielkie zawstydzenie – co ja tu do licha robię? A co tu robi prezydent Kwaśniewski? Czy aż tak ważna jest dla niego dawna tradycja bardziej liberalnego myślenia PRL-owskiego? Ktoś przychylny mu powie – dobrze o nim świadczy, że nie wypiera się swojej przeszłości, on też był liberałem PRL-u. Nieprzychylny powie – obnaża swój prawdziwy korzeń.

Ale moim problemem był nie Kwaśniewski i jego skłonność do otyłości, a ten zaduch. Czy tak pachnie niesprawiedliwość historii? Wybiegłem z sali potykając się najpierw o nogi obstawy prezydenta, a potem już na rynku Starego Miasta, o koła kilkunastu samochodów prezydenckiej świty.

Na tym rynku od kilku tygodni stoi warszawska syrenka, symbol stolicy, jakże trafnie przeniesiona w sam pępek rynku znad Wisły, gdzie nieustannie coś jej wandalizowano, to tarczę, to rybi ogon. Tu zanurzona w nowej fontannie zdobi Starówkę. W jej wodach przez chwilę chłodziłem swoje skonfundowane myśli. Czy to jednak tylko przedawnienie winy wprawiło mnie w takie wewnętrzne rozdygotanie? Mogę się z tym pogodzić, przecież coraz lepiej rozumiem bezwzględność praw upływu czasu, prawdziwym problemem jest to współczesne poplątanie. Przecież wiem, że gdyby na tej sali było kilkunastu ludzi, niegdyś mi bliskich, z którymi współpracowałem w czasach podziemia, dajmy spokój nazwiskom, to nie czułbym się w ich towarzystwie lepiej i zapewne słuchając ich głosów, musiałbym wyjść z tej sali o wiele prędzej.

Dotknięcie tego problemu poczułem w Sali Kongresowej, w sali, gdzie odbyło się tyle ponurych spektakli PRL-u, gdzie w roku 68 grzmiał Gomułka zagłuszany przez rządny krwi aktyw partyjny i gdzie w końcu grzebano PZPR. Gołym okiem widać, że mało starannie. Teraz w tej sali jest koncert Kaczmarskiego i Gintrowskiego, prezent dla dawnych ludzi podziemia. I jak zwykle w takich sytuacjach nastąpiło cudowne rozmnożenie się konspiratorów, imprezę uświetnia premier i prymas. Koncert zorganizowany został przez prawicowy dziennik *Życie*, nie przybyło więc wielu znanych konspiratorów, którzy mają na prawicę alergię, nie ma oczywiście środowiska *Gazety Wyborczej*. Zjawiam się na sam finał, gdyż wcześniej miałem własne spotkanie autorskie. Kiedy wchodzę spóźniony, śpiewają właśnie nasze wiersze ze stanu wojennego, bardzo patetyczne, których teraz nie trawię, ze swoimi na czele. Sala jest pełna, ale w mroku nie widzę twarzy, czy poznałbym je po tylu latach? Kiedy bisowana jest piosenka „Mury" wielu wzruszonych słuchaczy zapala żywe ognie, żyjemy w nowoczesnych czasach, więc nie są to kaganki, nawet nie zapałki, a płomyki zapalniczek. Ale ogień zapalniczki, to jednak nie jest to samo co płomyk z żywego drewna. To okropne, ale co kiedyś mnie tak wzruszało, teraz nie wzrusza. Wzrusza już tylko, że nie wzrusza. Sala jednak jest zachwycona. Potem na scenę wychodzi Tomek Wołek, szef *Życia* i wysupłuje z siebie tę samą zapiekłość, która

krzewi się w jego dzienniku, potem występują dzielni działacze związkowi, ale nagle kilka osób ze szkarłatnych głębin sali sypie na nich obelgi, a więc nawet na takich uroczystościach wyłażą na wierzch wewnętrzne konflikty. W finale wyłania się Prymas i mówi niemądrze, powinienem się do tego przyzwyczaić, a nie mogę. Opowiada jak w stanie wojennym odwiedził internowane kobiety, a to była straszna rzecz internować kobiety, postuluje aby to się nigdy nie powtórzyło. A przecież tak naprawdę najgorsze było to, że znowu zabito naszą nadzieję. Zabijanie nagle ożywionej nadziei, jak po Konstytucji 3 Maja, jak po kolejnych powstaniach, to polski los. Dlatego tak przeżyliśmy stan wojenny, na ten dramat nałożyły się poprzednie, zdumiewająco mocno utrwalone w zbiorowej świadomości. Potem jak zwykle było gnicie naszej duszy. Może dlatego gdy Polska zmartwychwstała, okazuje się, że jej ciało i dusza nie są ładne. I nie chcemy już mieć zbyt dużych nadziei. Pewnie dlatego nałogowo wszyscy narzekamy – na wszelki wypadek. Po koncercie, w salach przylegających do tej wielkiej, ma być powszechne dzielenie się opłatkiem. Umykam, a więc znowu umykam, tym razem w strachu, że przypadek zmusi mnie abym dzielił się i całował dawne twarze, dzisiaj zmienione w gęby, których całować nie mam ochoty. Przy szatni spotykam dwóch bliskich mi ludzi, równie jak ja spłoszonych. R. był na koncercie od początku, jest wstrząśnięty, bo słyszał czego ja nie mogłem słyszeć, że organizatorzy wymieniając najbardziej wybitnych konspiratorów pominęli: Bujaka, Frasyniuka, i Kulerskiego, czyli nasze największe symbole oporu z tamtych lat. A co tu się wstrząsać, nieprzyzwoita wybiórczość pamięci tamtych lat dotyczy nas wszystkich.

I znowu stoję w korku, głupio gdyż obok własnego domu. O czym marzę? By zostawić samochód na środku ulicy, pójść do swego pobliskiego mieszkania, położyć się w łóżku, krzyknąć: „a pocałujcież wy mnie wszyscy.. !" i naciągnąć kołdrę na ...głowę. Ale przez rozsądek siedzę w tym samochodzie, który to stoi, to pełznie, aż nagle ulica rozluźnia się, jakby na rzece popękała kra. Oddech ulgi, pokrywam przekleństwem, nie ma nigdzie miejsca do zaparkowania. Czuję się jak kula bilardowa, odbijana to tu to tam, a cały

szereg zbiegów okoliczności pozwala mi ustawić wóz na pobliskiej ciemnej uliczce. Nie spodobało mi się to miejsce, zbyt ciemne i puste. Dlatego co chwila wybierałem się z domu by przestawić samochód, ale nieustannie dzwonił telefon. Dobiegł mnie z dala przejmujący płacz alarmu, podobny do mojego, ale nie mam ucha na płacz samochodu, jak matka na głos niemowlęcia, więc nie poznałem czyj to. Kiedy w końcu wybrałem się przestawić samochód, ujrzałem, że zamiast bocznej szyby zwisają mu szklane sople, a wybebeszone rzeczy ze schowka kłębią się na fotelu. Kilka staruszek kręciło się wokół rannego pojazdu, a ujrzawszy właściciela, pospieszyły z wyrazami współczucia, „na tej ulicy to tak codziennie, co też się dzieje w tym kraju", odpowiedziałem bez cienia emocji, „takie czasy". W schowku, obok nieważnych papierów było kilka plastikowych łyżeczek, tylko one zginęły, chociaż ich nie da się nawet zjeść. Oszacowawszy szkody poczułem coś w rodzaju zadowolenia. A na pobliską komendę pojechałem jedynie z ciekawości, oraz z myślą o *Kulturze,* a nuż coś tam się ciekawego zdarzy. Przecież wiem, że nikt nie schwyta sprawców, nie warto mi tej szkody zgłaszać firmie ubezpieczeniowej, straciłbym ulgę. I tak, zionąc wybitą szybą, zajeżdżam przed budynek, z którym mam różne wspomnienia. W nostalgicznym odruchu podchodzę do zakratowanego, zakrytego okienka, które przylega do chodnika, za nim kryje się tak zwany dołek. Siedziałem tam kiedyś 48 godzin w atrakcyjnym towarzystwie kryminalistów, nie mogąc się pozbyć myśli, że jestem wśród ludzi nieszczęsnych i dobrych, kiedy oprawcami są ci na górze, czyli milicjanci. Widzę, że pali się światło na pierwszym piętrze, gdzie w roku 1984 uroczyście odbierano mi paszport, który wcześniej dostałem przez pomyłkę. Okropny jest stan sanitarny i estetyczny naszych komend. W tej, przybywającego wita nie tylko zaniedbanie, ale też kartka z nabazgranym flamastrem zawiadomieniem, „na stołówce zginął zegarek, uczciwy znalazca proszony o oddanie." Małe okienko, przypominające jakieś urządzenie wydalnicze, gra rolę izby przyjęć. Odesłano mnie na drugie piętro do pokoju 223. Zastałem tam dwie cywilne niewiasty, które jak się potem dowiedziałem występują bez mundurów, trzymają te mundury w pakach, których nie otwierają, były już trzy reorganizacje

i przeprowadzki, więc zapewne będą następne, nie ma sensu ponownie się pakować. Pytają mnie na progu: „Mamy nadzieję, że pan nie z wyższym wykształceniem?" Nieco się zmartwiłem, że na pierwszy rzut oka nie wyglądam na posiadacza wyższego wykształcenia. „Pan też ma, o cholera!" zmartwiły się, jakbym dysponował jakąś zaraźliwą chorobą. Skarżą się: „Dwie godziny dręczyły nas jakieś idiotki z wyższym wykształceniem". Wykazałem pewne zrozumienie i zasugerowałem, że ja owszem, mam wyższe, ale jestem prosty człowiek i nie będę męczący. Została ze mną jedna policjantka. Ona w zasadzie od nieletnich, ale przydzielili ją do mego okaleczonego samochodu. „Pan chyba nie myśli, że będę chodziła na taki ziąb go oglądać, pal diabli, że to sprzeczne z regulaminem, robimy protokół na gębę". Tak oto na gębę spędziliśmy ze sobą godzinę, całkiem dla mnie pouczającą. Dowiedziałem się, że żyję w państwie, które jest w rozpadzie, a policja to już w zasadzie się rozpadła. „Rządzą nami nie tylko kretyni, ale też cwaniacy, co rozkradają kraj. Pan nie wie co robi na Pradze zięć..." tu wymieniła nazwisko jednego z dygnitarzy z ZChN-u. Nie wiedziałem i nadal nie wiem. Najwięcej obelg posypało się na wysokich przełożonych. Objaśniła mi, że na komendzie brakuje niemal wszystkiego, też przyzwoitych pensji. „To wina AWS-u" – mówi pani policjant, którą nawet nie interesują moje przekonania, ważne, że ona ma swoje. „Jak SLD obejmie władzę, to będzie tylko trochę lepiej, ale nie za wiele." Pokazała mi szafę pancerną. Kilka dni temu kiedy ją otwierała, runęły na nią stalowe drzwi, całe 80 kilo. Wyszła z tego cało, bo jest silna, kiedyś była nawet dzielnicowym, tylko trzy kobiety w kraju miały taką funkcję. „Wszystko tu kurwa się sypie, nawet szafy pancerne." Mówi, że kiedy wychodzi z tego pokoju, to go zamyka na cztery spusty, „na komendzie też kradną, a co pan myśli." Kiedyś pracowała w jednym pokoju z pewnym oficerem, on też miał wyższe wykształcenie, patrzy, a ten buszuje po jej szufladach. „Takie, kurwa, czasy" – mówi do mnie pani policjant. A ja nie przeoczyłem, że gdyby nie to popularne słowo wetknięte w środek tej sentencji „takie czasy" – ona powiedziała to samo co ja przed chwilą do staruszek zatroskanych o mój ranny samochód. W finale zacząłem ją pocieszać „chociaż takie czasy, nie jest aż tak źle".

Ciekawe, że po raz drugi w ciągu kilku tygodni występuję wobec oficerów policji jako pocieszyciel. Spisywanie protokołu trwało niemal godzinę, czyli wedle pani policjant niezwykle krótko. I tu przyznaję, to nie jej wina, tylko biurokratycznego kretyństwa, które każe wypełniać wielką ilość druków, na dodatek, ludziom prawie niepiśmiennym. Wychodzimy, oboje zadowoleni, że już koniec, a ona mówi na pożegnanie, „teraz biorę taryfę i jadę do chałupy, muszę taksówką, u mnie ciemno i są krzaki, ktoś da mi w łeb i po mnie".

Gdy zszedłem do samochodu, obok zaparkowała nieszczęsna kobieta z wybitą szybą i z rozdygotanym psem jamnikiem. Na skrzyżowaniu ktoś wybił jej boczną szybę i zwędził torebkę. To jest teraz bardzo modne, niemal wszystkie moje znajome padły ofiarą takich kradzieży. Wsiadam do samochodu i kalecząc się o opiłki szkła ruszam szukać strzeżonego parkingu, z myślą, że właściwie to ja mam szczęście, takie banalne stłuczenie szyby, to jest po prostu przyjemność.

Nazajutrz w serwisie Citroena bardzo profesjonalnie i miło. Każdy z pracowników opowiedział mi swoją historię z włamaniem. Szkoda tylko, że koszt takiej nowej szyby z montażem, to suma przekraczająca wynagrodzenie jakie otrzymuję za tekst do *Kultury*, można więc powiedzieć, że jakiś bęcwał jak szklankę stłukł mi miesiąc ciężkiej pracy. Gdyby mnie było stać, to sam tłukłbym sobie taką szybę co kilka miesięcy, by poznawać życie miasta na policyjnych komisariatach.

W kilka dni potem, gdy jadę na małe przyjęcie, jestem zdziwiony, bo chociaż to wieczorna pora, grzęznę w korkach. Czyżby już nadeszła ta godzina wiecznego korka, ku której zmierza stolica? Ale potem okazuje się, że ten korek był tylko reakcją łańcuchową zdarzenia z południa, gdy w samym centrum miasta, na rondzie przy Nowym Świecie, po karkołomnym pościgu w stylu amerykańskich filmów kryminalnych, policjant korzystając z pomocy karabinu maszynowego, rozstrzelał złodzieja w skradzionym samochodzie, kiedy ten chciał go tym ukradzionym samochodem rozjechać. Podobno podczas strzelaniny przechodnie zamiast kłaść się na chodniku, oklaskiwali policję. Wyczuwalne stało się w mieście poczucie satysfakcji, jakbyśmy wszyscy odnieśli jakiś spor-

towy sukces. Chcą krwi, sterroryzowani mieszkańcy naszej dżungli.

Byłem niedawno w województwie S. I z pewnego źródła dowiaduję się, że wydano tam 600 pozwoleń na posiadanie pistoletów do osobistej obrony. Ciekawe i pouczające, że przygniatająca większość zezwoleń została wydana księżom.

Wielka debata w parlamencie na temat pornografii, oraz zaostrzenia kar za jej rozpowszechnianie. Obywatele mają poczucie, że państwo jest coraz słabsze, policja i sądy nie działają, a w sejmie kłócą się o pornografię aż leci pierze. Co jest miękką, a co twardą, co wolno pokazywać, a czego nie? Nasza prawica postulowała by do twardej pornografii zaliczyć „pokazywanie organów płciowych w czasie stosunku". Te narządy zostały tak potem nagłośnione przez media, że teraz nawet niemowlęta proszą matki by im powiedziały, co to są organy płciowe obnażone podczas stosunku. Wedle specjalistów Polska jest jedynym bodaj krajem w Europie, w którym udało się pornografię wbić w majtki definicji. Gdzie indziej unika się definicji, wiadomo, że precyzyjnie pornografii zdefiniować się nie da. Prawo wielu krajów daje wolny wybór, kto chce niech ogląda co chce, ogranicza się jedynie surowo wykorzystywanie dzieci i propagowanie scen okrutnych. Propozycja podniesienia kary za kolportaż pornografii twardej, a to już są te narządy „podczas" do lat 10 to jest obłęd. Jaki gangster dostał tyle od sądu? Rozumiem, że teraz funkcjonariusze zamiast za bandytami, uganiać się będą za pornografią. W sumie to przyjemniejsze i bezpieczniejsze zajęcie.

Potem sejmowa i senacka pornografia tygodniami była wystawiona na widok publiczny. Surrealizm sięgnął szczytu gdy na trybunę sejmu wbiegł Zdzisław Pupa, poseł AWS-u. Doprawdy, pamiętam, że już starożytni przestrzegali by nie kpić z nazwisk, więc nie kpię i zapewne nikt by posła Pupy nie zauważył, gdyby nie jego kuriozalne wystąpienie. Poseł Pupa wołał z sejmowej trybuny w stronę premiera Buzka, by się określił; czy jest za, czy przeciw pornografii, która sieje spustoszenia w duszy narodu. A premier tylko chichotał. No i kto by to wszystko wymyślił? Bitwa o pornografię trwała tygodniami, już nawet nie wiem jaki jest finał, chyba w końcu

zniesiono podział na twardą i miękką, ma być zakazana całościowo. Na wystawie pobliskiego seks-szopu zrobiło się jakby skromniej, ale kiedy wchodzę do środka dopadają mnie zewsząd narządy płciowe, obnażone przed, po i w trakcie, więc doprawdy już nic nie rozumiem. Na razie cnotliwcy z naszej prawicy triumfują, oto dzięki nowemu prawu Polska nie ulegnie zagładzie. Poseł AWS-u Jan Chojnowski ogłosił z sejmowej trybuny: „Historycznie dowiedzione jest, że z powodu pornografii upadały cywilizacje, że wspomnę Sodomę i Gomorę." Ale on tylko publicznie ukretynił, co katolicka tradycja wmontowała w korę mózgową naszej narodowej prawicy – seks który nie służy prokreacji jest grzechem. Tak oto kwitnie w wielu głowach fioł obyczajowy, seks jest traktowany jako źródło zła, zatruwa polską duszę, jest powodem korupcji, łapownictwa, niekompetencji, powszechnego alkoholizmu i narkomanii.

Ja osobiście wcale nie jestem za wystawianiem na widok publiczny tego, co nie jest estetyczne i sprawia przykrość wstydowi. Jestem nawet za hodowaniem pojęcia wstydu, też po to, by ocalić przyjemność zawstydzania siebie i innych. A doświadczenia innych krajów uczą, że zakazywanie pobudza zainteresowanie. I pomyśleć, że to się dzieje w Polsce, gdzie mamy tak piękną tradycję omijania prawa, oraz obżerania się zakazanymi owocami. W finale tej seksualnej burzy, trzeba spojrzeć prawdzie w gołe oczy i powiedzieć, że nasza katolicko-prawicowa społeczność bynajmniej nie jest cnotliwa. Kto wie, czy te wszystkie moralne komplikacje i zakazy, to nie jest tylko podnieta. Rozszerza się i dobrze, epidemia brania przez Polki pigułek antykoncepcyjnych, a obyczajowa swoboda na dobre i na złe krzewi się od lewa do prawa. Zbyt długo pływam w tym morzu, by ktoś mnie przekonał, że nie jest ono słone.

A tu alarmujące wieści, że spada w Polsce przyrost naturalny. Niewiele nam brakuje do 40 milionów, ale w dostrzegalnym horyzoncie czasowym, nie przekroczymy tej liczby. To kolejny znak cywilizowania się kraju. Polki wolą mieć tylko jedno dziecko, chcą żyć wygodnie, pracować, tak więc polskie rodziny zaczynają świadomie budować kształt swojej rodziny. Łatwo sobie wyobrazić w jakie larum uderzyli nasi narodowcy, że spada dzietność narodu.

Z laureatką pierwszej nagrody w literackim konkursie i z jej mężem, jemy luksusowy obiad w restauracji hotelu Bristol, oczywiście na koszt bogatego sponsora. Mieszkają w małym domku, w niewielkiej osadzie. Nie mogę się na nich napatrzyć. Tyle wdzięku, urody i naturalności. Ona zajmuje się dziećmi, mają ich czworo, on pracuje na PKP, jest brygadzistą w zakładzie remontowym spalinowych lokomotyw. Ich mały domek, stoi tuż obok torów kolejowych, jest pełen dzieci i miłości. Są żywym przykładem, że istnieją piękne i udane małżeństwa i dobre rodziny. Ledwie wiążą koniec z końcem, ale są zadowoleni ze swojego życia. W rozmowie wraca rok 1981, to jednak jest wielka data w biografii kilku pokoleń, wielka blizna naszej historii. Trudno to dzisiaj wytłumaczyć młodemu pokoleniu, ale emocje były takie jak podczas naszych powstań. Ona miała 18 lat, gdy wybuchł stan wojenny, aresztowano jej ojca, działacza „Solidarności" kolejowej. W liście przesyła mi potem migawki z tych miesięcy: „Wieczorna demonstracja, wyścigi z milicją, zadanie z fizyki, świeczki w oknie, wypracowanie, nocne pisanie wierszy, lektury prasy podziemnej, randka, rewizja w domu. Napawałam się całym bólem tej epoki, w której przyszło mi żyć. Ale czy nie czułam się wtedy bardziej wolna niż teraz? I co myśmy z tym wszystkim zrobili!?" Ano właśnie? Śledzę ich zmartwienia ojczyzną. Jakże podobne są scenariusze naszej troski. Utrata ciepła między ludźmi, zatrwożenie lawiną brutalności i chamstwa. Zagonienie finansowe. I to chyba najgorsze, brak jakiejkolwiek solidarności. On opowiada, że kiedyś kolejarze należeli do niezwykle solidarnej grupy zawodowej, teraz każdy myśli tylko o sobie. Mówi też ponure rzeczy o naszym kolejnictwie, to żywy skansen komunizmu, gigantyczna, ociężała firma, prawie niereformowalna, a zreformowana być musi. Cała ta operacja nikomu nie mieści się w głowie. Ich niepewność co do Polski, jakby nasz kraj to była atrapa, trzeba przyznać, że dosyć solidna, za którą jednak stoją niepewne tyły. Wszystko niby posuwa się do przodu, ale w każdej chwili może nastąpić tąpnięcie. To zapewne złudzenie, ale takie czucie jest u nas dosyć powszechne.

Kilka kolejnych spotkań z ludźmi spoza mojego środowiska ujawnia podobny plan rozmów. Murowanym tematem jest przestępczość, opowiadania kogo i jak okradziono

lub napadnięto. Kilka pełnych pogardy, lekceważących słów na temat naszej sceny politycznej. Narzekania na zagonienie, brak czasu, brak pieniędzy i walkę o nie. I lekka nostalgia za przeszłością, kiedy byliśmy blisko siebie.

Co jakiś czas media ujawniają skandal finansowy dotyczący ludzi z nowej nomenklatury, okazuje się wtedy, że to tylko kolejny wierzchołek jednej z gór pasma naszej korupcji. Właściwie gdziekolwiek prasa wbije szpadel, to on się łamie o jakiś wierzchołek. Ujawnianie niebotycznych pensji ludzi piastujących państwowe stanowiska upokarza nawet tych zarabiających przyzwoicie. Potwierdza to powszechną wizję zawłaszczania kraju przez bandę łakomych polityków. I znowu te rotacje w ramach nomenklatury, osobnicy całkowicie skompromitowani, nawet ci, którzy swoją niekompetencją narazili skarb państwa na gigantyczne straty, są przesuwani na inne, dostatnie miejsca. To wszystko powtarza się w wielu wariantach i niezmiennie trwa, chociaż moralna nędza tego nepotyzmu widoczna jest jak na dłoni. Znak, że zjawisko jest wmontowane w żelazny, partyjny, nomenklaturowy styl rządzenia krajem. Nie mam serca, nie mam siły, nie mam dosyć treści w żołądku by wymiotować z obrzydzenia, więc nie chcę zbierać informacji, jak rządzą kilkoma firmami moi dawni koledzy z konspiracji, jak traktuje się tam ludzi, jakie nowe luksusowe samochody kupuje ich firma, biedniejąca z powodu bałaganu i niekompetencji.

AWS doprowadza do tego, że naród zaczyna czekać rządów postkomunistów, nie jak wybawienia, ale kary, którą należy wymierzyć egotycznym, prawicowym palantom. Jest tak, chociaż przecież każdy wie, że ta stara-nowa ekipa też zawiedzie. Ale co tydzień ma miejsce jakaś nowa polityczna kompromitacja AWS-u. To pospolite ruszenie rozpada się w zgiełku swarów i wzajemnych oskarżeń, ale rozpaść się nie może. Jeden z wielu dowodów, jak potężnym spoiwem jest władza. Tylko nawiedzeni nie idą na kompromis, a na nieszczęście dla AWS-u, jest ich w tym „stowarzyszeniu" całkiem wielu. I ten biedny premier, wzięty na męki swego urzędu. Nawet w ramach jego obozu mnożą się głosy, że należy mu ulżyć. I to jak najszybciej. Ale tu też nie ma zgody, jego bezradność bywa przecież wygodna.

Ale spokojnie – kompromitacja życia politycznego w Niemczech i w Austrii, niech uczy nas zachować proporcje w krytyce polskiej sceny politycznej. Zbudowaliśmy ją w ruinach i na śmietniku dwustu lat.

Mówi się w kręgach intelektualnych, że to jest najlepsze dziesięciolecie Polaków, zapewne od trzech wieków. Problem, że większość współczesnych uznałaby ten pogląd za zdumiewający lub humorystyczny. „To nasi poprzednicy jeszcze bardziej się męczyli? Niemożliwe!" – wykrzykną zdumieni. Czyżbyśmy byli niewolnikami, którzy w cierpieniu budują podwaliny tej lepszej Polski dla potomnych? Nie ma czegoś takiego jak obiektywna ocena własnej sytuacji. Ludziom poprawia się sytuacja materialna, ale coraz mniej jest radości życia. Ten fenomen dotarł już do Polski. U jego źródeł stoi zapewne nadprodukcja potrzeb wobec możliwości ich zaspokojenia. Nasze ambicje, chorobliwe, gdyż tak długo niezrealizowane, znacznie podwyższają nam temperaturę.

I bardziej odczuwamy naszą nowo nabytą samotność niż ludzie, tam, w tym świecie, do którego aspirujemy, oni nauczyli się żyć ze swoją samotnością, a też tworzyć nisze, gdzie można choćby udawać, że jest się razem.

Najbiedniejszy fizycznie byłem w latach 70-tych, kiedy zaangażowałem się w działalność opozycyjną. Ale mimo stałego poczucia zagrożenia, a nawet gorzkiego poczucia, że tego nie wygramy, nigdy potem nie czułem się lepiej. Mechanizm wchodzenia w wielkie ruchy zbiorowe, jak komunizm i faszyzm, jest doprawdy prosty. Ale na to, mam nadzieję, jako uparty indywidualista zawsze byłbym odporny. Urokiem naszej działalności było to, że miała ona charakter pospolitego ruszenia, z całym swoim bałaganem, z brakiem hierarchii oraz jakiejkolwiek dyscypliny, oprócz tej która wynikała z poczucia obowiązku. To też jeden z powodów, że kiedy ludzie z mojego środowiska zostają szefami wielkich przedsiębiorstw, próbują kierować nimi w podobny sposób, jak gospodarowali w podziemiu. Na dodatek wspólną sprawę, która jest w rozsypce, zastępuje interes własny.

Z kimkolwiek rozmawiam, w dużym mieście czy w małym miasteczku, wszyscy czują to samo – nie ma u nas myślenia w kategoriach dobra wspólnego, każdy szarpie ku

sobie. Ten egoizm daje jednak napęd krajowi, a jest pewien typ egoizmu, który stanowi inwestycję w zbiorową przyszłość kraju. Trwa więc wielkie inwestowanie w swoje dzieci.

Obserwuję dzieci znajomych i nieznajomych. Widzę jak one same uczą się inwestować w siebie. „Inwestowanie" jest słowem, które uprzedmiotawia człowieka, ale w tym przypadku jest dosyć trafne. Sąsiad stolarz, wypruwa z siebie żyły, by jedna jego córka mogła chodzić do szkoły plastycznej a druga na studia. I tak jest na każdym kroku, mnożą się szkoły prywatne, jest walka by dostać się do najlepszych. A ta dziewczyna z małego miasteczka, nie tylko uczy się dwóch języków, ma komputer z internetem a dzięki e-mailowi jest w stałym kontakcie z młodymi w różnych krajach, niedawno była w Szkocji u e-mailowej przyjaciółki. Syn pani Frani, która czasami u mnie sprząta, jest hydraulikiem, ze swojej wsi dojeżdża do pracy do Warszawy. Jego córki mają komputer, a jedna z nich chce iść na Akademię Sztuk Pięknych.

Wielka jest skala tego wysiłku dzieci i rodziców, czyli rośnie świadomość, że wiedza to pieniądze, a pieniądze są dzisiaj najważniejsze. Ale mamy obszary w Polsce, gdzie całe grupy społeczne nie mają środków by inwestować w swoje dzieci. I tu musi wkroczyć państwo, tworząc gęstą sieć stypendiów, tak było nawet przed wojną. A tego nasze państwo nie robi. Najwyższą cenę zapłacą najpierw ci zmarginalizowani, ale prędzej czy później zapłacimy za to wszyscy. Edukacyjne zaniedbanie jest, kto wie, czy nie największym błędem ostatniej dekady. Jakbyśmy hodowali drzewo, którego korzeń jest niepokojąco wiotki.

K. jest kobietą biznesu, w stylu amerykańskim, energiczna, nastawiona na sukces i zawsze pewna, że wszystko będzie dobrze. Została niedawno szefem koordynatorem ciekawej inicjatywy dotyczącej mediów w lokalnych ośrodkach. Przeznaczono na tę inicjatywę spore pieniądze z Unii Europejskiej. K. pojeździła sobie po Polsce emanując optymizmem i wiarą, że uda się stworzyć żywą sieć. Po pół roku jest w rozpaczy. Przyznaje, że nie znała polskiej prowincji, teraz odkrywa nowy świat. To świat wielkiej niemożności, wzajemnych konfliktów i zawiści, braku inicjatywy, braku ludzi-organizatorów, a też obraz atrofii dobrej woli. W finale rozmowy mówi mi, „już wiem, że nigdy nie będę żyć w zdro-

wym, dobrze funkcjonującym kraju, i że taki los zgotowałam też swoim dorastającym dzieciom. Nie zdążą dorosnąć, to jednak jest praca na kilka pokoleń".

„Na dwa pokolenia" – mówi właściciel firmy budowlanej w miasteczku W. „Największy problem – mówi – to brak ludzi". Wylicza: „niekompetencja, korupcja, alkoholizm, fatalne nawyki". To wszystko prawda, ale jednak przynosi efekty ta niebywała, chociaż zwykle mało kompetentna krzątanina milionów Polaków spragnionych pieniędzy.

W tym roku znowu sprzedano w kraju rekordową liczbę samochodów, aż 640 tysięcy, a to zaskoczyło wszystkich, zajęliśmy szóste miejsce w Europie! Polska jazda była trudna do pokonania przez wieki, a to jest bez wątpienia jakaś próba kontynuowania tej szlacheckiej tradycji, a też tradycji „zastaw się, a postaw się", przecież niemal 80.070 właścicieli nowych pojazdów nie było na nie stać, kupili je na raty. Ale te samochody, coraz liczniejsze i bardziej luksusowe, jeżdżą po coraz bardziej dziurawych szosach. Ten stan podziurawienia polskich ulic powiększa się z każdym miesiącem. To też ukazuje w symbolicznym skrócie paradoksalność naszego rozwoju.

Inne statystyki mówią jednak wyraźnie o globalnie dobrych wynikach gospodarki. Czy ważna jest jednak ta optymistyczna statystyka dla kilku bliskich mi osób, które nie mogą dostać pracy? A co myśli sąsiadka, której nie stać na telewizor? Większość moich znajomych chodzi w dybach świeżo wziętego kredytu. Polacy powszechnie i maniacko popadają w długi. Pożyczają pieniądze na jakiś interes, na mieszkanie, najczęściej na samochód. Ludzie są więc w stanie stałego finansowego niepokoju, to widać nawet po wyrazie twarzy. A trzeba tu przypomnieć, że oprocentowanie kredytów w Polsce jest nadal drapieżne, a pracę stracić łatwo, zdobyć coraz trudniej. Kolega, reżyser filmowy, pobrał kilka kredytów, zatajając w bankach poprzednie, na mieszkanie, na firmę. A kiedy go spotykam, widzę, że myśli tylko o pieniądzach, on kiedyś był tak obojętny na materialne pokusy, lecz teraz są nowe czasy, jest rodzina, dziecko. Pożyczam mu na dwa dni sporą sumę pieniędzy, o dziwo, oddaje w terminie. Ale kiedy próbuję z nim serdecznie pogadać, jak niegdyś, mam poczucie, że nie jest w stanie się skupić na serdecznej

rozmowie, bo ma na sercu kredyty do spłacenia. Te kredyty są jak domek z kart, wyjęcie jednej spowoduje katastrofę.

Córka kolegi P. jest młodym dermatologiem, wydzierżawiła z mężem niebywale drogie laserowe urządzenie do depilacji włosów, które podobno likwiduje owłosienie na całe życie. Ci młodzi zadłużyli się jednak monstrualnie na tę „wieczną depilację". Gdy z nią rozmawiam przez telefon, mam wrażenie, że wyskoczyła właśnie z samolotu, a spadochron nie otwiera się, błaga o pomoc w reklamie swojego biznesu.

D. jest młodą dziennikarką, przybyła do Warszawy ze wsi. Pełna pozytywnej energii i światła. Teraz jej światła zgasły. Wzięła ogromny kredyt na mieszkanie, pracuje od rana do nocy. I tak na każdym kroku trwa gorączka złota, mieć, za wszelką cenę mieć. Choroba, która jest motorem rozwoju kraju. I w końcu ja sam biorę kredyt, by wykończyć domek na wsi i czuję ucisk na szyi. Ale odkrywam, że tak daje się żyć.

Zostawiam na parkingu jeden z tych 640 tysięcy kupionych w roku samochodów i w celach poznawczych jeżdżę po Warszawie, tramwajami, autobusem, a nawet metrem, spaceruję, po zimnych i zaśnieżonych ulicach. Tak wiele jest nowych sklepów, a stare zmieniają swój wygląd. Ludzie dostatnio ubrani. Warszawa pełna młodzieży z całej Europy, zjechało tu 70 tys. młodych zrzeszonych w katolickim ruchu Taizé. Ani po twarzach, ani po ubraniu nie odróżniam tej młodzieży od naszych młodych.

Wybieram się na warszawskie narty. W parku Szczęśliwickim otwarto stok narciarski, o sztucznej nawierzchni. Są wyciągi orczykowe, jest nawet krzesełkowy. Elegancko. Kiedy stoję na szczycie omiatany mroźnym podmuchem, a śnieg sypie mi w oczy, doprawdy nie wiem czy to Alpy czy Warszawa. Ale gdy śnieżyca zamiera, odsłania się w dole szklany krajobraz i widzę jak wzdłuż pobliskich Alej Ujazdowskich rośnie dżungla nowej architektury, dziesiątki supermarketów, świątyń handlu i rozrywki, nowych firm, to jest Las Vegas skrzyżowane z nową, pogańską Częstochową. Świątynie handlu próbują być konkurencją dla świątyń modlitwy, dlatego nasz Kościół tak walczy by w niedzielę konkurencja była zamknięta.

A w dalszej perspektywie widzę, jak szybko rośnie warszawski Manhattan, nad którym góruje niedawno zbudowany wieżowiec, „Koreańczyk". Wokół góry, która zanim stała się narciarska, była wysypiskiem śmieci, skrzą się szyby luksusowych dzielnic dla bogatych. Ruszam w dół z tą nową Warszawą, rozkołysaną, w goglach. Nawet jeśli jest to dżungla, która rośnie dziko i brutalnie, gdzie nieświadomie hodujemy nowe gatunki drapieżników, zapomnijmy o tym na chwilę i by mieć budującą puentę, powiedzmy, że ten wzrost jest optymistyczny.

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

Odbiło mi: trzykrotnie wykąpałam się w Bałtyku w styczniu 2000 roku. Taplałam się przez pięć minut w pełnym zanurzeniu, rżąc i podskakując w wodzie o temperaturze w granicach zera. Tylko pierwszy moment jest jak rażenie prądem. Potem z lekka zatyka oddech i bolą dłonie z zimna. Poza tym – rozkosz. Nie chcę dorabiać do swojego wyczynu literatury, ale na pewno była w nim spontaniczna potrzeba odreagowania stresów – nie tylko osobistych. Potrzeba *katharsis,* mówiąc górnolotnie.

Kąpiele odbywały się na przełomie tysiącleci, ale daty nie miały tu najmniejszego znaczenia. Uciekłam w okresie świąt z Warszawy do Sopotu. Niczego nie planowałam prócz wdychania jodu podczas spacerów. Ktoś z naszego pensjonatu napomknął, że w Jelitkowie spotyka się „morsy". Niewiele myśląc, pożyczyłam kostium kąpielowy, wzięłam ręcznik i ruszyłam brzegiem morza. Na czwartym kilometrze zobaczyłam budkę z napisem „Gdański Klub Morsów". Weszłam tam, przebrałam się i pobiegłam do wody. Trochę drętwiały

stopy na śniegu. Na brzegu było płytko, odpływ, więc szłam, szłam, szłam po gładkim piasku, płosząc mewy-śmieszki, nim udało mi się osiągnąć głębokość po szyję. Po wyjściu poczułam ciepło i ogromny wigor. Ruszyłam do domu jak torpeda, pozostawiając wszystkich przychodniów w tyle. Udowodniłam sobie coś, o czym od lat zapomniałam – że przecież jestem świetnym piechurem.

Pytano mnie w pensjonacie z troską, ale i z pewnym przekąsem, dlaczego to zrobiłam. W moim wieku! Przecież zapalenie płuc, stawów, pęcherza... Nie miałam odpowiedzi. Mój syn, gdy zrobi coś nie mieszczącego się w granicach rozsądku, mówi: „odbiło mi". Więc powtórzyłam za nim: „odbiło mi".

Doktor, który prywatnie leczy niedomagania mojego serca i oddechu, nie podzielał ogólnych zastrzeżeń. Przeciwnie, mój wyczyn rozbawił go; do tego stopnia, że robiąc mi EKG, odezwał się nagle: „muszę panią za to pocałować". I pocałował. Gdyby taka była nasza służba zdrowia!

W sondażach społecznych wypada najgorzej. Szukam odpowiednich słów na to, co wyprawia się w Kasach Chorych. Nie znajduję. Niekompetencja, bałagan, brak doświadczenia. Za mało. Czym tłumaczyć niezgulstwo i konwulsyjne miotania w sytuacjach, gdy trzeba działać natychmiast? Choroba, zwłaszcza nagła, ma to do siebie, że nie może poczekać na lepsze czasy, aż nowy system wszystko sobie poukłada w odpowiednie szufladki. Zdawałoby się, oczywistość. A jednak...

Kiedy latem karetka nie dojechała do młodego zawałowca i pozwolono mu godzinę umierać na plaży na oczach tłumu ludzi, dzwoniących do pogotowia z telefonów komórkowych i obiecujących zapłatę z własnej kieszeni, otóż wtedy pomyślałam: „tragedia nauczy, jak działać, sytuacja się nie powtórzy". Nic podobnego! Niemal co tydzień media przynoszą informacje o śmierci zawałowców z powodu nieprzybycia pogotowia. Kasy nakazują ostrożność w wysyłaniu pomocy ze zwykłego asekuranctwa. A nuż wezwanie okaże się niepotrzebne? I wtedy dyspozytorce odejmą coś z tych groszy, które zarabia. Karetki stoją w bazie, a ludzie umierają.

Niknie na naszych oczach typ człowieka w białym fartuchu, który, gdziekolwiek jest, gdy widzi, że bliźni po-

trzebuje jego pomcy – biegnie. Niknie na naszych oczach typ policjanta, który, gdziekolwiek jest, gdy widzi, że człowiek potrzebuje pomocy – biegnie. Nie przerysowuję. Zbiurokratyzowanie i poniżająco niska płaca stępiły w nas ludzkie odruchy współczucia.

Nie u wszystkich, ma się rozumieć. Zdarzają się bohaterowie, czyli tacy, którzy odruchowo czynią, co czynić powinni. Czasem płacą słoną cenę za „wtrącanie się", czasem jednak przypina im się ordery, pokazuje w telewizji. I mówi: „oto bohater". Tylko, że bohaterowie potrzebni są na wojnie, a nie do wspólnego życia w codzienności.

Nikt nie wie, dlaczego dobre szpitale są zamykane, złe – otwierane. Jedne przepełnione (do kliniki na Banacha w Warszawie syn przyniósł matce łóżko polowe, bo nie było jej na czym położyć), inne – puste. Prawie wszystkie zadłużone. Kasy Chorych odmawiają zapłaty za ciepło i prąd, więc tak czy siak szpitalom grozi śmierć naturalna.

Mamy świetne zespoły lekarskie (przecież Polacy, do cholery, bywają piekielnie zdolni), które dokonują nowoczesnych badań i zabiegów. Jednostkowych. Na powszechność nie starcza pieniędzy. (Za to starcza na utajnione pobory urzędników Kas. Utajnione, bo należące do kominów płacowych.) Chorzy zdani są więc na miłosierdzie ludzkie. A ono bywa wielkie.

Nie za bardzo się chyba mylę twierdząc, iż akcje typu Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy (jest ich masa) więcej robią dla zdrowia ludzkiego niż powołane do tego instytucje. W ciągu jednej niedzieli „Orkiestra" zebrała około dwudziestu milionów złotych na osobiste aparaty do dializy nerek dla dzieci.

Czy więc nie byłoby lepiej, żeby społecznikom powierzyć finanse w tej sprawie, a przepłacanych i nieudolnych biurokratów rozpuścić? Jesteśmy społeczeństwem, któremu doskonale wychodzi akcyjność, ale nie dorośliśmy organizacyjnie do regularnych działań? Więc dalej! Spróbujmy powierzyć władzę uzdolnionym „Owsiakom" i „Kotańskim", przynajmniej w niektórych dziedzinach! Serio mówię.

●

Konrad Jaskóła, zwolniony szef Petrochemii w Płocku, spółki skarbu państwa, czyli *de facto* przedsiębiorstwa państwowego, wziął 2 miliony 200 tysięcy zł odprawy. Majątek, który urządza go na resztę życia. Twierdzi, że wypłacono mu z tego tylko siedemset tysięcy, potem mówi, że nic, a w ogóle, uważa, że podawanie takich sum publicznie naraża jego i rodzinę na niebezpieczeństwo. (Istotnie, odprawa czyni go milionerem; wziął 550 tysięcy dolarów za „do widzenia".) Poza tym, oburza się: postronnym wara od tego, ile mu płaci pracodawca. Mówi to z groźbą, jakby go spotkała krzywda, na którą odpowiednio zareaguje.

Kpi? Czy arogancja zalała mu oczy? Przecież to my, owi postronni, jesteśmy jego pracodawcą jako podatnicy. Petrochemia przynosi dochód, to prawda, ale większość spółek węglowych skarbu państwa notuje idące w miliardy straty. Nie bierze się tego pod uwagę przy płacach: ich zarządy należą również do „kominiarzy" płacowych z równie bajońskimi odprawami.

Ten „menadżerski" typ wynagrodzeń przyznał państwowym magnatom przemysłowym nie kto inny, ale minister Wiesław Kaczmarek za rządów koalicji SLD-PSL. Indagowany, odpowiada z rozbrajającą szczerością, że dokonał tego w interesie osób na kontraktach. Żeby w przypadku zmiany partii rządzącej byli zabezpieczeni. Zasada sprawdzająca się w gospodarce rynkowej, gdzie obowiązują prawdziwe kontrakty i prawdziwi menadżerowie. Ale w spółkach skarbu państwa stanowiska zależą nie od wygrania menadżerskiego konkursu, ale od partyjnej nominacji.

A tak dobrze patrzyło z oczu Kaczmarkowi! Nie należy nabierać się na twarz.

●

Potomkowie Solidarności, przyjmując pałeczkę władzy od SLD, przejęli identyczne zachowania, a nawet twórczo je rozwinęli. Przykład: w Gorzowie parę tygodni strajkowali pracownicy PKS-u, świetnie prosperującego przedsiębiorstwa idącego szybkimi krokami ku prywatyzacji, gdy im nagle młody wojewoda podmienił szefa. Aroganckie posunięcie i aroganckie zachowanie. Wojewoda ziewał w czasie rozmów, nie słuchał, co do niego mówiono; to załoga wykazała dobre wychowanie, ale i nieustępliwość. Nowy dyrektor, Włodzi-

mierz Popiołek, sprowadzony w teczce przez wojewodę z Radomia, nie porządził ani dnia. Negocjacje z załogą zakończyły się jego oddaleniem. Ale co wziął, to wziął: podpisał trzyletni kontrakt z pensją 17 tysięcy 600 zł miesięcznie, i opuszczając gabinet zabrał trzymiesięczną odprawę przekraczającą 60 tysięcy zł.

A jak zachowuje się najwyższa klasa polityczna usadowiona w stolicy? Nie tak dawno poseł Czesław Bielecki poddał publicznie miażdżącej krytyce swego parlamentarnego kolegę Henryka Goryszewskiego, przewodniczącego Sejmowej Komisji Finansów, którego prywatna kancelaria adwokacka pomagała klientom minimalizować obciążenia podatkowe i załatwiać korzystne koncesje. Z ambony sejmowej Bielecki powoływał się na moralność i przyzwoitość. Aliści w kilka tygodni później nie widział nic zdrożnego w tym, by przyjąć od swoich partyjnych kolegów z samorządu Krakowa wynagrodzenie dziesięciokrotnie wyższe niż za taką samą ekspertyzę architektoniczną otrzymali inni eksperci. Zaatakowany bronił się, że zlecenie otrzymał nie on, lecz firma, w której ma niewielkie udziały. Na pytanie, kto ma w niej udziały większościowe, wyjaśnił, że żona.

●

Nie inaczej dzieje się w samorządzie. Patrzę na marszałka sejmiku małopolskiego. Pewne siebie panisko. Mówi z odkrytą przyłbicą, iż pensja 19 tysięcy 985 zł miesięcznie odpowiada jego odpowiedzialnościom. Pytam prof. Jerzego Regulskiego, ojca reformy samorządowej, o której dawnymi czasy snuliśmy marzenia jako o remedium społecznym, przemierzając tatrzańskie ścieżki. Otóż pytam Regulskiego teraz, jakie są odpowiedzialności maszałka sejmiku wojewódzkiego. Za co odpowiada? Za skutki powodzi – nie; za pożary – nie; za wybuchy gazu wysadzające w powietrze budynki z ludźmi – też nie. Regulski mówi, że marszałek odpowiada za rozwój regionu. Czyli za drogi, mosty, transport, ekologię, chodniki, śmietniki... Jaki koń, każdy widzi. Ani kroku wprzód. Czy pana marszałka nie ogarnia wstyd, gdy chirurg w jego regionie, który, powiedzmy, operuje mu nogę, zarabia dziesięciokrotnie mniej od niego, chociaż za stan nogi odpowiada?

Regulski wodząc nas przed laty po bezdrożach Tatr (miał przepustkę poruszania się poza szlakiem) i roztaczając wizje idealnego społeczeństwa, mawiał: „gdybyśmy dziś ustanowili samorząd, obudzilibyśmy się jutro w innym kraju". Owszem, obudziliśmy się pewnego dnia w innym kraju, za co Bogu nie przestanę błogosławić (choćby dlatego, że wolno mi psioczyć), ale nie dzięki samorządowi, który gdy się tylko urodził, natychmiast zaniemógł. Obudziliśmy się dzięki sprzyjającej passie dziejowej.

Oczywiście, zdarzają się w kraju enklawy świetnie się rządzące. Przybysz rozpoznaje je z miejsca. Nie tylko po architekturze, ale po drobiazgach, po zapachu, czystości, stosunku do petenta, klienta, po solidności. Jednakże, świetny zespół, gdy się zdarzy, ma życie po grudach, właśnie dzięki swojej wyjątkowości. Niełatwo przebić się obywatelskiej i uczciwej postawie wśród morza partyjnych koterii i żądzy mamony. Gorsze nie znosi lepszego. Będzie je tępić.

Co więc robić, żeby ci lepsi wygrali? Pytanie z gatunku najważniejszych, bo tylko tacy ludzie dają nam widoki w dalszej perspektywie na przeżycie jako suwerennemu, nowoczesnemu społeczeństwu. Nie wiem, czy piętnując zło, wykonuję dobrą robotę. Opisywanie dobra nie jest jednak łatwe. Ludzie wolą się oglądać w krzywym lusterku. Prawdziwe odbicie ich razi. Kiedy zastanawiałam się nad pointą tego, co opisałam, wpadła mi w ręce riposta Macieja Jankowskiego – posła, którego coraz bardziej szanuję – który zapytany przez dziennikarza, czy nie obawia się groźby Mariana Krzaklewskiego, iż ci posłowie AWS, którzy łamią partyjną dyscyplinę, nie znajdą miejsca na przyszłych listach wyborczych, z właściwą sobie bezpośredniością odparował: „myślę, że większym kłopotem przewodniczącego będzie znalezienie przyzwoitych ludzi na listę AWS".

●

Za dochody prawie ośmiuset radnych Warszawy można by dziś odkorkować stolicę. Pobudować mosty i obwodnicę. Chora na rozsianego raka Ustawa Warszawska przez blisko dziesięć lat uśmierca zdrowe jeszcze tkanki miasta. Radykalny lek w postaci projektu nowej ustawy jednym ruchem – po-

przez podniesienie poselskich rąk, uzdrowiłby dogorywającego pacjenta. Jednakże, nikt po niego nie sięga; spoczywa spokojnie w szufladach Sejmu. Do czasu. Ucho przepełnionego dzbana już-już się urywa...

Urwało się. W obliczu druzgocących raportów NIK-u i drążącej skałę, uporczywej działalności mediów obnażających prawdę – Sejm, przyparty do muru, pozdejmował najwyższe kręgi z kominów płacowych spółek skarbu państwa i samorządów. Nareszcie uznano, że niczym nie pohamowany fundusz płac, którego nie tamuje odrobina przyzwoitości, po prostu, pożre wszelkie pieniądze na rozwój. Do niedawna mówiono mi, gdy poruszałam temat, że jestem populistką, gdyż wydatki te stanowią kroplę w morzu dla budżetu. Okazało się jednakże, iż morze przez tę kroplę wystąpiło z brzegów.

Swego czasu prof. Mikołaj Kozakiewicz charakteryzując rządy premiera Waldemara Pawlaka pisał: „Pawlak wespół ze swoimi współpracownikami, Strąkiem i Mleczką, weszli na śliwę, wciągnęli za sobą drabinę, sami jedzą owoce i plują na tych pod drzewem pestkami". Dziś poseł Janusz Lewandowski (UW) sięgając do porównania z klasyki, powiedział, że nasz rząd to Doktor Jekyll i Mr Hyde. W dzień pieje o reformach, a nocą realizuje zasadę „TKM". Realizuje bezpardonowo, zatracając poczucie własnego bezpieczeństwa. Ja jednak myślę, iż AWS wie, co robi. Zdaje sobie sprawę, że przegrał. Że za pożno na odrobienie strat i poprawienie wizerunku w opinii publicznej. W głębi duszy kiełkuje myśl, że zaprzepaścili najbliższe wybory. Cóż więc pozostało? Ponapychać kieszenie złotem. Dokładnie tak, jak robili to komuniści na odchodnem.

●

Gdy dziś z ust Polaków pada słowo „hołota", rzadko trzeba tłumaczyć: „no ci, na górze". Określenie obejmuje prawie wszystkie funkcje z nadania partyjnego. Ale się porąbało! Tylko że wcale nie do śmiechu. Tak niedawno ci sami ludzie cieszyli się najwyższym szacunkiem, skupiali nasze największe nadzieje.

Pamiętam dzień 1 sierpnia 1989 roku. Rocznicowe obchody Powstania Warszawskiego na Wojskowych Powązkach. Ciżba ludzka, żar płonących świec i odurzająca woń kwiatów.

Pierwszy raz bez lęku, bez konspiracji, bez upatrywania zomowca w sąsiedzie. Świeżo wybrani parlamentarzyści wśród ludzi. Tak się składa, że idę obok Bronisława Geremka, szefa Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Tłum rozstępuje się w milczeniu; zewsząd wzruszony poszum: „Sejm idzie, idą posłowie..." Dojmująca chwila; serce podchodzi do gardła...

Dzisiaj Sejm wedle sondaży zbiera ponad dwie trzecie ocen negatywnych. Jaką drogę przeszliśmy, żeby tamto zawierzenie zamieniło się w słowo „hołota"? Czy da się sprawę odwrócić, czy też *to se ne vrati*?

●

W Parlamencie odbywają się zastępcze harce. Harcowaliśmy z ministrem Emilem Wąsaczem. Wielkie krzyki. Tylko on jeden zachowywał spokój – a może był to kamuflaż, bo żaden z ministrów skarbu, czyli prywatyzator majątku, który tak długo był państwowy, czyli niczyj, nie ma lekkiego życia. Uśmiechnięty, z figlarnie przechyloną na bok główką, wyglądał jak panienka ze szkolnej fotografii, a nie jak udręczony minister. Ostał się na stanowisku dwoma poselskimi głosami. Między innymi, za cenę obietnicy, iż stworzy twór pod tytułem „Polski Cukier". Każdy, kto myśli rozsądnie, wie, że cukrownie (i nie tylko) powinny zostać czym prędzej sprywatyzowane na zasadzie, kto da więcej. Obojętnie kto, niechby sam diabeł. Leszek Balcerowicz mówi, że może być i holding „Polski Cukier", byle odpowiadał warunkom. Ale „Polski Cukier" jest biedny, nie ma odpowiednich gwarancji, więc banki nie dadzą mu kredytu, a wtedy plantatorzy buraka pójdą z torbami.

Cukrownicy Lubelsko-Małopolskiej Spółdzielni Cukrowniczej podzielili się. Jedno piętro siedziby w Zamościu zajęli „patrioci", ogłaszając strajk okupacyjny pod hasłem: „Wstrzymać prywatyzację i zjednoczyć polskie cukrownie w jedną narodową całość!" Na innym piętrze budynku okopali się realiści z wołaniem: „Chcemy do Niemca!" Uważają, że bez prywatyzacji, czyli bez tego Niemca (chodzi o bogaty niemiecki holding, gwarantujący cukrownikom spłatę długów i pożyczki), nie mają po co wracać do domu. „Zamienimy się w żywe trupy jak ludzie z upadłych pegeerów" – deklarują.

Argument o wyprzedaży Polski obcemu kapitałowi, jakim szermuje prawica, jest łatwą do odczytania manipulacją. Ciekawi mnie, dlaczego Polacy tak łatwo jej ulegają. Na zdrowy rozum nie da się takiego podejścia wytłumaczyć. Trzeba by sięgnąć do historii, do wkodowanego w umysł Polaka kompleksu rozbiorów i wynikającego stąd lęku o utratę suwerenności. Pominąwszy oczywistość, iż obce inwestycje, odpowiednio kontrolowane, mogą jedynie poprawić stan gospodarki poprzez tworzenie miejsc pracy i innowacje, więc pominąwszy tu też ważny aspekt, powiedzmy sobie szczerze, że przecież, na Boga, nie ten temat zaprząta głowy młodemu pokoleniu! Umysły mają zajęte nauką i dorabianiem się, co mogą czynić tym spokojniej, że bez zagrożenia z zewnątrz.

A jednak, a jednak „wyprzedaż Polski" jest hasłem równie mocnym i mrocznym co antysemityzm. Przydatnym do mamienia ludziom w głowach przez polityków. Wystarczy posłuchać posła Jana Łopuszańskiego z ZChN.

Przyszedł do nas ksiądz po kolędzie. Młody „Robak" (bo bernardyn), w okularkach, inteligentny, grzeczny, dokształca się na ATK; miło się rozmawiało; chwaliłam kazania, że logiczniejsze, tłumaczą przeczytaną Ewangelię, a nie straszą Panem Bogiem. Aż tu nagle między wierszami wyrywa mu się zdanie o wyprzedaży Polski...

Kościół w Polsce od dawna nie jest monolitem, ale ludziom ciężko przychodzi fakt ten uznać. Opornie przyznają księżom prawo, że jak społeczeństwo, mogą mieć zróżnicowane poglądy i różne charaktery. I że tej kwestii nie można zmienić hierarchicznym nakazem z góry. Chociaż życie dostarcza takich przykładów: jedni duchowni Orkiestrę Owsiaka popierają; byłam na mszy, gdzie ksiądz cieszył się, że każdy ma w klapie Orkiestrowe serduszka (dowód datku), mówiąc: „to właśnie jest prawdziwa solidarność...", ale są i kościoły, które Owsiaka pędzą. Jeden ksiądz Owsiakowe „róbta, co chceta" uznaje za szatańskie wezwanie, a drugi – arcybiskup Życiński uważa, że przypomina mu powiedzenie świętego Augustyna: „kochaj i rób, co chcesz". Zdarza się, że funkcjonariusze Kościoła postępują wręcz małodusznie i niemądrze.

●

Umarł Jerzy Waldorff, przeżywszy niemal w całości wiek XX. Nikomu w Polsce nie potrzeba przedstawiać tej postaci. Wejdzie do historii jako całokształt, jako osobowość z jednej bryły, na którą złożyły się najważniejsze dla kultury wątki epoki. Z jego osobą „zetknęłam" się jako dziecko w opowieści wuja, rotmistrza 11. pułku Ułanów (biały otok, biały szalik) stacjonującego w Ciechanowie. Waldorff odsługiwał w nim wojsko po studiach i od razu zasłynął jako ktoś, którego głosu i słów się słucha. Gdy szwadron udawał się stępem na ćwiczenia, wuj wydawał rozkaz: „Preyss (właściwe nazwisko Waldorffa – EB), do przodu, i gadać!" W ten sposób podchorąży umilał ułanom nudę służby. Po wojnie wuj miał kiosk z gazetami; wierny podkomendny kupował prasę u „pana rotmistrza". Waldorffa ujrzałam „na oczy", pracując jako studentka we wspomnianej już na tych łamach Generalnej Dyrekcji Teatrów Oper i Filharmonii, mieszczącej się w baraku na dzikich wówczas polach Alei Niepodległości. Wszedł do pokoju i podając mi rękę przedstawił się swoim charakterystycznym tubalnym głosem: „jestem Waldorff, redaktor *Przekroju*". Zabrzmiało to jakoś przedwojennie, ujmująco, teatralnie i zaraz ociepliło peerelowską sztywność.

Miano mu urządzić uroczystą mszę żałobną w kościele św. Krzyża, podobnie jak przed laty Antoniemu Słonimskiemu, jak później, młodemu pianiście, Wackowi Kisielewskiemu. Kuria zaprotestowała. Z propozycją wystąpił więc ks. Wiesław Niewęgłowski, duszpasterz Środowisk Twórczych, który niedawno zasiedlił dawną kaplicę Panien Kanoniczek na Placu Teatralnym. Odmowa wyższej instancji. Msza odbyła się na Powązkach w kościele św. Boromeusza. Spoczął w upatrzonej przez siebie niszy w katakumbach, ale zarząd cmentarza wziął za nią dziesięć tysięcy złotych.

W pale się nie mieści. Człowiek tej miary, pominąwszy wszelkie inne zasługi, ale człowiek, który swoją niezmordowaną inicjatywą uratował Stare Powązki od zagłady, czyli uratował jeden z tak niewielu zabytków, jaki pozostał w Warszawie w postaci tej nekropolii, otóż człowiek ten – za niewyparzony język, bo za co? – doznał od oficjalistów kościelnych afrontu. Myślę, że się nim nie przejmuje. Przybyły tłumnie lud Warszawy wynagrodził mu przykrość z nawiązką.

Wszystko to działo się wtedy, kiedy Warszawa z wielkim

entuzjazmem gościła europejski zjazd młodych chrześcijan z Taizé. Mimo mrozu modlitewne namioty w parkach zapełniały się po brzegi. Młodzież różnych narodowości, maści i wyznań modliła się i śpiewała Bogu, a biskupi odprawiali ekumeniczne nabożeństwa z najwyższymi dostojnikami innych konfesji, którzy również zjechali do Warszawy.

●

Usiedliśmy we trójkę z mężem i synem debatując nad wydaleniem dziewięciu rosyjskich szpiegów z Polski. Dobrze to, czy źle? My uznaliśmy, że źle, ale temat podzielił ludzi. Jedni przyznawali rację ministrowi Geremkowi, który w krótkich żołnierskich słowach oznajmił, że dość już tego anachronicznego szpiegowania jak z powieści Le Carré, tych skrytek i spotkań w krzakach, gdzie dobrym Polakom proponuje się zdradę. Drudzy mówili, że namierzonych szpiegów można bez hałasu i upokarzania sąsiada kontrolować. My w domu uznaliśmy akt wydalenia Rosjan z całą ostentacją związaną z tym wydarzeniem, za typową tromtadrację. Dać niedźwiedziowi prztyczka w nos, ach, jak przyjemnie! Tylko, co dalej? O tym nie myślano. Ochłodzenie murowane. Miał przyjechać do Warszawy Putin i jakoby przeprosić za 17 września. Oczywiście, nie przyjedzie. „A na razie to 25 tysięcy Polaków straci pracę – zauważył mój syn. – Kontrakty zwekslują na Czechów czy Bułgarów".

Aż się prosi ostudzić wzburzenie w lodowatej wodzie zimowego Bałtyku.

Warszawa, 30 stycznia 2000 r.

Ewa BERBERYUSZ

PS. Co do zburzenia pomnika Feliksa Dzierżyńskiego, o czym pisałam w *Kulturze* (Nr 12, '99), Jerzy Timoszewicz miał lepszy pomysł: Niczego nie ruszać tylko podmienić tabliczkę: zamiast „Feliks Dzierżyński" napisać „Henryk Sienkiewicz". Podobni jak bliźniaki, oczywiście tylko na pomniku. Niestety, za późno.

Sprawy i troski

Polak-kołchoźnik

UWAGI ETNOGRAFA NA PODSTAWIE BADAŃ WE WSIACH GRODZIEŃSZCZYZNY

Musić być kałchoz.
Biez kałchoza prapaduć ludzi.
Powszechna opinia w kołchozie „Swietłyj Put'"

1. Uwagi wstępne

Od roku 1993 prowadzę, wspólnie ze studentami Uniwersytetu Warszawskiego, terenowe badania etnologiczne i socjolingwistyczne na Białorusi. Jeździmy m.in. do wsi kołchozowych rejonu lidzkiego i woronowskiego (obwód grodzieński). W badaniach posługujemy się: rozmową kierowaną i wywiadem, opartym na kwestionariuszu z pytaniami otwartymi; nie mniej ważna jest także obserwacja uczestnicząca.

Przeprowadziliśmy dotychczas kilkaset (ok. 400) rozmów z mieszkańcami trzech kołchozów i jednego sowchozu[1]. Naszymi rozmówcami byli katolicy, prawosławni, starowiercy, muzułmanie; osoby określające się jako Polacy, Litwini, Białorusini, Ruscy. Uwagi, jakie przedstawiam w niniejszym artykule, są wynikiem analizy wypowiedzi rozmówców – katolików.

1. Są to: kołchoz im. Czapajewa w Wawiórce (rej. lidzki), kołchoz w Bolciszkach (rej. woronowski), kołchoz „Swietłyj Put'" („Świetlista Droga") w Naczy (rej. woronowski) oraz sowchoz w Małym Możejkowie (rej. lidzki). Sporadycznie odwiedzaliśmy także wioski, należące do innych kołchozów rejonu lidzkiego: kołchozu w Mycie, Tarnowie, Nowickiem oraz do sowchozu „Wostok" w Skrybowcach.

2. *Dlaczego „portret polaka–kołchoźnika"?*

Jednym z dość szeroko rozpowszechnionych uproszczeń, dotyczących Polaków na Wschodzie, jest przypisywanie im *en bloc* polskiej świadomości narodowej. Badania etnosocjologiczne, prowadzone na Białorusi wśród ludności wiejskiej, mogą istotnie przyczynić się do weryfikacji tego uproszczenia. Sądzę, że badania tego typu szczególnie warto podejmować właśnie na Białorusi: tutaj żyje najliczniejsza spośród wszystkich państw byłego ZSSR tzw. mniejszość polska[2], której większość z kolei stanowią mieszkańcy wsi[3]. Są to w przeważającej mierze ludzie w starszym wieku, o niskim poziomie wykształcenia. Bez poznawania i rozumienia ich sposobu życia i myślenia, wiedza o Polakach na Białorusi pozostanie fragmentaryczna.

Ten sposób życia i mentalność (system wartości, opinie, preferencje, wybory) jest silnie związany z dwiema instytucjami: kołchozem i kościołem. Pierwsza organizuje pracę, druga życie religijne – a zatem obie odgrywają zasadniczą rolę w organizacji życia społecznego mieszkańców wsi i obie koncentrują się wokół podstawowych wartości ich kultury, jakimi są praca rolnika i wiara katolicka. Głębsze poznanie społeczności wiejskich Białorusi, zwanych polskimi, nie wydaje się możliwe bez badania obu tych instytucji: ich funkcjonowania w praktyce życiowej i – przede wszystkim – w świadomości kołchoźników.

Za punkt wyjścia moich uwag przyjmę sformułowaną przez Ludwika Stommę autodefinicję chłopa polskiego (przełomu XIX/XX w.). Składa się ona z trzech elementów: 1) *jestem tutejszy*, 2) *jestem chłopem – rolnikiem*, 3) *jestem katolikiem* (Stomma, 1986, s. 63). Odniesiona do współczesnych mieszkańców wsi kołchozowych Grodzieńszczyzny, mogłaby znaleźć swój odpowiednik w trójczłonowym zestawieniu: „tutejszy" – „kołchoźnik" – „polak".

Pierwszym elementem triady nie będę się tu zajmować. Do drugiego zaraz przejdę. Trzeci wymaga krótkiego komentarza.

2. Według danych spisu ludności z 1989r., jest to 417,7 tys. osób, czyli 4,1% ludności Białorusi.

3. Według danych tego samego spisu, spośród 301 tys. Polaków, zamieszkujących obwód grodzieński, 55,1% to mieszkańcy wsi.

„Polak" jest jednym z kluczowych pojęć wewnętrznego systemu kultury grodzieńskich wiosek. Przeważająca większość naszych rozmówców rozumie je jako synonim k a t o l i k a i, tym samym, antonim p r a w o s ł a w n e g o, czyli b i a ł o r u s a lub r u s k i e g o. Polakiem w tym znaczeniu jest dla nich mieszkający na Białorusi wyznawca religii katolickiej (ten, kto „liczy się Polakiem"), najczęściej zapisany w dokumentach jako Polak (ten, kto „pisze się Polakiem"). Tak rozumiane określenie p o l a k odwołuje się więc nie do tożsamości narodowej, lecz religijnej. Jak pokazał to m.in. L. Stomma, kryteria identyfikacji kulturowej chłopa nie wiążą się ze sferą ideologii narodowych. Badacz poczucia tożsamości współczesnych kołchoźników Grodzieńszczyzny znajduje – zwłaszcza, choć nie wyłącznie, w starszym pokoleniu – żywe powtórzenie w realiach postsowieckich zjawiska identyfikowania się ludności wiejskiej z grupą religijną przy braku poczucia więzi narodowej, znanego z literatury przedmiotu w odniesieniu do okresów dawniejszych. Stosowanego w wioskach Grodzieńszczyzny samookreślenia „polak" nie należy więc mylić ze znaczeniem słowa „Polak", przyjętym w polszczyźnie ogólnej, odwołującym się do treści narodowych: 'człowiek narodowości polskiej, rodem z Polski' (taką definicję podaje „Słownik języka polskiego" pod red. W. Doroszewskiego). Dla wyrazistszego rozróżnienia tych dwóch znaczeń („religijnego" i „narodowego") przyjmuję pisownię wyrazu „polak" w znaczeniu 'katolik' małą literą: podobnie, jak piszemy katolik, prawosławny, muzułmanin, baptysta.

Zrozumienie i opisanie fenomenu polaka–kołchoźnika to złożone zadanie, nie do wykonania w ramach jednego artykułu. Przedstawiam więc jeden z możliwych przyczynków do jego portretu: próbę refleksji nad powszechnym w grodzieńskich wioskach przekonaniem o niezbędności instytucji kołchozu.

3. *Dlaczego „kołchoz musi być"?*

Mieszkańcy wiosek kołchozowych nie wyobrażają sobie życia bez kołchozu. Nasz przewodnik po „bazie" i „fiermie" kołchozu Swietłyj Put', 23-letni technik, ujął tę powszechną

opinię w słowach: *Musić być kałchoz. Biez kałchoza prapaduć ludzi* [B98NaczAK/Engel]. Hasło „kołchoz musi być" rozlega się powszechnie jak refren – a może jak zaklęcie? Pada z ust zarówno przedstawicieli władzy, jak i prostych kołchoźników, zarówno staruszków – emerytów, jak i dzieci.

W zebranych przez nas materiałach terenowych została zanotowana tylko jedna wypowiedź rozmówcy, który był przeciwnego zdania – że kołchozy mogą, a nawet powinny zostać rozwiązane: *No, to musi dojść do tego, że one rozrucone będą. [...] Taki ohromniaha, jak nasz kołchoz, on nie wyprawia się dobrze, dlatego, że ten administrator jeden, on nie dopatrzy wszystkiego; to trzeba coś robić trzeba. Kołchoz duży u nas. [...]. Cała wawiórska parafia jest tutaj objęta; parafia wielka i ot, ten kołchoz. To on musieć być, rozbity; tut może będą fiermery takie, może co.... No, cosi musi być takiego, żeby, o, to było swoje, żeby to swoje było, ot. [...] To musi być. To i będzie* [B93Pap.AW/Engel].

A zatem: dlaczego kołchoz musi być? Można oczywiście dać odpowiedź pozornie prostą: bo nie może nie być. Bo został narzucony przemocą, jest utrzymywany przez autorytarną władzę i nie istnieje możliwość zmiany stanu rzeczy wbrew woli tej władzy. Ale taka odpowiedź nie wyczerpuje pytania. Pozostaje bowiem głęboko zastanawiający fenomen akceptacji rzeczywistości kołchozowej. Akceptacja ta wydaje się powszechna: nie tylko odgórna (nie jest szczególnym zaskoczeniem, kiedy hasło „kołchoz musi być" pada z ust przewodniczącej sielsowietu, wypowiedziane z pełnym namaszczeniem, w gabinecie, z predsiedacielskiego fotela pod portretem prezydenta), lecz także – i to chyba ma największe znaczenie – oddolna. Ta oddolna akceptacja istnieje pomimo początkowego zdecydowanego oporu przeciwko instytucji kołchozu, pomimo traumatycznych przeżyć, związanych z pierwszym okresem jej funkcjonowania i bez względu na co najmniej ambiwalentny stosunek do realiów kołchozowego życia. Kołchoźnicy mawiają bowiem: *my nie żyjem, my gnijem*, albo: *W kałchozie – Boże strzeż!* i robią wszystko, żeby wypchnąć dzieci do miasta lub choćby miasteczka: *Tak bardzo trudno było [...]. To jak już dzieci zaczęli podrastać, to z ostatnich sił, to poduczyli po trochu, to tak, to owak i aby tu nie było dzieci* [B93Mac.BR/Straczuk].

W zrozumieniu owego „fenomenu akceptacji" może pomóc badanie jego korzeni: zbioru przekonań, norm, treści mitycznych i reguł myślenia, tworzących zbiorową nieświadomość, czy inaczej – mentalność kołchoźnika.

W kołchozowych wioskach krąży anegdota – zagadka: jak odczytać skrót K+M+B, pisany na drzwiach i oknach chat święconą kredą w święto Trzech Króli? – *To jak Sowiety przyjdą tutaj i jak raz na każdym domu napisane KMB, to po rusku rozszyfrowali „kałchoz musi być"* [B93Biał. NK/Straczuk]. Można rozumieć ten przykład nie tylko jako ironiczną grę słów, lecz także jako swoisty zapis historii zderzenia dwóch rzeczywistości: porządku tradycyjnych wartości chłopskiego świata, przejawiających się w rytmie pracy-święta, z systemem wrogim mu, niszczącym go i narzucającym własne reguły. To zderzenie *sacrum* i *antysacrum*, porządku i antyporządku, kosmosu i chaosu.

Jeżeli przeanalizować pod tym kątem opowieści naszych rozmówców o początkach sowieckiej władzy i kołchozów, można bez trudu dostrzec w nich sformułowania, sugerujące, że narratorzy odwołują się – mniej lub bardziej świadomie – do archetypu odwiecznego ścierania się Dobra ze Złem, w wersji schrystianizowanej, wyrażającego się jako walka Boga z Diabłem. Relacje o „zamykaniu wiary" mówią o tym bezpośrednio:

...jak zaszła ta sawiecka właść, to oni piłowali krzyży, niszczyli... [B93Ser.MP,WP/Ciołek].

To komunizm był straszna taki, wszystko on w swoich rękach trzymał. I wiara byli zupełnie skasowali [B93Mej.FJK/Kolas].

Oni jak przyszli, tutaj kościoły, księżów ujarzmili, wywozili, sądzili ich, po dziesięć lat dawali księżom. [...] To można powiedzieć to nie rząd radziecki, ale to piekło, to piekło z piekła! [B93PapAJW/Ciołek].

W relacjach o organizowaniu kołchozów czy życiu „pod komunistnym prawem" motyw ten jest bardziej ukryty, ale czytelny – spotykamy w nich na przykład odwołania eschatologiczne, takie jak wieczne potępienie:

Już tu kołchoz zrabili – to my się zagubili na wieki. Przyszli, nas zagubili [B98BielunJWM/Engel].

Jeszcze nasze wszystko komunisty trzymają. Tu jeszcze

komunisty. [...] Jeżeli Łukaszenka weźmie na druga kadencja – przepadli na wieki [B98Puz.FS/Engel].

Do tradycyjnego chłopskiego świata wtargnął terror i niewola. Środki wyrazu (powtórzenia, w tym refrenowy zwrot „zabrali wszystko" , liczne wezwania do Boga, Jezusa, Matki Boskiej oraz leksykalne i frazeologiczne nawiązania do Ewangelii), jakich używają rozmówcy, opowiadając o tych wydarzeniach i związanych z nimi przeżyciach, zaczerpnięte ze znanych im konwencji stylistycznych skargi chłopskiej i tekstów religijnych (zwłaszcza litanii i pieśni pogrzebowych), świadczą o najwyższym natężeniu emocji, ale również i o tym, że relacjonowane wydarzenia mają odniesienie do mitycznych wzorców: do męki Chrystusa, do niewoli Złego.

Przyszli nasze „aswabaditieli" [...]. Wszystko zabrali, wszystko zabrali, tylko jeszcze jakie krówki zostali [...]. Ziemię zabrali, konia zabrali, wóz zabrali, no i wsio... zostaliśmy [B97Czesz.HG/OLin].

I chleba nie ma, i zboże zabrali, i ziemia zabrali i wszystko zabrali. Wszystko, co potrzebne do gospodarstwa: pługi, brony, konie, stodoły. [...] O, jak było ciężko. Kołchoz ten. Roztrzaśnięte wszystko było, żadnego ładu nie było. Bogate ludzie byli, to: żeb ty nie miał, żeb ty nie żył. Zabrali, zabrali wszystko, na Rosję powyciągali [B98Pap.MS/Engel].

Pałkami bili, obierali, sądzili – o, co było. Co tutaj nie było! Zabierali i krowy i konie; wszystko. Zabiorą, znaczy, do sielsawietu – „piszy sia u kałchoz", no i wsio. Musisz pisać się. Oni sami zapiszą, ale musisz rękę swoją położyć że tu.... – no gdzież, nic nie zrobisz pod pałkiem [...]. Szukali tylko jakiej przyczyny, aby tylko zadusić człowieka [B93Pap.AW/Engel].

Płakali krwawymi łzami i dobrowolnie szli. Bylib wszystkie [...] pouciekalib od Sowietów, gdyby swoboda była [B98Bielun.JWM/Engel].

Nu w kałchozie tym pracujesz, i co my zarabiali wtedy w kałchozie, to [...] ja za cały rok zarobił tylko dziewiendziesiont sześć kilo jęczmienia, więcej nic. Żyta na chlieb nic. To kopało się grób [B97Mac.TR/MOrg].

Po początkowym okresie terroru system władzy stopniowo łagodnieje. Wynagrodzenie za pracę nie jest już wypłacane

w naturze – kołchoźnicy zaczynają dostawać pensje i emerytury; nie są już więcej ludźmi przypisanymi do wsi, nieposiadającymi dokumentów osobistych – wydaje im się paszporty. Następuje okres względnego dobrobytu – wspominany z nostalgią czas rządów Breżniewa: *Och, jak było trudno z początku. Och jak było... Do sześćdziesiąt chyba szóstego roku. Już jak przeszliśmy na piniądze pracować, już tam coś, już tam lżej i lżej i lżej... dlatego, że coś sprzedasz, już na chleb zarobisz, pieniądze te, już chleba kupisz [...]. Już można coś. I poszło lżej i lżej i lżej. I już* [B97Czesz.HG/OLin].

I wreszcie przychodzi przełom: „otwarcie wiary" przez Gorbaczowa. *Harbaczou był, on już pojechał do Ameryki, za granice tam wszendzie, tam jemu powiedzieli, że my w Boga wierzymy i on przyznał, aż pojechał do papy rymskaha. I on dał wiare już* [B97Mej.FK/DorKo]. Okres ten przyniósł nawet przemianę obrazu wroga – sowieckiej władzy: *Jest zakon, że* [Sowieci] *bez wiary i koniec. Teraz dopiero zaczeli przyjmować, jak ten Horbaczow przyszedł, prawosławną wiarę* [B93Pielun.JD/Cichy]. Antysakralność prześladowców Boga zmieniła znak na plus. Otwarto zamknięte i zrujnowane kościoły i cerkwie. *Bo teraz już dali prawo, że można wierzyć* [B97Mej.HK/DorKo]. I prawa tego przestrzegają władze lokalne i kołchozowe – nikt już nie zabrania i nie utrudnia wierzącym otwartego praktykowania religii.

W miarę upływu lat staje się coraz wyraźniejszy jeden z aspektów „fenomenu akceptacji": przyzwyczajenie do kołchozu. *Tutaj, jak wróciłem* [po wojnie z Rosji], *to zaraz kołchoz zrobili. Zabrali wsio, krowy, stodoły, spiklerze pobrali, pobrali i konie, i wozy, pługi, wszystko pobrali, i nic nie było. Ciężko się żyło, potem my przyzwyczaili się do tego. Potem to już całe życie w kołchozie* [B93Pielun.JD/Cichy].

Z przyzwyczajeniem do czegoś niemiłego kojarzy się zwykle takie cechy jak bierność, uległość czy bezsilność. Z tego punktu widzenia należałoby rozumieć najpowszechniejszy z kołchozowych refrenów, „no i co zrobisz? nic nie zrobisz..." przede wszystkim jako świadectwo bezradności. Ale można też chyba widzieć w nim wyraz postawy pragmatycznej, wynikającej z realistycznej oceny sytuacji. Ponieważ chłopski opór wobec nowego systemu został złamany, po-

zostaje trwanie przy tym, co nie zostało zniszczone: pozostaje po prostu trwanie przy życiu. Siły *antysacrum* dokonały zamachu na dwie podstawowe wartości kultury chłopskiej: wiarę i pracę *(Pan Bóg powiedział: pracuj człowieku, a ja ci dopomogę. Ale przy takim rządzie, to będziesz pracował, sam siebie zapędzisz do deski, a zarobić nic nie zarobisz* [B93Pap.AJW/Ciołek]). Nie zniszczyły jednak wartości najważniejszej – tej, której służą zarówno wiara, jak i praca: samego życia. *Jak Bóg dał życie, tak trzeba żyć pomaleńku* [B93Roub.SR/Piszczat] – mówią kołchoźnicy. Żeby żyć, żeby przeżyć, trzeba się przystosować. W refrenie „co zrobisz?" brzmi dyktowana afirmacją życia zgoda na los:

A co zrobisz? Jak w przysłowiu mówi się: Na czyim wozie jedziesz, temu pieśni śpiewaj. A co zrobisz? Żyć chcesz – umiej wiercicsa. A coż ty zrobisz? Gdzież ty udasz się? Co przeciw wiatru nadmuchasz? [B94Sur.WS/Straczuk].

Albo: *Sud'ba nasza taka, że tutaj Sowiety przyszli i my tutaj rodzili sie przy ich i my żyjem i my musimy* [B97Dyl.BS/Just].

Ta zgoda na los świadczy, podobnie jak przyzwyczajenie, nie tyle o bierności, ile raczej o uznaniu praw, rządzących porządkiem rzeczy. A ów porządek polega na tym, że na szczycie hierarchii świata stoi Pan Bóg, który wszystko stworzył i wszystkim rządzi. *Jak Pan Bóg da, tak i będzie* – mówią kołchoźnicy. I ze spokojem zostawiają Panu Bogu troskę o wszystko, co jest poza zasięgiem ich doświadczenia, wiedzy, czy wyobraźni: *a Pan Bóg jego wie...* Ale dlatego też mogą mówić: *Dzięki Bogu jakoś przeżywamy...* Bo: *to, kochana, wszystko Pan Bóg robi. I te pieniądze, i te ludzie...* [B93Pap.MS/Engel].

To Pan Bóg zesłał wszystko. To Pan Bóg. Jak Sybylia pisała. To wszystko idzie po tym, jak ona opisała, u nas po białorusku mówili: Jak budzia narod mudryj, buduć harać mieży kudry, a jak pryjdzie lichaja dola, pakinuć rabocza pola [B93Pap.MS/Engel].

Jeśli wziąść po Sybilii, tam wszystko tak samo jak o, robi się, tak i wszystko idzie. [...] Wszystko spełnia się, ot, po Sybilii wziąść. Jak tam będą [...] primierno, pustki wyrabiać, jak będą te, o, kałchozy – to wszystko, o... A, mówi, chleb jak był drogi, to i będzie drogi. O – widzicie...

Będą kasować miedze, pustki wyrabiać, ale chleb, jak był drogi, to i będzie drogi... [B93Pap.AW/Engel].

...było napisane, że przed końcem świata będą poruszone wszystkie kamienie – proszę, jak przyszła technika, jak przyszło wszystko, kamienie z pola powybierali, wszystkie, kamienie powyciągali, gdzie jakie byli założone, wielkie jakieś, wały takie wszystkie powyciągali. Mówiła Sybilia, że będzie chlieb, że będą w butach chodzić po chliebie, a ludzi będą głodne [...]. Prawda... Te podstawki, te kontygenty, jak my mówim, te, no, zboże nam nałożywszy byli na każdego gospodarza, jeszcze do kołchozu trzeba trzydzieści, pieńdziesiąt pudy zawieźć do rządu. Tam wiozą [...] w Lidzie, wiozą, tam stosy tego zboża, narzucane; w butach tam takich chodzą po tym, a my chlieba nie mieli. No to, to była prawda. [...] I to wszystko, co Sybilia... lasy będą wszystkie wycięte, prawda; przecież mieliśmy swoje lasy, po wojnie, budowali te radia, przeprowadzali te, te, wszystko po tych, słupy te wszystkie, to wszystkie byli lasy, to już nowe wyrośli, wszystkie lasy byli wycięte [B97Czesz. HG/OLin].

Według Ludwika Stommy jedna z reguł, rządząca izolacją świadomościową zaliczaną do podstawowych determinant kultury ludowej – brzmi: „jest tak, jak ma być". Otóż właśnie – kołchozy są, bo miały być. Ich mieszkańcy żyją w świecie spełnionego proroctwa Sybilli. To kolejny aspekt „fenomenu akceptacji": zgoda na rzeczywistość, płynąca z przyjęcia mitycznego uzasadnienia porządku świata. Takim uzasadnieniem jest poddanie się woli boskiej, każące postrzegać świat przez pryzmat spełniających się proroctw.

Przejdźmy teraz od mitycznej nieświadomości do realiów życia i przyjrzyjmy się jeszcze innej możliwości odpowiedzi na pytanie, dlaczego kołchoz musi być. Na możliwość tę wskazuje swoista symbioza kołchozu i kołchoźników – rozbudowany system wzajemnych świadczeń i zależności, prowadzący niejednokrotnie do zacierania granicy między tym, co „ludzkie" i tym, co „kołchoźne". Kolejny kołchozowy refren brzmi: „Kołchoz nam pomoże, my pomożemy kołchozowi", lub odwrotnie: „My pomożemy kołchozowi, kołchoz pomoże nam". Kołchoz organizuje i ogarnia całość życia kołchoźników. Daje pracę, daje mieszkanie („kwatery kołchozowe")

i wyżywienie dla pracowników (posiłki w „stołowej" lub dowożone na pola). Daje transport („kołchozny autobus" bywa często jedynym środkiem transportu i, o ile ma paliwo, nie ogranicza się do rozwożenia pracowników); dostarcza niedostępnych na rynku towarów (ziarno, mąka, cukier); doprowadza gaz, buduje drogi i „kłuby". Własność „ludzka" może stać się kołchozową i na odwrót: można kołchozowi sprzedać swoją krowę i można krowę od niego kupić, a podczas organizowania kołchozów zdarzało się nawet, że można było odzyskać swoją stodołę, zabraną przez kołchoz, jeżeli oddało mu się swoją krowę. Kołchoźne krowy są obrządzane i wypasane przez kołchoźników, zatrudnionych na „ fiermie", krowy „ludzkie" pasą wszystkie kołchoźnicze rodziny po kolei – kolejka nie omija żadnego właściciela krowy, z „predsiedacielem kołchozu" włącznie. Kiedy krowy kołchozowe chorują – wioskowa szeptunka dojeżdża na fiermę, zamawiać im choroby. Kołchozowe konie pracownicy fiermy trzymają we własnych stajniach – ten sam koń pracuje dla kołchozu i dla ludzi. Wszyscy obrabiają kołchozowe buraki w zamian za kołchozowe siano dla swoich krów (praca przy burakach jest obowiązkowa, w przeciwnym wypadku nie ma szansy na siano) i od początku istnienia kołchozów podkradają kołchozową własność (nagminne jest wynoszenie kołchozowego ziarna dla siebie), z deklarowanym wprost przekonaniem, że to nie grzech. Więcej: kołchozowa „maszyna" (ciężarówka) pełni rolę karawanu na każdym wiejskim pogrzebie; „maszyny" kołchozowe odwożą wycieczki ministrantów do polskiej granicy i zwożą budulec na stawiany przez przedsiębiorczego proboszcza mur cmentarny; kołchoz sadzi księdzu kartofle (*Niekaliści księdzy mieli ziemliu. [...] I krowy [ksiądz] swoi imieł i koni, wsio. Teraz użo nie ma. Tylko kałchoz bulwu pasadził księdzu tam, paru sotek, kab użo nie umier* [B94Lel.NM/Straczuk]); dyrektor sowchozu daje deski na odbudowę kaplicy i blachę na dach cerkwi, a także sowchozowe mieszkanie batiuszce i jego rodzinie, zaś podczas dożynek w kościele predsiedaciel kołchozu siedzi w pierwszej ławce, a predsiedaciel sielsowietu podaje księdzu *bułkę chleba na białym ręczniczku: Bułka chleba na białym ręczniczku podawał predsiedaciel sielsowietu Jodka. Predsiedaciel kałchoza Saładziński i Bludnik z rajispałkomu [poprzedni*

predsiedaciel kołchozu] siedzieli w pierwszej ławce. Oni wszystko Polaki [B98Pap.SK/Engel].

Kołchozowa symbioza obejmuje, jak widać, nie tylko ludzi i kołchoz, lecz także sielsowiet (czyli gminę) i kościół. Pan, wójt i pleban w komplecie. Ten fenomen długiego trwania modelu feudalnego nie może nie przyciągnąć uwagi badacza terenowego – zwłaszcza że, podobnie jak XIX-wieczni etnografowie byli gośćmi dworów, współczesny etnograf na Białorusi jest najczęściej – o ile nie mieszka u zaprzyjaźnionych kołchoźników – gościem kołchozu (czasami także plebanii lub szkoły): to predsiedaciel kołchozu daje badaczom kwaterę i transport, częstuje obiadami, a czasem zaprasza na wódkę i zwierza się: *Ciażka żywiecsa krasnomu pamieszczyku.*

Bo coraz trudniej zarządzać kołchozem w dobie narastającego kryzysu. Bo władze kołchozu, podobnie jak kołchoźnicy, są przekonane, że: *Jak rozpadnie się kołchoz, to najbardziej będą cierpieć ludzie. Odbije się przede wszystkim na ludziach. Człowiekowi samemu źle. Człowiekowi samemu gorzej niż w kołchozie. Człowiekowi w kołchozie lepiej* [B98Nacz.AK/Engel].

Chociaż wydaje się, że dopóki prezydentem Białorusi jest predsiedaciel kałchozu Łukaszenka, kołchozom nic nie zagraża: *[Łukaszenka] – on ob ludzi stara się, żeby żyli. Żeby nie Łukaszenka, to, wie panienka, tutaj i [..] kałchozy rozpędzilib, i tego, i tołku nie byłob, i ziemia nie byłab orana, i byłab głodówka. A tak i kołchozy, i dajo, i pościelo, położo, wszystko zrobione. Na Litwie nie ma kołchozów i tołku nie ma* [B98Gin.PD/Engel].

4. Zakończenie

Moje uwagi miały być przyczynkiem do portretu polaka – kołchoźnika. Zarys portretu kołchoźnika być może się z nich wyłania – ale gdzie portret polaka?

Na pewno należałoby odmalować na nim takie zjawiska, jak: katolickość naszych rozmówców („polska wiara", nieodłącznie związana z polskim językiem modlitwy), fakt zapisu w dokumentach „nacjonalności" polskiej („pisać się Pola-

kiem"), wreszcie polski język rozmowy z gościem – etnografem (chociaż nie jest to wyłącznie ich cecha; po polsku mówią wszyscy mieszkańcy Grodzieńszczyzny, którzy pamiętają polski z przedwojennej szkoły czy wojska). Czy coś jeszcze?

Wydaje się, że bycie polakiem jest tylko jednym z aspektów bycia kołchoźnikiem; że w istocie rzeczy mamy do czynienia z kołchoźnikiem – polakiem, a nie odwrotnie. Jego sąsiadem na pograniczu jest przecież kołchoźnik – białorus. Jeden i drugi to przede wszystkim człowiek tutejszy i mużyk – kołchoźnik, i te cechy o wiele bardziej ich łączą, niż różnice wyznaniowe dzielą. I katolicy, i prawosławni na Grodzieńszczyźnie należą do społeczności, której *przychodzi sie żyć na miejscu przy każdej własti. [...] Przy Poljakach, i przy Niemcach, i przy Sowietach, oni wszystko żyjo na miejscu. Razem i Polacy, i Biełarusy, uoni tam [...] pomieszane i żyjo* [B97Dyl.BS/Just].

Badaczom terenowym często się zdarza, że kiedy zadają pytanie o różnice, np.: *czy prawosławni i katolicy różnią się czymś tutaj na Białorusi?*, w odpowiedzi słyszą o podobieństwach: *Nie, nie, to samo, tylko po wierze, tak nie, to samo. Taki sam kołchoz, takie same życie* [B94Pap.MS/Kolas]. Albo: *Już teraz zrewnowało się. [...] dużo jest Biełorusow i, o, Ruskich, no to my rozmawiamy po biełarusku z nimi i my tak jak brat z siostrą. Wot i tak i my z nimi, z Ruskimi, z Biełarusami, wszystkie jednakowo żyjem dobrze [...]. Wszystko poszło w jedno* [B97Mac.WR/DorKo].

Dla badaczy Polaków na Białorusi ważna jest – o czym mówiłam na wstępie – świadomość, że większość tych Polaków to kołchoźnicy. A jeżeli już badamy kołchoźników, warto zdać sobie sprawę, że kategoria „kołchoźnik" jest szersza niż „katolik", czy „prawosławny": że kołchoźnikiem jest zarówno „katolik – polak", , jak i „prawosławny – białorus". Badanie mieszkających w grodzieńskich wioskach katolików, nazywanych „Polakami", w izolacji od prawosławnych, nazywanych „Ruskimi" lub „Białorusami" to wyjęcie przedmiotu badań z właściwego mu kontekstu, dające w efekcie nieuniknione nadinterpretacje i półprawdy.

Anna ENGELKING

Radio Maryja zamiast „Słowa"

Zapytany przez Redaktora Giedroycia na temat przyczyn likwidacji kwartalnika *Słowo* zwróciłem się do Andrzeja Szulczyńskiego, który stwierdził, że likwidacja nastąpiła na zarządzenie nowego proboszcza Polskiej Misji Katolickiej w Berlinie księdza Jacka Pajewskiego. Proboszcz Pajewski, który objął to stanowisko we wrześniu ubiegłego roku, „nie zgodził się na kontynuowanie pisma, gdyż nie odpowiadało mu otwarte przesłanie i charakter tekstów" – twierdzi Andrzej Szulczyński, dodając, że na łamach *Słowa* publikowali także biskupi Pieronek i Muszyński. W rozmowach na temat możliwości dalszego wydawania pisma nie pomogły, jak twierdzi Szulczyński, ani jego argumenty, ani propozycje ewentualnych zmian profilu pisma w kierunku „bardziej kościelnym".

Należy zaznaczyć, że *Słowo* było w całości finansowane przez berlińską Kurię Arcybiskupią, która dotowała je sumą 13.000-14.000 marek rocznie, a dalsze 2-3 tys. marek przeznaczała na działalność galerii artystycznej istniejącej przy KIK-u w „polskim kościele" w dzielnicy Tempelhof. Także ona została zlikwidowana na skutek decyzji proboszcza Pajewskiego, a jak twierdzi Andrzej Szulczyński, galeria stanowiła podstawę działalności berlińskiego KIK-u. Spotykali się w niej polscy artyści z kraju i emigracji, odbywały się tam wernisaże i wieczory autorskie. Galerią kierowała znana nie tylko w Berlinie plastyczka Helena Bohle-Szacka. Z inicjatywy księdza Pajewskiego przy Polskiej Misji Katolickiej w Berlinie założono natomiast Koło Przyjaciół Radia Maryja.

Ksiądz Marek Wyszomierski z kościoła, w którym proboszczem jest Jacek Pajewski, niechętnie przystał na rozmowę na temat likwidacji *Słowa*. W końcu jednak dał się nakłonić i powiedział, że kwartalnik był pismem, „które od początku do końca nie odpowiadało potrzebom duszpasterstwa w Berlinie. Nie było też pismem dla katolików w Berlinie i nikt go nie znał". Zapytany przeze mnie, co było w nim najbardziej nie do przyjęcia i czy w miejsce *Słowa* planowane jest utworzenie nowego periodyku, Marek Wyszomierski odparł, iż „nie było to pismo religijne" i że „w najbliższym czasie ma powstać pismo o charakterze religijnym", które ma być finansowane z tych

samych środków co *Słowo,* a wydawać ma je „rada parafialna". Przyznał jednak, że nie było jeszcze rozmów na ten temat z Kurią Arcybiskupią, jakkolwiek „jest przekonany, iż kuria pozostawi dotychczasowe środki na wydawnictwo". Na pytanie, co stanie się z Galerią KIK-u, Marek Wyszomierski odparł, iż nie wie.

Niezależnie od tego, jakie są prawdziwe przyczyny i podłoże decyzji proboszcza Jacka Pajewskiego, można stwierdzić, że likwidacja najdłużej działającego w Niemczech kwartalnika polskiego oraz Galerii KIK-u oznaczać będzie stratę na polskojęzycznym rynku wydawniczym w Niemczech oraz forum kontaktów artystycznych i polonijnych w czasie, kiedy organizacje polonijne w Niemczech bezskutecznie zabiegają o jakiekolwiek dotacje na swą działalność, w tym także na wydawanie własnych publikacji. Można mieć natomiast duże wątpliwości, czy Koło Przyjaciół Radia Maryja (w Berlinie!) zdoła zastąpić Galerię KIK-u, a pismo parafialne kwartalnik *Słowo.*

Andrzej STACH

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

– Literatura piękna i fachowa,

– Albumy, plakaty, pamiątki,

– Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Sąsiedzi

Kronika niemiecka

GOSPODARKA I SPRAWY SOCJALNE: Według specjalistów niemieckich, Rosja wydaje 8 miliardów dolarów na zakup płodów rolnych za granicą. ■ Spośród 690.000 osób bez stałego miejsca zamieszkania w Niemczech 35.000 osób śpi pod gołym niebem. ■ Ponad 1,5 miliona cudzoziemców utrzymuje się w Niemczech z renty. Oznacza to podwojenie się tej liczby od roku 1992. ■ Połowę zarobków brutto pracodawcy niemieccy przeznaczają na różnego rodzaju ubezpieczenia socjalne, rentowe, zdrowotne oraz podatki. ■ W styczniu 1999 roku 74% gospodarstw domowych posiadało co najmniej jeden samochód, 66% video, 45% komputer osobisty, 11% dostęp do internetu. Telefon posiadało 99% a telewizor 96%. ■ W roku 1999 w RFN działało 490.000 gospodarstw rolnych lub leśnych. Zatrudnionych w rolnictwie 465.000 osób w pełnym lub częściowym wymiarze godzin gospodarowało na 17,1 mln. ha, z czego 11,8 mln. ha przypadało na pola uprawne. Ponad 95% (440.000) gospodarstw rolnych to gospodarstwa rodzinne, na które przypadało 70% uprawianej powierzchni rolnej. Niemal 1/3 powierzchni uprawnej była wydzierżawiona. 43% wszystkich prywatnych gospodarstw rolnych stanowiło główne źródło utrzymania. ■ Bezrobocie wśród cudzoziemców w Niemczech jest niemal dwa razy większe niż przeciętny wskaźnik bezrobocia w ogóle. ■ Zdaniem Jürgena Hubbera, członka zarządu koncernu Daimlera-Chryslera, ze wszystkich istniejących obecnie producentów samochodów przetrwać na dłuższą metę zdoła tylko siedmiu lub ośmiu niezależnych producentów. Hubbert zaliczył do nich koncerny General Motors, Ford, Daimler-Chrysler, Volkswagen, Toyota i Renault-Nissan. ■ POLITYKA: Za swą „współdecydującą rolę w zjednoczeniu Niemiec" Michaił Gorbaczow otrzymał z rąk prezydenta Niemiec Johannesa Raua najwyższy niemiecki order przyznawany głowom państw. ■

Związek pracowników Bundeswehry wyraził protest przeciwko nierównym zarobkom zawodowych żołnierzy w starych i nowych landach. Ci ostatni otrzymują wciąż jeszcze tylko 86,5% sumy, przysługującej żołnierzom na terenie landów zachodnich. ■ W połowie stycznia br. Federalny Sąd Administracyjny orzekł, iż różnica w zarobkach pracowników państwowych w starych i nowych landach jest uzasadniona ze względu na różnice w stosunkach gospodarczych i finansowych landów wschodnich i zachodnich. ■ Ponad 57% ankietowanych Niemców (w nowych landach aż 71%) uważa przeniesienie stolicy z Bonn do Berlina za udane. W roku 1993 przeciwko tej decyzji wypowiedziało się 57% ankietowanych. ■ Gremium naukowe organizatorów kontrowersyjnej wystawy na temat przestępstw popełnionych przez żołnierzy Wehrmachtu w czasie II wojny światowej powołało nowych doradców. Do rozmów na temat doboru archiwalnych zdjęć i adekwatnych opisów przedstawianych na nich wydarzeń zostanie zaproszony też w roli konsultanta pochodzący z Polski historyk niemiecki Grzegorz Musiał, który udowodnił niezgodność niektórych podpisów pod zdjęciami z ukazanymi na nich scenami ekshumacji zwłok. Musiał wykazał m.in., że na kilku zdjęciach ukazane są nie ofiary Wehrmachtu, lecz ciała ofiar zabitych przez Sowietów jak też Żydów zamordowanych przez nacjonalistów ukraińskich. Po jego interwencjach, które naraziły go na poniesienie kosztów procesu wytoczonego przeciw niemu przez organizatorów wystawy, ekspozycja została czasowo zamknięta. ■ Na dwa lata więzienia bez zawieszenia Sąd Administracyjny w Grevesmühlen (Meklemburgia-Przedpomorze) skazał skrajnie prawicowego ekstremistę Manfreda Roedera za oficjalne negowanie masowego mordu popełnionego na Żydach w III Rzeszy. ■ Niemiecka Służba Ochrony Konstytucji wyraziła zaniepokojenie faktem, iż w coraz większym stopniu ekstremiści skrajnie prawicowi korzystają z internetu. Liczba stron internetowych (*homepage*) tych ugrupowań wzrosła z 30 w roku 1996 do 320 obecnie. Dochodzi do tego 1400 tego rodzaju stron z ponad 30 krajów na całym świecie. Można na nich znaleźć m.in. zarówno instrukcje budowy ładunków wybuchowych, ale i nawoływania do przemocy wobec przeciwników politycznych lub ich likwidacji. ■ Niemieckie grupy neonazistowskie prowadzą i publikują listy, na których znajdują się m.in. obserwowani przez nich policjanci, prokuratorzy, sędziowie i dziennikarze, którzy mogą być celem zamachów. ■ Wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego Niemiecka Służba Ochrony Konstytucji ma prawo obserwować

skrajnie prawicową partię „Republikanów" metodami służb wywiadowczych, zachowując jednak „adekwatność środków". ■ Partia wschodnioniemieckich postkomunistów PDS w swoim „programie zasadniczym" przyznała oficjalnie, że NRD systematycznie naruszała prawa człowieka i popełniała także przestępstwa, a demokrację pluralistyczną PDS uznała za „niezbywalną zdobycz cywilizacji". ■ W przyszłości Izrael będzie obchodził dzień 9 Maja jako narodowe święto na cześć zwycięstwa aliantów nad nazistowskimi Niemcami. W tym roku święto będzie obchodzone po raz pierwszy. ■ Na stanowisko pełnomocnika rządu ds. badania akt byłej bezpieki enerdowskiej Joachima Gaucka, od którego nazwiska pochodzi nazwa tego urzędu, wybrana została była rzeczniczka prasowa partii Zielonych i działaczka na rzecz praw obywatelskich w NRD Marianne Birthler. Joachim Gauck opuszcza to stanowisko w październiku br. ■ Z ankiety przeprowadzonej przez Akademię Nauk i agencję Sofres-Faktum w Pradze wynika, że w trzy lata po podpisaniu Niemiecko-Czeskiego Układu na Rzecz Pojednania większość Czechów wyraża znaczną rezerwę wobec „dużego sąsiada niemieckiego". Ponad 60% Czechów jest mianowicie zdania, iż Czesi muszą zachować „stałą ostrożność" w kontaktach z Niemcami. ■ 27 stycznia br. w Narodowym Dniu Pamięci Ofiar Nazizmu z udziałem najwyższych władz RFN położono kamień węgielny pod pomnikiem ofiar Holocaustu w Berlinie. Wzięcia udziału w uroczystości odmówił nadburmistrz Berlina Eberhard Diepgen, który, jak większość ankietowanych Niemców, wyraża sprzeciw wobec „monstrualnych wymiarów" projektu zaplanowanego w bezpośrednim sąsiedztwie Bramy Brandenburskiej. ■ Z prawnymi zastrzeżeniami berlińskiego pełnomocnika ds. ochrony danych osobistych spotkało się opublikowanie na stronach internetu listy zawierającej 100.000 nazwisk współpracowników enerdowskiej bezpieki przez „internetową kafejkę" „Haitäck". Zainteresowanie listą przekroczyło wszelkie oczekiwania inicjatora pomysłu, który po zdjęciu jej z internetu stwierdził, że wszystkie łącza były stale zajęte. ■ W czasie swej służby w szeregach KGB na terenie NRD, urzędujący obecnie prezydent Rosji Władimir Putin otrzymał od szefa enerdowskiej bezpieki Ericha Mielke w roku 1988 brązowy Order Zasługi. Władający płynnie językiem niemieckim Putin w latach 70-tych przebywał oficjalnie jako pracownik Agencji TASS w Niemczech Zachodnich, kierując szpiegami sowieckimi na terenie Austrii i RFN. Zmuszony do opuszczenia Niemiec Zachodnich, wrócił czasowo do ZSSR, po czym w latach 80-tych wysłano go do

NRD, gdzie z terenu Drezna zajmował się wywiadem przeciwko RFN, werbując m.in. do współpracy z KGB wyjeżdżających na Zachód naukowców enerdowskich. ■ Na początku stycznia br. w Niemczech ożyła kontrowersyjna dyskusja na temat zamiaru SPD, dotyczącego bezpłatnego wydawania na wzór francuski uczennicom w szkołach pigułki antyciążowej (tzw. „pigułki następnego dnia"). Dotychczas wydawana jest ona tylko na receptę. ■ Wyrokiem Trybunału Europejskiego w Niemczech kobietom wolno służyć w formacjach bojowych Bundeswehry. Wśród ogółem 500.000 zatrudnionych przez armię niemiecką pracowników już obecnie około 33% stanowią kobiety, które zatrudnione są w sektorach administracyjnych, pomocniczych, lecznictwie itp. ■ Zdaniem ekspertów ONZ Niemcy potrzebują rocznego napływu 500.000 imigrantów jako środka przeciwko starzeniu się społeczeństwa. Ocena ta spotkała się w Niemczech ze zgodnym sprzeciwem lub rezerwą zdecydowanej większości polityków różnych formacji. ■ Były kanclerz Niemiec Helmut Kohl otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego za swą rolę w integracji Europy i zbliżenie między Niemcami i Polakami. ■ Na prezydenta Centralnej Rady Żydów w Niemczech wybrano przedsiębiorcę z Düsseldorfu Paula Spiegla, który przejął to stanowisko po zmarłym kilka miesięcy temu Ignatzu Bubisie. Za swe najważniejsze zadanie w najbliższym czasie Spiegel uznał integrację przybyłych do Niemiec Żydów z byłych republik sowieckich. Ich przyjazd przyczynił się do niemal potrojenia liczby Żydów w RFN i zmiany proporcji w gminach żydowskich. Obecnie liczą one ponad 80.000 członków, podczas kiedy pod koniec lat 80-tych było ich ok. 30.000. ■ Po raz pierwszy jeden z sądów Szwajcarii przychylił się do opinii byłego uciekiniera żydowskiego, który w 1943 został przez szwajcarską policję schwytany i wydalony do nazistowskich Niemiec, i przyznał mu odszkodowanie w wysokości 100.000 franków (120.000 marek niemieckich). ■ W roku 1998 obywatelstwo niemieckie otrzymało 106.790 osób, z tego 26.004 zgodnie z przepisami o nabywaniu obywatelstwa przez cudzoziemców, reszta to małżonkowie obywateli niemieckich, przesiedleńcy i osoby powołujące się na swe niemieckie pochodzenie lub ich małżonkowie. ■ KULTURA I POLONICA: Od 10 listopada do 2 grudnia ub.r. w pomieszczeniach firmy Debis należącej do koncernu Daimler-Chrysler w Berlinie miała miejsce przekrojowa ekspozycja pt. „Bramy wolności – od 'Solidarności' do ponownego zjednoczenia Niemiec". Na jej otwarciu obecni byli m.in. kanclerz Niemiec Gerhard Schröder,

premier Jerzy Buzek i ambasador RP w Niemczech Andrzej Byrt. Wystawa zawierała m.in. liczne zdjęcia, dokumenty i świadectwa na temat działalności polskiego podziemia jak też wydawnictwa bezdebitowe oraz emigracyjne z okresu ostatnich 20 lat panowania dyktatury komunistycznej w Polsce. ■ Przyznawaną co dwa lata nagrodę „Brücke-Preis" miasta Görlitz (niemieckiej części Zgorzelca) otrzymała w listopadzie ubiegłego roku hrabina Freya von Moltke, żona zamordowanego za współudział w zamachu na Hitlera Helmutha Jamesa von Moltke. Laudację wygłosił Władysław Bartoszewski, który podkreślił wkład nagrodzonej w budowę mostów porozumienia między Niemcami i Polakami. ■ Laureatami tegorocznej Nagrody Śląska (Schlesienpreis) landu Dolnej Saksonii zostali dyrygent Christoph Eschenbach (nagroda główna), historyk prof. Norbert Conrads, reżyser i pisarz Jan Jakub Kolski oraz malarka Krzesława Maliszewska (nagrody drugiego stopnia). W tym roku nagrody mają zostać wręczone 18 marca we Wrocławiu. ■ We Frankfurcie nad Menem zorganizowana została po raz pierwszy wystawa rysunków z getta warszawskiego autorstwa Teofili Reich-Ranickiej (żony krytyka literackiego Marcela Reicha-Ranickiego). Pochodząca z Polski żydowska autorka chciała studiować malarstwo we Francji, co uniemożliwiła II wojna światowa, w czasie której trafiła do getta. Rysunki opatrzone tytułami polskimi i niemieckimi ukazują martyrologię Żydów w Getcie i przetrwały wojnę poza jego murami, po czym wróciły do autorki. Wystawa spotkała się z pozytywnym oddźwiękiem w prasie niemieckiej. Z okazji ekspozycji został wydany katalog zawierający reprodukcje wystawianych prac, krytyczną recenzję pióra Salomona Korna oraz fragmenty autobiografii Marcela Reicha-Ranickiego. ■ Autobiografia „Mein Leben" (Moje życie) Marcela Reicha-Ranickiego osiągnęła nakład 460.000 sprzedanych egzemplarzy. Reich-Ranicki powiedział w rozmowie dla „Kroniki niemieckiej", że przygotowywane jest polskie tłumaczenie, które ze względu na konieczny pośpiech powierzono dwóm polskim tłumaczom. ■ Ubiegłoroczny laureat Pokojowej Nagrody Księgarzy Niemieckich Fritz Stern został pierwszym profesorem Fundacji im. Gutenberga w Moguncji (Mainz). W maju br. wygłosi on 5 wykładów na temat „Brutalizacji Europy w XX wieku", a w czerwcu na temat „Narodowy socjalizm jako pokusa". ■ Salman Rushdie otrzymał honorowy doktorat Wolnego Uniwersytetu w Berlinie (Freie Universität Berlin). ■ Roman Polański zamierza wystawić 31 marca br. w Stuttgarcie music-hall oparty na swym filmie „Taniec wampirów". Już od

dwóch lat music-hall święci sukcesy w Wiedniu. ■ Za swój „europejski wkład do kina światowego" Roman Polański oraz Antonio Banderas otrzymali w czasie Europejskiego Festiwalu Filmowego w Berlinie nagrody specjalne. W wywiadzie dla berlińskiej gazety *Der Tagesspiegel* Polański powiedział, że nie czuje się Polakiem, a raczej Francuzem. Na pytanie, w jakim języku czyta najchętniej, reżyser odparł, że w angielskim i francuskim, jednak wiersze pisałby po polsku. ■ Lipską Nagrodę Literacką Porozumienia Europejskiego (Leipziger Buchpreis zur Europäischen Verständigung) połączoną z honorarium w wysokości 20.000 marek otrzyma 26 marca w czasie Międzynarodowych Targów Książki w Lipsku polska autorka Hanna Krall. ■ Laureat ubiegłorocznej literackiej Nagrody Nobla, Günter Grass powiedział w Sztokholmie na trzy dni przed jej odebraniem, że „powojenną literaturę niemiecką cechowało dążenie do tego, aby Oświęcim pojmować jako cezurę i niezaleczalne pęknięcie historii cywilizacji. Tylko w ten sposób można było kontynuować pisanie wierszy czy prozy." ■ Niemcy używają na co dzień tylko od 3 do 4% ogółu słów niemieckich. Prywatny słownik przeciętnego Niemca zawiera od 12.000 do 16.000 słów, z tego 4.000 to słowa obce. Całe słownictwo niemieckie zawiera od 300.000 do 400.000 słów. ■ Bogato prezentują się programy Polskich Instytutów Kultury w Berlinie, Lipsku i Düsseldorfie. Berliński PIK na początek roku przygotował szereg ekspozycji malarskich, seansów filmowych, koncertów oraz dwa wieczory autorskie w ramach Klubu Żyjących Poetów: jeden z udziałem Henryka Bereski i drugi z Olgą Tokarczuk. Poprzednim gościem Klubu był tłumacz, krytyk literacki, historyk i eseista Zygmunt Kubiak. ■ Rosyjska reżyserka Kira Muratowa została w tym roku laureatką nagrody filmowej im. Andrzeja Wajdy „Andrzej Wajda – Filmpreis" za swe „bezprzykładne zaangażowanie na rzecz wolności i demokracji". Przyznanie nagrody zaplanowano na 13 lutego br. w Berlinie. Inicjatorem pomysłu stworzenia tej nagrody był Polski Instytut Kultury w Berlinie oraz American Cinema Foundation. ■ Odkryte w 1997 roku w Bremie mozaiki florenckie z legendarnej „bursztynowej komnaty" decyzją Senatu tego miasta zostaną zwrócone Rosji. Do Bremy trafi natomiast z powrotem znajdujących się w Rosji 101 arkuszy z grafikami należącymi przed wojną do bremeńskiej „Kunsthalle". ■ Minister kultury Niemiec Michael Naumann pragnie jak najszybciej przekształcić projekt niemieckiego PEN-Clubu „Writers in Exile", zajmujący się pomocą dla prześladowanych autorów, którzy znaleźli azyl w Niemczech, w fundację

federalną. Obecnie rząd federalny wspiera projekt sumą 300.000 marek rocznie. Planowane jest podniesienie kwoty do 700.000 marek. ■ 13 stycznia br. zmarł w Berlinie naczelny kantor berlińskiej Gminy Żydowskiej Estrongo Nachama. Urodzony w 1918 roku w Salonikach Nachama został wraz z rodziną wywieziony w roku 1943 z Grecji do obozu w Oświęcimiu, gdzie przeżył tylko on, śpiewając na polecenie zarządu obozu. Po wojnie Nachama zdobył sławę w Niemczech, występując nie tylko w synagogach, ale i kościołach chrześcijańskich oraz podczas licznych oficjalnych uroczystości. Jego syn Andreas Nachama jest obecnie przewodniczącym Gminy Żydowskiej w Berlinie. ■ Jako swego rodzaju artystyczne zadośćuczynienie losu byłego robotnika przymusowego w III Rzeszy, odbyła się w Halberstadt (Saksonia-Anhalt) retrospektywna wystawa prac malarskich żyjącego we Francji Mariana Barcikowskiego, który wraz z rodziną został w 1944 r. deportowany na roboty do Niemiec i wraz z bratem Władysławem, który stracił tam życie na dwa tygodnie przed wyzwoleniem, pracował w obozie Langenstein-Zwieberge koło Halberstadt. Wystawa była zorganizowana ku pamięci Władysława Barcikowskiego. ■ Z okazji 100. rocznicy urodzin Kurta Weilla w miastach Dessau, Bernburg, Bitterfeld i Wolfen zaplanowano ogółem 33 różne imprezy, w tym koncerty i wystawy poświęcone postaci kompozytora. ■ Berliński Uniwersytet im. Humboldta zorganizował w styczniu br. sympozjum poświęcone „Aktowi Gnieźnieńskiemu", w którym Cesarz Otton III uznał samodzielność słowiańskich obszarów nazywanych od tego momentu Polską, wyłączenie ich z terenów misyjnych Kościoła niemieckiego i zrezygnował z dalszej ekspansji w kierunku wschodnim, a Bolesława Chrobrego uznał za brata i przyjaciela ludu i imperium rzymskiego. W sympozjum wzięli udział m.in. ambasador Polski w Niemczech Andrzej Byrt, nadburmistrz Berlina Eberhard Diepgen, prof. Jerzy Wyrozumski z Krakowa i prof. Henryk Samsonowicz z Warszawy. ■ Za najbardziej naganne słowo (*Unwort*) w języku niemieckim roku ubiegłego, jury składające się z czterech naukowców i dwóch dziennikarzy uznało „Kollaterschaden" (szkody, straty „kolateralne"), oznaczające – a zdaniem jury „kamuflujące" – śmierć wielu niewinnych cywilów z powodu nalotów NATO podczas wojny w Kosowie. Za „*Unwort* XX wieku" jury uznało słowo „Menschenmaterial" (materiał ludzki). ■ 30 stycznia z pięciodniową wizytą roboczą udała się do Polski czteroosobowa delegacja frakcji parlamentarnej SPD w Bundestagu. W programie pobytu znalazły się wizyty w miejscach masowej zagłady

w Oświęcimiu i Majdanku, rozmowy z przedstawicielami instytucji, władz i organizacji opiekujących się zachowaniem dla potomnych materialnych świadectw ludobójstwa i zbrodni hitlerowskich na temat możliwości pogłębienia współpracy niemiecko-polskiej w tym zakresie. Jedną z najważniejszych kwestii rozmów w Krakowie i Warszawie miała być współpraca kulturalna oraz kwestia zwrotu dóbr kultury. W wywiadzie dla *Deutsche Welle* członkini delegacji Angelika Krüger-Leißner powiedziała m.in., że chciałaby skorzystać z polskich doświadczeń przy tworzeniu międzynarodowego centrum spotkań w byłym obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, „który jest dla Polaków tym, czym dla Żydów Oświęcim" oraz że z polskimi fachowcami chce rozmawiać o tym, „jak kształtować pracę w miejscach pamięci, by odpowiadać potrzebom młodych ludzi, gdyż sądzę, że również oni stoją przed pytaniem, jak obchodzić się z wiedzą na temat tych strasznych wydarzeń w ponad 50 lat później, i jak przybliżyć ją młodej generacji". ■ Nowym przewodniczącym organizacji Serbów Dolnołużyckich Domovina-Niederlausitz został wybrany Fritz Liebo, który za najważniejsze zadanie uznał polepszenie znajomości i zwiększenie stosowania języka tej mniejszości narodowej.

Andrzej STACH

POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA
Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater
Tel. i fax: (1) 52 63 114
Konta pocztowe
Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556
Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.
Bezpłatne katalogi na żądanie.

Kronika kulturalna

Emigracja i kultura polska w świecie

Publikacja Głównego Urzędu Statystycznego „Zasoby kultury polskiej w świecie"[1], jest pożytecznym wkładem do studiów polonijnych. Pierwszy zeszyt, poświęcony Polonii w krajach Europy Zachodniej wykazuje zarówno zalety i braki tych opracowań.

Najtrudniejszym zagadnieniem w studiach polonijnych jest definicja „Polonii". O ile definicje obywatelstwa, miejsca zamieszkania i *domicilium* są określone przez prawo, to określenie „narodowości", z natury rzeczy, zawiera elementy subiektywne. GUS definiuje „narodowość" jako „przynależność do danego narodu lub oznaczenie wspólnoty etniczno-kulturowej; poczucie tej przynależności". Oczywiście „przynależność" i „poczucie tej przynależności" jest czymś czysto subiektywnym i, w wielu wypadkach, zależy od okoliczności. Przebywając od wielu lat na emigracji, poznałem wypadki dzieci rodzin polskich i małżeństw mieszanych, których stosunki do Polski i swojego pochodzenia różnią się skrajnie, od silnego poczucia polskości do całkowitej obojętności, przez wiele stanów przejściowych. Powiedzenie, że dana jednostka należy do społeczności polskiej o ile czuje się z nią związana, może być definicją słuszną, ale nie jest pożyteczną dla większości badań statystycznych. Teoretycznie, dobrze zorganizowana ankieta mogłaby rzucić światło na poczucie przynależności do polskiej „wspólnoty kulturowo-etnicznej", ale moż-

1. Główny Urząd Statystyczny, „Zasoby kultury polskiej w świecie"; Zeszyt: „Europa Zachodnia", Warszawa, 1999.

liwość przeprowadzenia takiej ankiety jest wątpliwa. Zatem jesteśmy skazani na używanie różnych wskaźników pośrednich, teoretycznie mniej zadowalających i zwykle różniących się między krajami. Wskaźnikami zwykle, ale nie zawsze, dostępnymi są: obywatelstwo, miejsce albo kraj urodzenia, język macierzysty i, w bardzo małej ilości krajów, zbierane są też statystyki narodowościowe i małżeństw mieszanych.

Byłoby wskazane, aby wyżej wspomniane problemy były jasno zaznaczone w publikacji GUS-u. Niestety tak nie jest. W statystykach odnoszących się do pewnych krajów definicja „Polaków" jest podana, ale w wielu wypadkach brakuje zarówno definicji jak i źródła danych. Przykładem trudności w interpretowaniu danych jest statystyka Polaków w Finlandii: w latach 1980 i 1989 ilość Polaków liczona była według obywatelstwa, w 1985 według „języka ojczystego". Gorzej przedstawia się sytuacja we Francji: tablica na stronie 36. „Polacy w zbiorowości cudzoziemców w latach 1851-1990" podaje na rok 1990 liczbę Polaków 47.127, na następnej stronie podaje informacje, że „w okręgu konsularnym w Paryżu Polonia liczy około 250 do 300 tys. osób. Są to osoby posiadające podwójne obywatelstwo oraz osoby, które posiadają tylko obywatelstwo francuskie, ale są pochodzenia polskiego... Obecnie Kongres Polonii Francuskiej ocenia liczbę Polaków i osób polskiego pochodzenia na 1 milion.. (str. 37). Podobnie trudna jest interpretacja ilości Polaków w Niemczech. Na str. 57. tabela „Polacy w Niemczech w latach 1982-1996" podaje liczbę Polaków w Niemczech w 1996 roku na 283,4 tysiące i, na tej samej stronie, znajdujemy zdanie: „Dziś w RFN (!!!) przebywa ok. 2 milionów Polaków: emigrantów, przesiedleńców i byłych azylantów. Owe dwa miliony ludzi nie tworzą jedności, dlatego w świetle niemieckiego prawa nie nazywa się ich mniejszością polską". Byłoby wskazane wyjaśnienie różnic definicyjnych i metod szacunkowych[2].

2. Tablice 2 i 3 na str. 9 podają dane o emigracji Polaków do krajów Europy Zachodniej w latach 1980-88 (tabl. 2) i 1989-1997 (tabl. 3) w latach tych 11.573 Polaków wyemigrowało do Francji i 287.732 do Niemiec. Oznaczałoby to, że liczba Polaków w Niemczech w 1996 r. wg statystyki podanej na str. 57 jest ok. 10.000 większa od liczby Polaków emigrujących do Niemiec w latach 1980-1996, co zakładając normalną śmiertelność, re-emigrację i emigrację z Niemiec do innych krajów, nie wydaje się absurdalnym o ile przyjmiemy, że ilość Polaków zamieszkałych w Niemczech przed 1980 rokiem wynosiła ok. 30-40 tysięcy (wyłączając Polaków obywateli Niemiec), co wydaje się niedoszacowaniem. Na stronie 57 podane jest saldo migracji pomiędzy Polską i RFN według przynależności państwowej w latach 1957-1989, które wynosi 440 tys. Polaków. W roku 1988 ilość obywateli polskich zamieszkałych w Niemczech, wg „Statistisches Bundesamt", wynosiła 171,5 tysięcy, co jest mniej więcej zgodne ze statystyką emigracyjną GUS-u. Natomiast żaden z szacunków nie jest zgodny z liczbą 2 milionów. Przypuszczalnie, statystycy GUS-u, mając do dyspozycji statystyki polskie i niemieckie oraz specjalne monografie, mogliby na te sprzeczności rzucić światło, ale, niestety, tego nie zrobili.

Cenną częścią publikacji jest zbiór informacji o organizacjach polonijnych. Jak można było oczekiwać, istnieją ogromne różnice między zakresem informacji pochodzących z rozmaitych krajów. Na przykład, informacje o parafiach polskich w Austrii i we Francji są bardzo obszerne i ciekawe, natomiast informacje o polskim życiu religijnym w Niemczech i Wielkiej Brytanii są zdawkowe. Niestety, brak jest informacji o liczebności organizacji polonijnych. Prawdopodobnie informacje te są niemożliwe do uzyskania – prezesom organizacji polonijnych łatwiej jest mówić o reprezentacji wielu tysięcy (albo nawet milionów) Polaków, niż przyznać się do stosunkowo małej ilości płacących składki członków.

„Zasoby kultury polskiej w świecie" zawierają paragrafy zatytułowane „Znani i cenieni Polacy". Trudno wyrazić opinię na temat tych paragrafów; w niektórych wypadkach w wyliczeniu tych Polaków znajdujemy przymiotniki „znany", „wybitny" – które dziwnie brzmią w publikacji Urzędu Statystycznego – w niektórych podane są zwięźle informacje o specjalizacji i miejscu pracy; na listach „znanych i cenionych" znajdujemy właścicieli galerii polskich – wiele zasługuje na zaszczytną wzmiankę, ale pewno nie wszystkie – natomiast wiele bardziej znanych nazwisk zostało opuszczonych. Raczej dziwnym jest włączenie do listy żyjących „znanych i cenionych Polaków" ś.p. Józefa Czapskiego, a pominięcie nazwiska Jerzego Giedroycia (być może dlatego, że należy on do „zasobów kultury polskiej w świecie" a nie tylko we Francji!). Oczywiście, identyfikacja ludzi wyróżniających się na polu

naukowym i artystycznym jest ogromnie trudna i subiektywna i nawet listy niekompletne mają swoją wartość. Miejmy nadzieję, że w przyszłych wydaniach, wybór nazwisk i ich sposób podania będzie ulepszony.

W omawianej publikacji brakuje też rozróżnienia między emigracją stałą („Polonią") i emigracją tymczasową, albo sezonową, aczkolwiek emigracja tymczasowa stała się ważnym elementem migracyjnym, zwłaszcza w wypadku migracji do Niemiec. W tym zakresie, pełne użycie statystyk polskich i niemieckich byłoby wskazane.

Nietrudno wyliczyć potknięcia w omawianej publikacji, ale trzeba pamiętać, że systematyczne badania statystyczne na temat Polonii są ciągle jeszcze w okresie pionierskim, nawet o ile w „Nocie redakcyjnej" znajdujemy stwierdzenie: „Polskie badania i literatura poświęcona Polakom żyjącym poza granicami kraju są dosyć obfite i mają wieloletnie tradycje" i że obecnie istnieją 4 ośrodki badań polonijnych (włącznie z Zakładem Badań Narodowościowych PAN w Poznaniu). Miejmy zatem nadzieję, że przyszłe publikacje i monografie GUS-u na ten temat będą coraz lepsze, a tymczasem trzeba wyrazić wdzięczność GUS-owi za wydanie tej, niestety niedoskonałej, publikacji.

Konrad W. STUDNICKI-GIZBERT

Paryska Biblioteka Polska zmienia skórę

W dniu 14 stycznia 2000 Rada Towarzystwa Historyczno-Literackiego, na wniosek p. C. Piotra Zaleskiego – Dyrektora Biblioteki Polskiej, Wiceprezesa THL – podjęła jednogłośnie decyzję o zamknięciu B.P., w celu przeprowadzenia niezbędnych prac – również remontowych – począwszy od 24 marca 2000.

W obecnym stanie rzeczy prace mogą potrwać 3 lata.

Jednakże Dyrekcja Biblioteki Polskiej zrobi maksimum, aby THL mogło dysponować lokalem, w celu organizowania zebrań i imprez kulturalnych i artystycznych

L. TALKO
Prezes THL

C.P. ZALESKI
Wiceprezes THL, Dyrektor B.P.

●

Zaproponowanie Radzie Administracyjnej THL zamknięcia Biblioteki Polskiej w Paryżu było trudną do podjęcia decyzję. Powiedziałbym nawet: bolesną, lecz – moim zdaniem – niezbędną.

Trudną i bolesną, gdyż zdaję sobie sprawę z kłopotu, jaki to sprawi użytkownikom biblioteki, jak i gościom naszych muzeów, i musiałem w dodatku podjąć tę decyzję zaledwie 6 miesięcy po objęciu funkcji Dyrektora Biblioteki Polskiej.

Niezbędną, gdyż aktualny stan budynku i kolekcji zmusza nas – w celu zachowania dobytku – do wykonania ważnych nieznoszących zwłoki prac, których nie można wykonać przy funkcjonowaniu biblioteki.

Po podjęciu funkcji Dyrektora BP, w czerwcu 1999 zanotowałem liczne problemy dotyczące budynku i kolekcji. Poprosiłem więc o niezależne ekspertyzy m.in.:

– Biuro VERITAS – jeśli chodzi o budynek

– Specjalistów od konserwacji w Bibliotece Narodowej w Warszawie – jeśli chodzi o kolekcje.

Co do budynku doszliśmy w pierwszym rzędzie do wniosku, że nastąpiły z powodu przeciążenia w pewnych częściach budynku poważne zniekształcenia. W dodatku trzeba wykonać wiele robót dotyczących bezpieczeństwa budynku. Co do kolekcji zauważono, że bardzo zły sposób magazynowania i konserwacji – głównie w podziemnych magazynach zawierających m.in. cenne kolekcje gazet – wymaga pilnej interwencji. Istnieją mianowicie duże ogniska zakażenia – m.in. grzybicą – w magazynach podziemia, gdzie personel może wejść tylko w stroju ochronnym i z maską na twarzy.

Zanotowano także niestety, że te zakażenia roznoszą się gdzie indziej, m.in. do magazynów pierwszego i drugiego piętra zawierających kolekcje cennych książek – niektóre z XV, XVI i XVII wieku – a nawet do kolekcji artystycznych. Zakażenia te zagrażają samemu istnieniu niektórych dokumentów. Trzeba więc niezbędnie interweniować w celu uzdrowienia sytuacji i jednocześnie sporządzenia skontrum naszych najcenniejszych

kolekcji, co nie zostało zrobione od ponad pół wieku. Trzeba będzie następnie urządzić magazyny z prawdziwego zdarzenia, takie jak zrobiono dla archiwaliów, aby przyjąć inne kolekcje, oczyszczone i odkażone. Należy także oczywiście odremontować i wzmocnić nasz budynek.

Jeszcze raz bardzo mi przykro, że użytkownicy pozbawieni zostaną możliwości korzystania z książek, gazet, dokumentów i kolekcji artystycznych przez dłuższy okres, lecz sądzę, że niezbędne było zapewnić w pierwszym rzędzie zachowanie niezastąpionego dobytku, jaki dostaliśmy w spadku od poprzednich pokoleń.

C.P. ZALESKI
Wiceprezes THL, Dyrektor Biblioteki Polskiej

NAGRODY

ZŁOTE BERŁO 2000

W 1999 roku Fundacja Kultury Polskiej dzięki finansowemu wsparciu BIG Banku Gdańskiego S.A. ustanowiła najwyższą nagrodę kultury polskiej – ZŁOTE BERŁO.

Obszar nagrody to najpełniej rozumiana twórczość intelektualna pojedynczego człowieka lub zbiorowości, grupy twórców, organizacji społecznej, instytucji artystycznej, ruchu kulturalnego czy naukowego.

Pierwszym laureatem nagrody ZŁOTE BERŁO został Jerzy Giedroyc.

W 2000 roku kapituła Nagrody Fundacji Kultury Polskiej przyznała ZŁOTE BERŁO Wojciechowi Kilarowi za wybitne dzieła muzyki kameralnej, symfonicznej i filmowej, za rozsławianie polskiej kultury na świecie, za wierność krajobrazom dzieciństwa, za radość życia i radość tworzenia.

NAGRODA „PRZEGLĄDU WSCHODNIEGO"

Decyzją Jury, złożonego z przedstawicieli kwartalnika (A. Ajnenkiel, J. Bardach, A. Juzwenko, S. Mossakowski, E. Smułkowa i J. Malicki) oraz instytucji publicznych zajmujących się sprawami wschodnimi (A. Chodkiewicz, A. Przewoźnik).

NAGRODĘ „PRZEGLĄDU WSCHODNIEGO" 1999 w kategorii autorów krajowych otrzymali:

Piotr Paszkiewicz z Warszawy, za książkę „W służbie Imperium Rosyjskiego 1721-1917. Funkcje i treści ideowe rosyjskiej architektury sakralnej na zachodnich rubieżach Cesarstwa i poza jego granicami" (wyd. Instytut Sztuki PAN) oraz **Grzegorz Motyka** z Warszawy, za książkę „Tak było w Bieszczadach. Walki polsko-ukraińskie 1943-1948" (wyd. Volumen).

W kategorii dzieł autorów zagranicznych NAGRODĘ otrzymał **Leonid Gorizontow** z Moskwy, za książkę „Paradoksy Imperskoj Polityki: Poliaki w Rossiji i Russkije w Polsze" (wyd. Indrik, Institut Sławianowiedienija RAN)

NAGRODĘ SPECJALNĄ otrzymał:

Antoni Kuczyński z Wrocławia za całokształt wieloletniej działalności organizacyjnej i wydawniczej „na niwie wschodniej".

Nagrody zostały ufundowane przez następujące instytucje: Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Stowarzyszenie „Wspólnota Polska", Polska Agencja Informacyjna, Radio Polonia – Program dla Zagranicy.

Notatki Redaktora

16 grudnia nasz przedstawiciel w Unii Europejskiej w Brukseli przedstawiając stanowisko Polski w sprawie polityki rolnej zażądał, by przez 2-3 lata po przyjęciu do Unii, polskie mleczarnie i rzeźnie, które nie spełniają unijnych norm, miały prawo sprzedaży na rynku krajowym i eksportu na Wschód. Jest to dosyć nieprawdopodobne żądanie, by produkty, które nie spełniają cywilizowanych norm sanitarnych i nie nadają się dla Europejczyków, były dobre dla nas. Jest powszechnie wiadomo, że w polskich mleczarniach i rzeźniach jest po prostu bardzo brudno. Nasze wejście do Unii jest właśnie dla nas szansą zmienienia tego stanu rzeczy. Poza tym okres kiedy wszystkie polskie buble były łatwo sprzedażne na Wschodzie, już dawno się skończył. Tam też stawia się coraz wyższe wymogi jeśli idzie o towary importowane. Tego rodzaju żądania bardzo opóźniają nasze przyjęcie do Unii.

●

Ministrowie transportu i gospodarki morskiej Polski i Ukrainy podpisali memorandum mające na celu rozpoczęcie działań zmierzających do utworzenia korytarza transportowego Morze Bałtyckie – Morze Czarne o standardzie europejskim. Taki korytarz transportowy łączący Gdańsk, Gdynię z Odessą, niewątpliwie przyczyni się do rozwoju i usprawnienia międzynarodowego przewozu osób i towarów. Jednak realizacja nie będzie łatwą, gdyż wymaga przede wszystkim modernizacji i rozbudowy już istniejącej struktury drogowej, kolejowej i portowej w obu krajach. Wymaga również rozbudowy przejść granicznych.

●

Nowy pomysł naszych parlamentarzystów. Ponieważ są

powszechne skargi, że brak jest na ulicach policji, a 2200 policjantów jest zatrudnionych do pilnowania placówek dyplomatycznych, więc sejmowa komisja spraw wewnętrznych i administracji ustaliła, że należy stworzyć jakąś spółkę ochroniarską, która wykonywałaby te zadania, a policjanci wróciliby do swojej poprzedniej pracy. Jest to pomysł z kalendarza, jak również używanie w tym celu oddziałów wojskowych. Tego rodzaju zadania nie należą do wojska, a doświadczenie GROM-u czy Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych są tego najlepszą ilustracją. Chronienie ambasad na terenie Polski czy polskich zagranicą jest zadaniem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i wymaga stworzenia specjalnego rodzaju policji. Można je tworzyć z żołnierzy i policjantów przechodzących na emeryturę. To miało miejsce przed wojną – jeśli idzie o ochronę polskich placówek dyplomatycznych zagranicą.

●

Pan Dariusz Ratajczak, autor głośnej książki kwestionującej zagładę Żydów w Oświęcimiu, nie jest odosobniony. 13-go stycznia br. Radio Maryja zaprosiło do studia p. Dariusza Ratajczaka oraz prof. Ryszarda Bendera z KUL-u i Petera Rainę. Ryszard Bender stwierdził, że Oświęcim nie był obozem zagłady, ale obozem pracy i że Żydzi pełnili różne funkcje obozowe. Peter Raina, Hindus zamieszkały w Polsce, pupil kardynała Wyszyńskiego, autor szeregu książek poświęconych historii Kościoła polskiego, oświadczył, że w Polsce nie ma niepodległej prasy, jest tylko prasa żydowska i że Polska powinna być dumna z takich historyków jak p. Dariusz Ratajczak. W zakończeniu audycji prezenter Radia Maryja podkreślił, że to radio zawsze mówi prawdę, a Bender złożył podziękowanie, że tylko w tym radiu mogli wesprzeć Ratajczaka wobec nagonki zorganizowanej przeciwko niemu. Wystąpienia tych trzech panów są, jak dotąd, bezkarne. Natomiast u sąsiadów sąd administracyjny w Meklemburgu skazał na dwa lata bez zawieszenia Manfreda Roedera za oficjalne negowanie masowego mordu popełnionego na Żydach w Trzeciej Rzeszy.

●

Zarząd miasta Białystok przyznał nagrodę artystyczną prezydenta miasta w dziedzinie upowszechniania kultury Leonowi Tarasewiczowi za całokształt dorobku artystycznego oraz promocji kultury białostockiej i miasta Białystok w Polsce i na świecie. Leon Tarasewicz jest jednym z najbardziej cenionych współczesnych polskich plastyków. Wystawiał w wielu prestiżowych galeriach świata i Europy. W ubiegłym roku Zachęta w Warszawie zorganizowała retrospektywną ekspozycję jego prac. Jest on ponadto profesorem warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych i laureatem wielu nagród, m.in. nagrody im. Cybisa i tzw. Paszportu Polityki. Tarasewicz odmówił przyjęcia nagrody białostockiej. W liście do p. Ryszarda Tura, prezydenta miasta, Tarasewicz napisał: „Nie mogę jej przyjąć. Nie pozwala mi na to budowana w mieście przez ostatnie dziesięciolecie atmosfera nieufności do nas Białorusinów i prawosławnych... Stosunki międzyludzkie w mieście zależą od poczynań miejscowych władz, a te, niestety, nadal, jako rządząca większość, podejmują nieodpowiedzialne kroki w kierunku niepotrzebnego jątrzenia i atakowania mniejszości... Prowadzi to do nasilenia postaw nacjonalistycznych polskiej większości oraz zastraszenia i lęku wśród mniejszości... Niedobrze świadczy, że niemal wszystkie urzędy piastuje tu polska większość. Rodzi to sytuację, w której podwładni prawosławni boją się o utratę miejsca pracy". Od dawna alarmujemy o fatalnej polityce narodowościowej w województwie podlaskim. Niestety, nasze alarmy, jak dotąd, są całkowicie bezskuteczne.

●

Fundusze celowe, których jest dziesięć w Polsce, dysponują ogromnymi pieniędzmi, ok. 100 mld złotych, ponad 2/3 budżetu państwa. Niestety są one poza społeczną kontrolą i bardzo często są źle zagospodarowane i skorumpowane. Ponadto, poszczególne fundusze rozdziela się według klucza partyjnego. W 1998 r. na skutek uchwały sejmowej rząd dokonał analizy celowości działania funduszy. Wynika z niej, że wiele zadań, do realizacji których powołane były niektóre fundusze, lepiej są wykonywane przez samorządy. Niestety, nic w tej dziedzinie nie zrobiono i nadal duża część publicznych pieniędzy jest bez właściwego nadzoru.

Wiosną ubiegłego roku fundacja rodziny Pruszyńskich w Lichtensteinie ufundowała stypendia na przyjazd do Polski i dziesięciomiesięczne utrzymanie dla 50 ukraińskich studentów. Minister edukacji na Ukrainie bardzo pozytywnie ocenił tę inicjatywę. Niestety, na tym sprawa utknęła, dlatego że fundacja do tej pory nie otrzymała żadnej konkretnej odpowiedzi. Przez bezwład biurokracji marnuje się ta tak cenna inicjatywa. Zbliża się początek roku akademickiego, a pieniądze wciąż leżą niewykorzystane. Na szczęście są wyjątki. Mianowicie cenna jest np. współpraca katedry mechanik robotów i maszyn Politechniki Śląskiej. Prof. Józef Wojnarowski, kierownik katedry, zorganizował współpracę z Politechniką Donięcką w zakresie naukowo-dydaktycznej, w szczególności w dziedzinie dynamiki maszyn. Ostatnio na Politechnice Śląskiej zostało przeprowadzone postępowanie o nadanie stopnia naukowego doktora habilitowanego nauk technicznych Walentinowi Oniszczence, docentowi Politechniki Donieckiej. Było to możliwe, gdyż katedra sfinansowała staż Walentina Oniszczenki, druk jego pracy i koszta całej procedury. Mam nadzieję, że przykład profesora Wojnarowskiego zachęci i inne wyższe uczelnie w Polsce do tego rodzaju akcji w stosunku do naszych wschodnich sąsiadów.

●

W dramatycznej sytuacji w Czeczenii nadal nie ma żadnej informacji o losach uwięzionych tam od sierpnia ub.r. prof. Fiszer-Malinowskiej i doc. E. Marchwińskiej-Wyrwał. Ilustracją sytuacji w Czeczenii jest tajemnicze zniknięcie korespondenta Radia Swoboda. Milczenie władz polskich jest tym bardziej zaskakujące, że coraz więcej demonstrujemy swoją przyjaźń dla Czeczeńców i potępienie agresji rosyjskiej. Czekamy na wyjaśnienia.

●

Zmarł w Warszawie po długiej i ciężkiej chorobie Andrzej Zakrzewski, historyk, prawnik i publicysta. Jest to wielka strata, bo Andrzej Zakrzewski był postacią wyjątkową wśród naszych działaczy politycznych, wyróżniającą się przez

swoją kompetencję, bezinteresowność. Połączyła nas przyjaźń i współpraca. Jego pamięci poświęcimy obszerniejsze wspomnienie w jednym z najbliższych numerów.

●

Kradzież starodruków w Jagiellonce trwa nadal. Ostatnio dotyczy to głównie wydawnictw biblioteki „berlińskiej". Od dawna alarmuję w tej sprawie, ale bezskutecznie. Praktycznie biorąc, biblioteka nie jest zabezpieczona. Drzwi do magazynu są często zostawiane niezamknięte, a, co gorsza, według różnych informacji, zbiory nie są całkowicie skatalogowane od sześciuset lat – jak mówią złośliwi. W tej sytuacji należy żałować, że zlekceważono moją sugestię, by bibliotekę „berlińską" oddać uroczyście i oficjalnie Niemcom w czasie targów frankfurckich, łącząc to np. z reprezentacyjnym odegraniem ważniejszych utworów znajdujących się w zwróconym archiwum. Jestem przekonany, że byłoby to ogromną atrakcją i dobrze przyjęte przez społeczeństwo niemieckie.

●

W tej chwili sprawą, która wzbudza największe niepokoje, jest wprowadzenie wiz dla obywateli Ukrainy, Białorusi i Rosji w myśl wymogów Unii Europejskiej. Czy nasza dyplomacja nie jest w stanie wytłumaczyć, że będzie to odebrane jako stworzenie nowego muru oddzielającego Europę od Wschodu, co uniemożliwi nie tylko współpracę gospodarczą ale i stosunki kulturalne.

●

Przy obecnej stagnacji społecznej byłoby rzeczą niezmiernie ważną ożywienie działalności związków twórczych. Niestety, sprawa odbudowy Związku Literatów Polskich, o której w ostatniej *Kulturze* pisał Leszek Szaruga, nie znalazła uznania dawnego kierownictwa. Tak samo byłoby rzeczą niezmiernie ważną odbudowanie czy stworzenie od nowa związku dziennikarzy, bo na tym odcinku jest bardzo niedobrze, a przecież prasa odgrywa bardzo dużą rolę, a jej głos mógłby być bardziej skuteczny, gdyby powstał dynamiczny związek. Niestety, starzy działacze są zmęczeni, a nie ma prób wciągnięcia młodego pokolenia. Powstanie silnych i niezależnych

związków twórczych bardzo by ułatwiło dyskutowaną reformę telewizji, gdzie są projekty dopuszczenia do głosu rektorów wyższych uczelni. W ten sposób mógłby powstać prawdziwy samorząd kulturalny, równie ważny jak terytorialny.

●

Bardzo charakterystycznym zjawiskiem jest pomijanie przez środki masowego przekazu spraw związanych z wojskiem, poza wyciąganiem od czasu do czasu sensacyjnych wiadomości o nieudolności rządu w tej dziedzinie, jak kradzieże rakiet itp. Natomiast nic się nie wie np. o polskich oddziałach w Kosowie czy Bośni, i nawet trudno zdobyć jakieś bliższe informacje. Od dawna staram się o bliższe szczegóły, jak wygląda batalion polsko-ukraiński, który jest obecnie w Kosowie, jak on działa, jakie są ich warunki egzystencji. Nie ma reportaży o ich działalności, nie dyskutuje się niezbędnych reform w wojsku, a stan zaczyna być alarmujący. Unikanie służby wojskowej, dezercje, przybierają niepokojące rozmiary. Miałoby bardzo wielkie znaczenie by tym sprawom poświęciła więcej uwagi *Gazeta Wyborcza* czy *Polityka* w swoich znakomitych raportach.

●

Działalność kulturalna na odcinku stosunków polsko-rosyjskich jest w powijakach. Brak na to środków. Książki i prasa rosyjska są nie do dostania w Polsce, a polskie w Rosji. A przecież istnieje Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Rosyjskiej dawne Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, które dysponuje dużymi środkami materialnymi i które nie przejawia zupełnie żadnej działalności. Może byłoby celowe by nowo powstający Instytut Adama Mickiewicza, który ma koordynować naszą działalność i propagandę zagranicą przejął koła TPPR likwidując synekury niedobitków PRL.

REDAKTOR

Książki

Krew i kukurydza

„Gdyby Arystoteles zajmował się gotowaniem, dużo więcej by napisał."
Sor Juana Inés de la Cruz (Meksyk, XVII w.)

Pani Osorio-Mrożek (żona pisarza) jest Meksykanką mieszkającą od kilku lat w Polsce. Jej napisana już w Krakowie książka* (*nota bene* dobrze przetłumaczona – nie czuje się „skoku językowego") została zamierzona jako prezentacja jej egzotycznej ojczyzny na płaszczyźnie wspólnej całej ludzkości, tzn. zagadnienia „co by tu zjeść?". Gastronomia jest tutaj jednak tylko ramą, w której mieszczą się też dzieje, geografia, obyczaje, mitologia i w ogóle historia *general de las cosas de Nueva España*, by odwołać się do tytułu olbrzymiego dzieła o Meksyku pióra współczesnego Cortés'owi hiszpańskiego zakonnika Bernardino de Sahagún, często cytowanego przez autorkę w tekście i przypisach (nie mylić z przepisami kulinarnymi, których też tu sporo). Jej własna książka jest znacznie krótsza, ale również zawiera zdumiewająco dużo informacji podanych dokładnie i interesująco. Zważywszy, że tekst jest w dodatku obficie ilustrowany – przeważają reprodukcje rysunków ze starych kodeksów – dziełko to można uznać za wzór chwalebnej zwięzłości. Gatunkowo „Meksyk od kuchni" kwalifikuje się wprawdzie do kategorii uczonej gawędy, ale najwidoczniej meksykańska koncepcja tego pojęcia różni się znacznie od sarmackiej.

* Susana Osorio-Mrożek, „Meksyk od kuchni. Książka niekucharska". Przełożyła (z hiszpańskiego) Maria Raczkiewicz; TAiWPN Universitas, Kraków 1999.

Książka jest oparta na zasadzie chronologicznej. Po krótkim wstępie geograficzno-klimatologicznym (rozdz. I) kolejne dalsze rozdziały omawiają: „Meksyk prehiszpański", tzn. cywilizację Azteków (włącznie z rzeczowo przedstawionym ludożerstwem); „Spotkanie" czyli dramatyczny opis *conquisty* i kolonizacji Antyli i Ameryki Środkowej, a zwłaszcza spowodowanych tym zmian w życiu codziennym czyli także w kuchni (już bez ludożerstwa); „Metysaż" – tu autorka zajmuje się nie tylko historią biologicznej „kreolizacji" Nowej Hiszpanii, ale także wzajemnym inspirowaniem się gastronomii lokalnej i iberyjskiej; i wreszcie „Barok", czyli wyłoniona ze „spotkania" i „metysażu" synteza aztecko-hiszpańska, widoczna zarówno w architekturze jak w sztuce kulinarnej i trwająca w zasadzie do dzisiaj. Ogromną rolę w procesie wzajemnej adaptacji i rozwoju tej drugiej sztuki odegrały szybko rozwijające się zakony katolickie – szczególnie żeńskie – wyraźnie nie propagujące przesadnej ascezy. „Mniszki od Niepokalanego Poczęcia robiły pyszne pasztety, od świętego Bernarda – słodycze, marynaty, biszkopty i suchary dla chorych; inne specjalizowały się w *chicha* (syropie ze sfermentowanej kukurydzy) i miodzie różanym, te od świętego Wawrzyńca w paluszkach karmelowych i cukierkach. Zakonnice z klasztoru Jezusa i Maryi wsławiły się słodkimi imitacjami słonych dań (na przykład plastry indyka zrobione z masy migdałowej)" – czytamy na str. 187-8. Produkty te przeznaczone były głównie na sprzedaż („Kuchnie [klasztorne] były prawdziwymi fabrykami słodyczy, a dzięki łakomstwu panującemu w Nowej Hiszpanii przynosiły duże zyski", dorzuca autorka), ale ich pomysłowość i różnorodność świadczą, że gastronomia i uduchowienie nie wykluczają się wzajemnie. Siostra Juana, której sentencję przytoczyłem powyżej jako motto, twierdziła wręcz, że nic tak nie sprzyja abstrakcyjnemu myśleniu jak przyrządzanie wyrafinowanych potraw i udowodniła to własnym przykładem, gdyż była nie tylko autorką znakomitej książki kucharskiej, ale i najwybitniejszą poetką swego czasu.

Podobnie gastronomiczno-intelektualne stanowisko zajmuje też sama autorka (z noty biograficznej dowiadujemy się, że oprócz studiów historii i archeologii oraz pracy w teatrze jest też specjalistką w zakresie dietetyki). Lektura jej książki unaocznia ciekawe powiązania pomiędzy „bazą" czyli tym co

na stole i „nadbudową", czyli oprawą kulturalną, socjalną i zgoła metafizyczną meksykańskiego stołu. Tradycja europejska, jeśli chodzi o powiązania mitologiczne, jest słabiej sprecyzowana (np. nie znamy receptury nektaru i ambrozji na Olimpie), a i na płaszczyźnie symbolicznej oferuje niewiele, poza prostą dychotomią chrześcijańską na potrawy postne i „świeckie", czy żydowską na koszerne i trefne. Jedyną znaną mi próbą głębszej analizy tego zagadnienia jest teoria Anthony Burgessa przedstawiona w jego powieści „Earthly Powers", ustalająca wyraźny paralelizm pomiędzy biblijną relacją o stworzeniu świata, a kolejnością potraw przyzwoitego obiadu: „oddzielenie wód" czyli zupa, „ryby i skorupiaki" – przystawki, „zwierzęta i ptaki" – pieczyste, itd., aż do „stworzenia człowieka" czyli konwersacji przy kawie i koniaku. W cywilizacji Azteków natomiast każdy kęs i każda przyprawa miały zawiłą obudowę mitologiczną, nic więc dziwnego, że rozdział o Meksyku przedhiszpańskim i jego gastronomii jest najdłuższy i zajmuje ponad połowę omawianej książki. Indiańska mitologia nie była zresztą tylko zbiorem interesujących opowiastek. Miała przerażające konsekwencje praktyczne, ponieważ wg azteckiej teologii dla normalnego funkcjonowania wszechświata niezbędne było stałe karmienie bogów „drogocennym napojem" czyli krwią z wydzieranych na żywo serc ludzkich, toteż ceremonie takie odbywały się często (ciała ofiar zjadano – już niesymbolicznie – na drugi dzień). Podobno (wg Jacquesa Soustella, cytowanego na str. 34) „...ofiara była prawie zawsze dobrowolna, albo przynajmniej odważnie zaakceptowana. Od dziecka młody Meksykanin słyszał, że przyszedł na świat po to, żeby oddać serce i krew 'naszej Matce, naszemu Ojcu, ziemi i słońcu', według rytualnej formuły". Czytając to (a zwłaszcza opisy podejrzanie czułej atmosfery w jakiej się to odbywało – np. dyspozytor przyszłej ofiary nazywał ją „umiłowanym synem", a ta rewanżowała się tytułem „czcigodnego ojca") przypomniałem sobie fragment wiersza W.H. Audena pt. „Archeologia": „Gdy Normanowie słyszeli piorun / czy rzeczywiście wierzyli / że to Thor uderza młotem?". Innymi słowy, jako czytelnik z pewnym doświadczeniem totalitaryzmu, zacząłem się mimo woli zastanawiać, ile w tym wszystkim było religii, a ile manipulacji politycznej, jako że w każdych czasach taki czy inny

instytucjonalny miecz Damoklesa nad głowami obywateli skutecznie odwraca ich uwagę od niepożądanych idei. Ciekawe też, czy najwyżsi notable azteccy sami również zostawali od czasu do czasu „umiłowanymi synami?" i jaką rolę grał w tym wszystkim nagminny brak mięsa, jako że starożytni Aztekowie nie znali hodowli bydła ani drobiu (oprócz indyków i – podobno smacznych – piesków specjalnej rasy)?

Normalna dieta meksykańska aż do przybycia Hiszpanów była jednak głównie wegetariańska i jej podstawę stanowiła (i stanowi do dziś) kukurydza. Nic więc dziwnego, że roślina ta i towarzyszące jej przyprawy również obrosły masą poetyckich (i mniej makabrycznych) mitów i rytuałów; dużo o nich w książce. Ogromne znaczenie miało też kakao, które poza wszystkim pełniło także rolę *status symbol* – jego najlepsze gatunki zarezerwowane były dla elity, a jedzenie czekolady przez hołotę karane było śmiercią tejże. Admiratorów Witkacego na pewno zainteresuje rzeczowo przedstawiona przez autorkę sprawa meksykańskich środków halucynogennych (ze słynnym *peyote* na czele), palaczy – historia tytoniu, alkoholików – lokalne alkohole, a osoby zatroskane o poziom swego cholesterolu – informacja, że wprowadzona przez Hiszpanów hodowla bydła miała taki sukces, iż w XVI w. „na każdego robotnika przypadał kilogram mięsa dziennie, a w niektórych domach ilość ta przekraczała nawet dziesięć kilogramów wołowiny i wieprzowiny" (str. 177).

Ta niezdrowa obfitość – później zresztą znacznie zredukowana – oraz eliminacja z menu „umiłowanych synów i córek" (a także piesków) nie są w stanie przysłonić faktu, że najazd hiszpański w jego pierwszej fazie był dla autochtonów katastrofą, której morderczość przewyższała nawet średniowieczną Czarną Śmierć w Europie. „Niewolnictwo, nadmierne wykorzystywanie siły roboczej, zmiany w diecie, wprowadzenie hodowli bydła, urbanizacja i masowe przesiedlenia Indian w odmienne strefy klimatyczne przyczyniły się do szybkiego i druzgocącego upadku rdzennej ludności. Zmiany w strukturze ekologicznej, ekonomicznej, politycznej i religijnej spowodowały to, co historycy nazywają *desgano vital*, zniechęcenie do życia, co z kolei prowadziło do drastycznego zmniejszenia liczby urodzin wśród rdzennej ludności" – czytamy na str. 148-9. Potwierdzają to liczby: na początku

XVI w. środkową część Meksyku zamieszkiwało ponad 25 mln. Indian; dwadzieścia lat później było ich już tylko 16 mln.; w połowie XVII w. – niecały milion. Smutne, choć nie wyjątkowe w historii. Nawet i we współczesności...

Książka mi się podobała i mam tylko dwie drobne uwagi krytyczne. *Primo* – dla lepszej orientacji czytelnika przydałaby się w niej mapa współczesnego Meksyku. *Secundo* – objaśnienie do ilustracji na str. 187 przedstawiającej trzy kościotrupy w różnych pozach brzmi: „Czaszki kucharki". Jest to błąd albo tłumaczenia albo interpretacji, gdyż kucharzeniem zajmuje się tylko dolny szkielet; środkowy jest dostawcą surowych produktów, a górny – biesiadnikiem, łapczywie napełniającym sobie talerz. Jest to więc typowe dla baroku „żartobliwe" przypomnienie o wszechobecności śmierci, nieobce też i polskiej tradycji tego okresu (por. ks. Baki: „Śmierć-Matula/ jak cebula / łzy wyciska / gdy przyciska" itd.). W sumie, dramatyczna historia Meksyku tak niekonwencjonalnie przedstawiona przez p. Osorio-Mrożek jest nieco podobnym przypomnieniem, że świat nigdy i nigdzie nie był wesołym miejscem, chociaż dobra kuchnia potrafi niekiedy złagodzić *desgano vital*.

M. BROŃSKI

„Żebracze treny" Tadeusza Różewicza

„Muszę przyznać, że ogromnie mnie wzrusza dobroć Pana w stosunku do swej matki. Nie jest to tak oczywiste, jakby się zdawało" – pisał w 1948 roku Jerzy Zawieyski w liście do Tadeusza Różewicza („Kiedy myślę o Jerzym Zawieyskim...", *Odra* 1984, nr 5, s. 82). „W moim dzieciństwie każdy dzień był Dniem Matki. Każdy poranek był dniem

matki. I południe i wieczór i noc" – czytamy w najnowszej książce Różewicza „Matka odchodzi". Cytowane zdania dzieli – jak łatwo policzyć – 51 lat. Pierwsze stanowi fragment prywatnego listu podanego po latach do druku przez adresata po śmierci nadawcy. Drugie pochodzi z otwierającego książkę Różewicza tekstu „Teraz", tekstu znakomitego literacko i skomplikowanego w tej mierze, w jakiej skomplikowana i niejednoznaczna jest wielka literatura. W jakim celu zdania te zestawiam? Nie tylko po to, aby pokazać, jak ważną rzeczą był (i jest) dla Różewicza związek z matką. Chodzi mi także o typ lektury, jaki został wpisany w książkę „Matka odchodzi". Różewicz zdaje się mianowicie żądać, aby książkę tę traktować jako bolesną konfesję lub autobiograficzne wyznanie; aby tekst poetycki czytać tak, jak czyta się list do osoby, która na długo i daleko wyjechała. Tej sugestii poddaje się większość recenzentów tomu „Matka odchodzi", którzy piszą o tym, że Różewicz spowiada się z nadziei, których nie spełnił i z zawodów, jakie sprawił matce. Apeluje do naszych zanikających sumień i ostygłych uczuć, przywraca nam pamięć o najważniejszych i najprostszych wartościach, raz jeszcze wyrzeka się przywilejów, jakie daje mowa poetycka, aby prostym i rzeczowym językiem naszkicować okrutny obraz umierania własnej matki. A wszystko to w imię przeraźliwej prawdy o ludzkiej egzystencji, prawdy o zepsuciu i męce ciała, niezawinionym cierpieniu, braku nagrody za dobro i braku kary za zło, nieobecności Sędziego.

Do takiej lektury dodałbym kilka jeszcze uwag. Powiedziałbym zatem, że tom „Matka odchodzi" to książka – by tak rzec – rodzinna. Zbiera stare i nowe utwory Tadeusza Różewicza (zarówno poetyckie, jak i fragmenty prozy), ponadto zawiera teksty dwóch braci poety – Stanisława i Janusza, a także fragmenty pamiętnika matki trójki rodzeństwa – Stefanii. Zastanawia nieobecność ojca oraz umieszczona na końcu, niejako symbolicznie, zniszczona jego fotografia. W książce znajdujemy wprawdzie także cykl „Wiersze dla ojca", cykl ten składa się jednak z 4 utworów, podczas gdy cykl „Wiersze dla matki" liczy ich 24. Ojciec – dojeżdża do pracy do Częstochowy, ma dziwne pomysły (gra na loterii, wierzy, że wygra milion), jest trochę oddalony, zasłonięty gazetą, umieszczony zawsze nieco obok. Zwróćmy ponadto uwagę, iż

z zamieszczonego w tomie „Dziennika gliwickiego" wynika, że przy umieraniu matki, ojca nie ma (krótkie i enigmatyczne uwagi o ojcu mówią, że właśnie wyjechał oraz że jest daleko, bo aby złożyć mu życzenia imieninowe, wysłać trzeba list). Wszystko to sprawia, że postać ojca stanowi – w konstrukcji tomu – pewną tajemnicę.

Inaczej matka. Jej obraz jest wprawdzie naszkicowany niezwykle dyskretnie, oszczędnymi środkami, bez nadmiernego patosu czy sentymentalizmu. Mimo to wiele w nim rysów konwencjonalnych. Matka znajduje się w centrum domu. Budzi synów ze snu i przygotowuje do szkoły. Jest nieustannie zajęta, zapracowana, a mimo to znajduje czas na czytanie książek. Gdy nie czyta, haftuje i wyszywa. Lubi kwiaty. Zna nazwy ziół i drzew. Martwi się zmartwieniami synów, cieszy ich sukcesami. Jest kobietą ofiarną, mądrą, pracowitą, wyrozumiałą.

A oto średni z trzech braci. Przyszedł na świat zamiast oczekiwanej przez matkę dziewczynki. Imię dostał (jak bohater Mickiewicza) po Kościuszce. W szóstym miesiącu pierwszy ząbek, pierwsze słowo to „mama", w wieku trzech lat zna na pamięć krótki paciorek, który odmawia co wieczór. Bardzo wstydliwy malec, pilny uczeń, religijny chłopiec („piątka" z religii), „nasz mały święty" – jak mówią o nim w rodzinie. Tadeusz Różewicz.

W „Dzienniku gliwickim", zapisie umierania matki, następuje znaczące odwrócenie ról. Jest więc trochę tak jak w „Trenach", narrator opowiada o dziecku („Moje chore, biedne dziecko" – s. 93, to niemal refren dziennika), choć w rolę pierwszoosobowego narratora wchodzi syn, a metafora dziecka opisuję matkę i jej bezradność wobec śmierci. Do czynności syna należą m.in. wykonywanie lewatywy, wysadzanie, wycieranie rozlanego moczu. Mimo to dochodzi do samooskarżenia, dowiadujemy się, że podczas śmiertelnej choroby matki syn myśli o książkach, jakie mógłby napisać, gdyby miał czas i możliwości. Szkicuje żartobliwe wierszyki. Marzy o tym, aby wyjechać. Zamyka się w swoim pokoju i robi notatki.

Oto dlaczego w książce umieszczony został autokomentarz mówiący, że „Matka odchodzi" to pozbawione smaku treny (s. 12). Pozbawione smaku, ale za to – pełne

prawdy! W imię tej prawdy Różewicz odrzuca wszelkie łatwe pocieszenia, konsekwentnie nie ufa religijnym obietnicom. To, że matce nie zostały oszczędzone najstraszniejsze cierpienia, raczej umacnia jego niewiarę. Można więc chyba powiedzieć, że dramatyczne wezwanie Kochanowskiego „Gdzieśkolwiek jest, jeśliś jest, lituj mej żałości" znajduje tu swój odpowiednik w dwukrotnie powtórzonym pytaniu „Czy mam życzyć jej [matce] śmierci?" (s. 100, 93). Słowa Kochanowskiego – to wyraz zwątpienia w obietnicę pośmiertnego życia. Pytanie Różewicza wyrasta z otwartej niewiary w jego istnienie. Obaj zdają się sądzić, że śmierć nie mieści się w moralnej ekonomii świata, podważa wszelkie nasze rachunki i odbiera wartość wszelkim naszym nadziejom. I jeszcze jedna rzecz – Różewicz podkreśla, że jest starszy od matki, że szykuje się do ostatniej drogi, którą matka już ma za sobą. Jego książka to list z zapowiedzią rychłego przybycia. Matka go przeprowadzi, bo oczy matki „ogarniają całym spojrzeniem życie i śmierć syna" (s. 11). Tu znów nasuwają się analogie: do Trenu XIX Kochanowskiego, gdzie do Jana przychodzi matka: do napisanego pod koniec życia wiersza w „Głąb las II" Juliana Przybosia (który był – jak wiadomo – mistrzem młodego Różewicza), gdzie umierać znaczy zmierzać w stronę matki; do wiersza bez tytułu z „ Płaskorzeźby" (poświęconego pamięci Puzyny), który jest zapisem rozmowy z umarłą matką: „więc to już / wszystko / mamo // tak synku / to już wszystko // a więc to tylko tyle // tylko tyle // więc to jest całe życie // tak całe życie".

To, co teraz powiem, nie unieważnia dokonanej właśnie lektury, myślę jednak, że nie szczerości wyznań lub głębi przeżycia tom „Matka odchodzi" zawdzięcza swą wartość. Nie będę więc zestawiać fragmentu listu z tekstem poetyckim i zrównywał ich statusu, lecz szukał różnic. Rozpocznijmy od tego, że „Matka odchodzi" to powrót do pewnej starej koncepcji Różewicza. W 1948 roku w *Twórczości* (nr 1) ukazał się jego cykl poetycki pod tytułem „Z wierszy dla matki". Wiersze tu opublikowane weszły potem do tomu „Czerwona rękawiczka", uległy jednak rozproszeniu – pomysł poszedł w zapomnienie na 50 lat. Co jeszcze ciekawsze, nie wszystkie utwory, które ukazały się w *Twórczości,* znalazły się w książce „Matka odchodzi". Dlaczego Różewicz nie

zebrał wierszy o matce w „Czerwonej rękawiczce" i dlaczego powrócił do dawnego pomysłu, rozwijając go i rozszerzając?

Powód jest – być może – „formalny", Różewicz podejmuje bowiem w książce „Matka odchodzi" pewien ważny i charakterystyczny dla siebie problem poetycki. Główne pytanie, jakie stawia, nie brzmi wcale „Czy wolno mi być szczerym i czy wypada odsłonić całe okrucieństwo umierania mojej własnej matki?", lecz daje się sformułować następująco – „Czy umiem być szczery i kiedy szczery jestem?" Nie chodzi o stosowność, lecz o prawdę. Innymi słowy, myślę, iż Różewicz nigdy nie zapomina, że uczucie jest w poezji produktem rzemiosła poetyckiego, nawet jeśli dziś niechętnie przyznaje się do swojego długu zaciągniętego u Przybosia. I dlatego właśnie już w pierwszym tekście zawartym w tomie „Matka odchodzi" pojawia się pytanie: „Czy poeta to człowiek, który pisze z suchymi oczami treny, bo musi dobrze widzieć ich formę?" (s. 9). Dobitną odpowiedź znajdujemy w jednym z najnowszych wywiadów: „Nie ma niczego bez formy" (*Odra* 1999, nr 11, s. 48).

Teraz więc – w największym skrócie – o kilku niezwykle ciekawych kwestiach „formalnych", jakie stawia książka Różewicza. Sprawa pierwsza to obraz rodziny, ale rozumiany jako literacka kreacja, nie zaś wytwór autobiograficznej opowieści. Relacje między książką „Matka odchodzi" a tomem „Nasz starszy Brat", a także analogie do dramatów o Kafce. W tym kontekście ciekawy jest następujący fragment z utworu „Teraz". „ <Mamo, Tato, jestem poetą>... <wiem Synku> mówi Matka <zawsze to wiedziałam> <mów wyraźniej> nic nie słyszę mówi Ojciec" (s. 8). Zaskakujące, że „Różewicz" (jako bohater tomu, stąd cudzysłów) podobnie jak Kafka nie jest w stanie wyznać ojcu, że jest pisarzem. Wpadnie natomiast na pomysł, aby umierającej matce poczytać własne poezje (s. 104)! Ale to nie wszystko – dalsze analogie wiodą do wierszy o dzieciach słynnych ojców (August Goethe, Klaus Mann, Ruth Rilke), do „Mojej córeczki" – oraz do twórczości Schulza, któremu Różewicz poświęcił wiersz w tomie „Zawsze fragment" (u Schulza jest ojciec, nie ma matki – u Różewicza na odwrót). A w końcu – do matek Baczyńskiego i Słowackiego.

Po drugie, Różewicz nie tyle wychodzi poza reguły poetyckiego wysłowienia, aby mówić – posłużmy się jego własnym odróżnieniem – w „języku ludzkim", a nie w „języku muz", lecz właśnie w ramach „języka muz" pozostaje. Tworzy własne reguły cyklu funeralnego. Gdy zatem wspomina w paru miejscach, że podczas umierania matki po pokoju latają muchy, prowadzi literacką grę (z punktu widzenia psychologii równie dobrze mógłby much nie dostrzegać). Uwagi takie stanowią przede wszystkim nawiązanie do innych tekstów, na przykład do wiersza „Hiob 1957", do pierwszej części poematu „Acheron w samo południe" lub do zakończenia „Przerwanej rozmowy". Po trzecie – Różewicz wykorzystuje w recenzowanej książce coś, co można by nazwać poetyką powtórzenia. Przenosi stare utwory w nowe konteksty i tworzy nowe sąsiedztwa. Zabieg ten wolno rozumieć na dwa różne sposoby: jako wyraz przeświadczenia o zasadniczej niezmienności sensu wiersza, co sprawia, że wiersz może być przenoszony w inne miejsca, albo – na odwrót – jako świadectwo przekonania o radykalnym zdeterminowaniu sensu przez kontekst, w jakim utwór się znajduje. Bliższa jest mi ta druga myśl, sądzę więc, że – na przykład – znany wiersz „Cierń" umieszczony w sąsiedztwie wierszy o matce, znacząco zmienia swój sens (nagle wyznanie o wierze matki i własnej niewierze mówiącego podmiotu staje się miejscem szczególnie nacechowanym). Poetyka powtórzenia buduje i zagęszcza też sieć relacji między poszczególnymi utworami Różewicza. Tu znów przykład: trudno oprzeć się wrażeniu, że zdanie z pisanego w 1957 roku dziennika „Spojrzałem na kawałek gazety – jakby chodziło o kogoś obcego – gorzej – obcego i dawno już zapomnianego, a to przecież moje..." (s. 92) zawiera w zalążku późniejszy o 25 lat utwór „Nagle": „nagle zobaczyłem w gazecie / coś co przypominało wiersz". Podobnych analogii jest więcej.

Po czwarte w końcu – choć na okładce książki „Matka odchodzi" widnieje sygnatura Tadeusza Różewicza, to przecież Różewicz wcale nie jest autorem całego tomu! Gest taki ma wiele sensów, wskażmy na jeden, chyba najważniejszy: zostały tu umieszczone fragmenty pamiętnika matki, bo chodzi o to, aby książka nie była tylko książką o matce, ale także – książką matki! Opublikowanie prostego składniowo tekstu wspomnień Stefanii Różewiczowej nie tylko obniża ton tekstów trzech synów – artystów, ale też podnosi opowieść

matki w rejony sztuki. I tu wracam do pytania, dlaczego właśnie teraz Różewicz napisał książkę „Matka odchodzi", skoro od śmierci matki minęło ponad 40 lat? Dlaczego wraca po latach 50-ciu do pomysłu zebrania swoich utworów o matce? Nie tylko dlatego, że ich przybyło. Najważniejsze jest owo tytułowe „odchodzenie". Wiadomo, że czasownik „odchodzić" niezwykle często pojawia się u Różewicza. Odchodzi Bóg, odchodzą poeci, odchodzi – matka. A jednak myślę, że książka „Matka odchodzi" nie traktuje po prostu o odejściu, lecz również o przyjściu matki. Różewicz stawia przecież matce pomnik trwalszy od spiżu, mimo całej swojej niewiary w poezję. Dramatyzm przedsięwzięcia Różewicza wynika stąd, że chce on złożyć matce hołd, ale może to uczynić tylko za cenę pisania „z suchymi oczami". Matka zatem odchodzi i przychodzi niejako równocześnie. Odchodzi, bo umiera. Przychodzi – gdyż poświęcono jej dzieło o wielkiej poetyckiej sile. Odchodzi, bo pisanie stanowi zdradę żywej pamięci, przychodzi – albowiem za cenę tej zdrady pamięć zostaje ocalona. Okazuje się, że prawda życia musi być niejako „uzupełniona" przez kłamstwo literatury, aby mogła pozostać sobą. Nie ma innego pisania niż „z suchymi oczami".

Andrzej SKRENDO

Wizja Polski na łamach „Kultury" 1947-1976

Antologia tekstów zamieszczanych w *Kulturze* w okresie 1947-1976, opracowana przez Grażynę Pomian, w sposób istotny uzupełnia opublikowane w ciągu ostatnich lat monografie oraz inne opracowania dotyczące dorobku Instytutu Literackiego. Sam pomysł wydaje się godny pochwały, gdyż oprócz wyboru artykułów Juliusza Mieroszewskiego

(którego dokonał Rafał Habielski) czytelnik polski do tej pory nie miał okazji zapoznać się z tekstami drukowanymi na łamach *Kultury* na przestrzeni kilkudziesięciu lat.

Prawidłowością związaną z przygotowywaniem antologii różnego typu jest subiektywizm autorów. Zależnie zatem od przyjętego klucza można na podstawie tego samego materiału tworzyć najrozmaitsze kompozycje. Przy założeniu, że omawiana antologia (zgodnie ze swoim tytułem) miała ukazać przede wszystkim wizję Polski, jaka wyłaniała się z publicystyki autorów *Kultury* w przyjętym okresie, trafne wydaje się zawężenie tematu do kwestii społeczno-politycznych przemian w kraju (co wiązało się z pominięciem problematyki literackiej, stosunku do emigracji „londyńskiej", spraw polityki międzynarodowej itd.). Wybrane działy tematyczne unaoczniają czytelnikowi, w jak wielu aspektach analizowano na łamach miesięcznika J. Giedroycia skomplikowaną rzeczywistość Polski Ludowej. Rozdziały „Kościół a współczesność" oraz „Swoi i obcy", poprzedzone interesującym wprowadzeniem G. Pomian, są chyba pierwszymi próbami analizy stosunku środowiska *Kultury* do kwestii religii i antysemityzmu. W dotychczasowych publikacjach dotyczących zainteresowań zespołu pisma w zasadzie pomijano tę problematykę, albo ograniczano się do krótkich wzmianek.

Pewne wątpliwości budzi jednak wybór konkretnych artykułów zamieszczonych w innych rozdziałach. Autorka zastrzega we wstępie, iż pomimo ograniczeń tematycznych, starała się ukazać całe spektrum poglądów politycznych reprezentowanych w *Kulturze*. Nie chciała ograniczać się do tekstów najważniejszych współpracowników pisma. Dzięki temu czytelnik faktycznie może zapoznać się z wypowiedziami wielu autorów, często sprzecznymi ze sobą.

Wiadomo jednak, że to Jerzy Giedroyc od samego początku praktycznie sam tworzył linię redakcyjną pisma. Swoje poglądy wyrażał poprzez publicystykę swoich współpracowników, sam nie pisząc praktycznie żadnych tekstów. W tej sytuacji należało niewątpliwie zwrócić większą uwagę na rzadko zamieszczane (choć w sumie w analizowanym okresie kilkunastokrotnie) rozmaite oświadczenia czy apele sygnowane najczęściej określeniem „Redakcja" (których autorami byli głównie Giedroyc i Mieroszewski). Na najważniejsze

z nich powoływało się wielu autorów piszących o *Kulturze* i dla znawców tematu są one na ogół dobrze znane. Antologia jest jednak adresowana do o wiele szerszego grona czytelniczego (o czym wspomina sama G. Pomian). Przy takim założeniu rezygnacja z zamieszczenia w omawianej publikacji tekstów wyrażających praktycznie wprost linię polityczną pisma nie stanowi chyba najlepszego posunięcia.

Już chociażby oświadczenia redakcji otwierające pierwszy oraz 2/3 numer pisma z 1947 roku dają lapidarne, aczkolwiek bardzo trafne określenie celów zespołu *Kultury*, których realizacją zajmować się miał przez kilkadziesiąt lat (Karol Jonca określił treść tych materiałów wręcz mianem politycznego *credo* środowiska Instytutu Literackiego). Z innych tekstów, których obecność w antologii byłaby raczej niezbędna, wymienić trzeba oświadczenie Redaktora wyjaśniające przyczyny opublikowania głośnego artykułu A. Janty pt. „Wracam z Polski", wstęp Redakcji do pierwszego numeru tzw. zeszytów krajowych *Kultury*, oświadczenie z okazji 20-lecia pisma (nr 5/67; znajdziemy w nim syntetyczne podsumowanie dotychczasowych poszukiwań ideowych środowiska J. Giedroycia i projekt działań na kolejne lata) oraz trzy ważne teksty z 1968 roku (dwa „Apele *Kultury*" oraz niepodpisany artykuł pt. „Za nasz i wasz ... stalinizm").

Drugą sferą potraktowaną „po macoszemu" przez G. Pomian jest publicystyka J. Mieroszewskiego. Jego artykuły są co prawda obecne w antologii, ale (pomimo uwagi autorki, że świadomie ograniczyła obecność materiałów pisanych przez Londyńczyka, aby jej praca nie stała się kolejnym wyborem jego tekstów) jest ich stanowczo za mało. Był on przecież najbliższym współpracownikiem J. Giedroycia, właściwie współtwórcą linii politycznej *Kultury* w okresie jej największej świetności. Bardzo wiele jego tekstów miało charakter programowy i dlatego ich obecność w antologii wydaje się wręcz niezbędna.

W rozdziale „Inteligent w Polsce Ludowej" brakuje głośnego artykułu Mieroszewskiego pt. „Dramat polskich klerków" z 1955 roku, krytykującego bierną czy kolaborancką postawę intelektualistów polskich wobec reżymu komunistycznego. W ramach „Ocen i prognoz" można było zamieścić takie artykuły jak np. „Karty na stół", wstęp do „Przemówienia Wł. Gomułki na VIII Plenum 21.10.1956" (w którym udziela symbolicznego kredytu zaufania nowemu sekretarzowi PZPR), „ABC polskiej sytuacji", „Strona bierna" (tekst o koncepcji ewolucjonizmu), „ABC polityki *Kultury*", „Dyskusja z Kuroniem i Modzelewskim" oraz bardzo istotny programowo tekst „Ewolucja czy rewolucja" z 1968 roku.

Bez wyżej wymienionych materiałów antologia opracowana przez Grażynę Pomian wydaje się niestety niepełna. Czytelnikom mało zorientowanym w temacie nie dano szansy poznania bardzo istotnych tekstów, prezentujących (zgodnie z tytułem antologii) proces kształtowania się na łamach pisma J. Giedroycia określonej wizji Polski.

Pomimo tego, pracę G. Pomian należy ocenić zdecydowanie pozytywnie, gdyż stanowi jedno z ważniejszych i ciekawszych opracowań dotyczących historii *Kultury* z okresu 1947-76. Należałoby w związku z tym oczekiwać na dalsze tomy antologii, dotyczące kolejnego okresu (tzn. po 1976 roku). Popularyzowanie wiedzy o dorobku Instytutu Literackiego wydaje się bowiem niezbędne w sytuacji, gdy tak wielu polityków czy publicystów uważa się za ideowych uczniów J. Giedroycia, podczas kiedy faktycznie znajomość myśli politycznej *Kultury* jest niezbyt duża, nawet w kręgach określających się mianem elit.

Mikołaj TYRCHAN

Dedal i Ikar

Prezentację tej książki zacznijmy od słów jej autora: „'Skrzydło Dedala' nie jest żadną próbą syntezy dziejów powojennej literatury ukraińskiej. Mój zamiar był daleko skromniejszy. Zapisać to, czego dowiedziałem się, co przemyślałem na temat poezji i kultury naszego sąsiada. Przedkładam więc książkę wynikającą z osobistych fascynacji, być może niekiedy zbyt

upraszczającą kwestie historyczne, skromną w interpretacjach dzieł, zapewne pomijającą wiele istotnych zjawisk."

Autor książki „Dedal i Ikar", Bogusław Bakuła, poznański polonista, jest znany czytelnikom *Kultury*, przede wszystkim z tekstów i rozmów o poezji ukraińskiej, prezentowanych na jej łamach w latach 1990-1995. Początki jego zainteresowań niezależną kulturą ukraińską przypadają na koniec lat osiemdziesiątych, kiedy to w podziemnych pismach poznańskich – *Obserwatorze Wielkopolskim* i *Czasie Kultury* – ukazały się przekłady poezji Wasyla Stusa. Publikacja ta zbiegła się z prezentacją przekładów Wiktora Woroszylskiego (polska edycja pisma ukraińskiej inteligencji *Zustriczi*, 1988), co świadczy o tym, jak ważną sprawą było wówczas przybliżenie polskiemu czytelnikowi twórczości tego legendarnego i tragicznego poety.

„Skrzydło Dedala", to książka już w samym tytule nawiązująca do mitu, przedstawia wizję poezji ukraińskiej, wchodzącej w epokę wolności. Fascynacja kulturą ukraińską wyraźnie przejawiająca się na stronicach tej opowieści o przeobrażeniach ostatnich dziesięcioleci, to rzecz wciąż jeszcze rzadko spotykana wśród ludzi spoza wąskiego kręgu ukrainistów. Pomimo że autor podkreśla subiektywizm ujęcia zarówno konstrukcją książki, jak i deklaracją w przedmowie, obraz, który otrzymujemy, jest daleko bardziej obiektywny niż ten znany z „naukowych" opracowań.

Bakuła zdołał zaprezentować nie tylko najważniejsze postaci współczesnej ukraińskiej poezji, ale i ich losy, czasami niezwykle zawiłe. Ogromną wartością tej książki są zamieszczone w niej zapisy rozmów, zwłaszcza z Iwanem Dziubą, niekwestionowanym liderem pokolenia lat sześćdziesiątych.

Bardzo poważnym mankamentem książki jest natomiast jej warsztat naukowy. Bibliografia jest niepełna, indeks nazwisk to katalog błędów, transkrypcja ukraińskich nazwisk – niekiedy kuriozalna. Mam wrażenie, że w ostatnich latach to standard w publikacjach naukowych dotyczących Ukrainy; rażące błędy popełniają nawet uznani specjaliści.

Omówienie mankamentów należy zacząć od kwestii tak podstawowej, jaką jest transkrypcja. Każdy filolog wie, rzecz jasna, że podstawą muszą być zasady podawane przez słownik ortograficzny. Bogusław Bakuła oparł się na najnowszym wydaniu – „Nowym słowniku ortograficznym PWN wraz z zasadami pisowni i interpunkcji". Mimo to jednak nie uniknął najbardziej podstawowych błędów: Kasjanow, autor podstawowej monografii o ruchu dysydenckim na Ukrainie w książce figuruje raz jako

Kasianow, innym razem (w bibliografii) – jako Kaśianow (!). Zupełny brak konsekwencji w transkrypcji widać na przykładzie Swiatosława Karawanskiego, który raz występuje jako Karawańsky (w bibliografii), innym razem jako Karawanski (w tekście), w brzmieniu fonetycznym zaś (obowiązującym w bibliografii) jako Karawańskyj.

Inny problem wynika przy okazji nazwiska najwybitniejszego pisarza młodego pokolenia, Jurija Andruchowicza. W książce konsekwentnie zapisano go właśnie w ten sposób (zgodnie z zasadami słownika ortograficznego). Jednocześnie jednak tych samych zasad nie zastosowano do nazwisk z tą samą końcówką -ycz/-icz: Antonycz, Hordasewycz. W tym przypadku zarzut dotyczy nie tyle wyraźnego braku konsekwencji, ile samej zasady, narzuconej przez słownik.

Przy tej okazji warto zwrócić uwagę także na brak konsekwencji w zapisie imion: mamy Jurija, nie Jerzego, ale Mirona zamiast Myrona.

Powyższe zarzuty mogą się wydać banalne, gdyż nie wpływają na zasadniczą wartość książki. Inaczej jednak jest z konstrukcją indeksu. Otóż wydaje się niecelowe, delikatnie rzecz ujmując, umieszczanie w indeksie nazwisk JEZUSA CHRYSTUSA. Trudno także zgadnąć, po co wprowadzać do indeksu nazwiska, które pojawiają się jedynie w przypisach. Jedno z nich *nota bene* naprowadziło mnie na trop kolejnej pomyłki faktycznej. Otóż Stefan Kozak, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, postać chyba najbardziej zasłużona dla ukrainistyki polskiej, figuruje w indeksie, co oczywiście nikogo nie powinno dziwić. Dziwi natomiast, że – poza jednym przypadkiem – odsyłacz indeksu prowadzi nas do jednego i tego samego adresu wydawniczego, mianowicie „Antologii poezji ukraińskiej" Nieuważnego i Pleśniarowicza, do której Stefan Kozak napisał wstęp. Nie przeprowadził on natomiast rozmowy z Ihorem Kałyncem dla *Literaturnej Ukrajiny* w 1991 r., jak wynika z indeksu Bakuły. Zapewne pomyłkę spowodowała zbieżność inicjałów Serhija Kozaka, redaktora tej poczytnej gazety oraz Stefana Kozaka. Można powiedzieć, że pomyłka nie zasługuje na uwagę. Jednakże nie powinna ona umknąć temu, kto zajmuje się, bodaj pobieżnie, twórczością Kałyncia, a przecież Bogusław Bakuła do tych osób należy, że przypomnę tu esej opublikowany na łamach *Kultury* na początku lat 90-tych („Poezja ukraińskich 'nieobecnych'. Wasyl Stus – Ihor Kałyneć", *Kultura* 1992 nr 6).

Pozostając przy polskich ukrainistach, dziwi też nieumieszczenie w bibliografii publikacji Agnieszki Korniejenko doty-

cących współczesnej sytuacji w literaturze ukraińskiej, zwłaszcza jej rozmów z wybitnymi pisarzami i krytykami („Jest Chrystus i jest Judasz", *Kresy* 1994 nr 19).

Sporo jest także pomyłek wynikających z odczytywania po rosyjsku ukraińskiego tekstu, jak np. tytułu artykułu Ołeksandry (nie Oksany, jak błędnie podaje Bakuła) Czernenko (s. 358). „Nowoje duchowne switowidczuwannia" (zamiast nowe); Sałyga zamiast Sałyha i in. Z jednym wyjątkiem, uczynionym dla metropolity Szeptyckiego, który w indeksie został jak najbardziej ukraińskim Andrijem, jak zwyczajna świecka osoba, zamiast Andrejem, jak to jest przyjęte w przypadku osób duchownych. Przy okazji „rosyjskich" błędów napomknę o Gajdarze, który miał na imię Jegor, nie Igor.

Równie dużo zastrzeżeń mam do bibliografii; autor niejednokrotnie nie podaje pierwodruku, powołując się jedynie na przedruki z lat dziewięćdziesiątych (np. Serhij Jefremow, „Istorija ukrajińskoho pyśmenstwa", Kyjiw 1995), tymczasem książka ukazała się po raz pierwszy jeszcze na początku wieku, następnie w 1919 r., potem ukazało się uzupełnione i poprawione wydanie już za czasów sowieckich (1924), reedycji dokonał Ołeksa Horbacz (1989). Nie wiadomo zresztą, dlaczego Jefremow znalazł się w tej bibliografii (*nota bene* znowu „z rosyjska" pod „E", zamiast pod „J"), Czyżewski zaś, którego tak wychwala Bakuła jako autora jedynego (!) niemarksistowskiego ujęcia historii literatury ukraińskiej – nie.

W bibliografii brak podstawowych prac z dziedziny, którą zajmuje się autor. Nie dotyczy to jedynie prac historyczno-literackich i krytycznych, ale i tomów poetyckich. Autor wymienia np. zbiory poezji Pawłyczki tylko z lat 90-tych, podobnie postępuje z Winhranowskim i Draczem. Wymienia się wiele zupełnie podrzędnych pozycji krytyczno-literackich, a brakuje najważniejszych esejów Swerstiuka. W bibliografii jest Andrij Bondar, świetny, ale początkujący poeta, nie ma natomiast Jurija Andruchowycza; są dwa tomiki Neboraka – „Alter ego" i „Powernennia w Leopolis", ale nie ma tego, który zrewolucjonizował ukraińską poezję: „Litajucza hołowa" (1990).

Dziwią także niektóre zabiegi Bogusława Bakuły, stosowane w tekście autorskim, jak na przykład dwustronicowe omówienie artykułu Bohdana Rubczaka „Ponieważ nie mamy czasu", zapewne ważnego w 1990 r., kiedy był po raz pierwszy opublikowany na Ukrainie, przedrukowanego w całości na łamach *Literatury na świecie*, 1995 nr 10 (s. 312-314).

Nie sposób też zgodzić się z wieloma sądami, zwłaszcza

tymi, które dotyczą najnowszej poezji ukraińskiej. Autor używa określenia neoawangarda dla Bu-Ba-Bu, Propałej Hramoty, Łuhosadu, co było normą na początku lat 90-tych, a jednocześnie twierdzi, że wiersze poetów Łuhosadu (...) są ostentacyjnie tradycyjne (s. 323). Ani jedno, ani drugie stwierdzenie nie jest jednak zgodne z prawdą. Bakuła pisze też o futurystycznym stosunku do tradycji prezentowanym przez Bu-Ba-Bu (s. 315), idąc zapewne w ślad za artykułem Hałyny Czernysz z początku lat 90-tych, kiedy na podstawie jednego zbiorku Neboraka można było wysnuć taki wniosek. Jednocześnie jednak mówi o barokowości Andruchowycza, co w żaden sposób nie koresponduje z poprzednią tezą o futuryzmie. Protest budzi także zestawianie poezji Andruchowycza z Grochowiakiem. Nie chodzi mi o estetykę brzydoty, czy też o to, co Rosjanie nazywają „czornuchą" (s. 316), lecz o zupełnie odmienną poetykę tych twórców, jak też nieporównywalną ich rangę.

Przy okazji omawiania twórczości bubabistów, Bakuła stwierdza, że „Lubit' Ukrajinu" Wołodymyra Sosiury uważano nieomal za hymn narodowy. Tymczasem u Irwancia, który sparodiował ten utwór, to po prostu reakcja na nadmierną eksploatację tematu „zapomnianych", „zabronionych", zwłaszcza, że idzie o poetę, który tak naprawdę nigdy zabroniony nie był, a ostracyzmowi poddano go chwilowo za ten właśnie utwór. Ma rację jednak autor, kiedy twierdzi, że była to parodia liryki zaangażowanej (s. 317).

Największym zarzutem wobec ostatniego rozdziału, traktującego o przełomie wolnościowym i przełomie w poezji lat 80-90, jest nierozpoznanie prawdziwych talentów – Bakuła zwraca uwagę na Rostysława Melnykowa z charkowskiej „Czerwonej Fury", pomija zaś członka tegoż ugrupowania, Serhija Żadana – obok wspomnianego już Andrija Bondara największej osobowości poetyckiej lat 90-tych. Natomiast Wasyl Machno, poeta najwyżej trzeciorzędny, urasta do rangi głównego przedstawiciela tej generacji (s. 327), wielkiego zwolennika klasycyzmu, ucznia Herberta i Czesława Miłosza (poezje Herberta i Miłosza wydane przez Machna trudno w ogóle określić mianem przekładu).

Sporo merytorycznych zastrzeżeń mam także wobec prezentacji postaci wywiadów. Mykoła Żułynski np. według Bakuły „jako jeden z pierwszych przypomniał zakazane postacie ukraińskiej literatury XX wieku" (s. 330). Tymczasem Żułynski swoją antologią, o której mowa w nocie (nie książką autorską!!) idzie w ślad za znaną antologią Jurija Ławrinenki „Rozstrilane widrodżennia", opublikowaną w Instytucie Literackim. Dziuba według Bakuły jest autorem licznych prac z krytyki literatury i

życia kulturalnego Ukrainy, m.in. „Internacionalizm czy rusyfikacija", München 1968; „Kawkaz Tarasa Szewczenko", Kyjiw 1996, „Internacjonalizm" naprawdę trudno zaliczyć do krytyki literackiej. To podstawowa praca politologiczna, jaka pojawiła się w środowisku ukraińskich dysydentów.

Trudno też pisać o Paradżanowie i nie wspomnieć najważniejszej książki, wydanej na Ukrainie (Serhij Paradżanow, „Złet, tragedija, wicznist'", Kyjiw 1994), umieszczać jako współautora scenariusza „Cienia zapomnianych przodków" Ormianina Czendelę (swoją drogą ciekawe, jaki Ormianin może się tak nazywać), zapominając o Iwanie Czendeju, swego czasu (tzn. do zakazu druku) głośnym noweliście, faktycznym autorze scenariusza. A przecież w tytule scenariusza wyraźnie napisano: „Iwan Czendej za uczastiu Serhija Paradżanowa" (tzn. przy współudziale). Bakuła pisze o tym, że film zbierał nagrody (s. 79), ale brakuje tu konkretów, tzn. pierwszego miejsca na argentyńskim festiwalu (1964), co spowodowało, że film jednak dopuszczono do kin. Mowa o politycznej wrzawie po pokazie (s. 79), ale nic na temat tego, że film był od początku niechcianym dzieckiem, a najwięcej złego uczynili nie tyle partyjni stróże, ile uznani literaci parający się filmem (w szczególności np. Wasyl Zemlak).

Niezwykle kontrowersyjnego, czy ściślej rzecz biorąc skandalicznie niekompetentnego, lecz obszernie omówionego artykułu Wasyla Iwaszki „Mit o Stusie jako lustro pokolenia '60" (*Switowyd* 1994 nr 3) Bakuła nie ustawia w odpowiednim świetle; zdaje się wierzyć autorowi, iż Stus istotnie jest atutem w walce o należne miejsce w literaturze wybitnych postaci w kraju i na emigracji (swoją drogą to ciekawe, o jakie miejsce może zabiegać patriarcha ukraińskiej krytyki, Jurij Szewelow). Wzburzył mnie zwłaszcza brak komentarza do określenia Jewhena Swerstiuka, jako osoby przynależnej do „dynastii malarzy" spreparowanego mitu Stusa lub „apostoła" Stusa (s. 211). Spory o Stusa i jego poezję rzeczywiście nabierają chwilami charakteru sporu pokoleniowego, ale istotny jest w nich podział nie tyle wiekowy, ile światopoglądowy.

Podkreślam jednak, że nie wytykam autorowi jego sposobu postrzegania literatury ukraińskiej, pomijania istotnych zjawisk czy też skromnej interpretacji dzieł (takie obawy wyraził on w zakończeniu). Największą wadą tej książki są jej błędy merytoryczne, nie interpretacyjne. A największą wartością – pasja, z jaką ukazuje nam autor współczesne problemy najbliższych sąsiadów.

Ola HNATIUK

Wyzwania XXI wieku

Nie ma wątpliwości, że obecny moment historyczny otwiera przed Polską szansę jakiej nie mieliśmy przez stulecia. Nic dziwnego, że w dyskusjach nad strategią polityczną i gospodarczą ujawniają się zarówno nadzieje jak i obawy. Dzisiejsze błędy będą znacznie bardziej brzemienne w skutkach, aniżeli błędy polityków popełnione w okresach zastoju. Polityków oskarża się często o partyjniactwo, prywatę i krótkowzroczność. Prawdą jest, że spory o strategię giną często w zgiełku partyjnych kłótni. Z tego punktu widzenia cieszy każda książka, której autor poszukuje odpowiedzi na pytanie o priorytety wynikające z sytuacji wewnętrznej Polski oraz w obliczu konieczności przystosowania się do zewnętrznego świata.

Właśnie dostałem książkę wykładowcy warszawskiej Wyższej Szkoły Handlu i Prawa, Zygmunta Królaka, pod bardzo ambitnym tytułem: „Polska wobec wyzwań XXI wieku". Autor, ekonomista specjalizujący się w problemach międzynarodowych finansów, próbuje ułożyć taką listę priorytetów i podobnie jak wielu innych, na pierwszym miejscu plasuje oświatę i rozwój nauki, a więc dziedziny, na których w ostatniej dekadzie kolejne rządy robiły gwałtownie oszczędności. Królak, kwestionując politykę opartą na wskazaniach monetarystów stwierdza, że nadmierny lęk przed inflacją prowadzi obecnie do dramatycznych zaniedbań w rozwoju polskiej nauki, do odkładania ważnych projektów w dziedzinie tworzenia infrastruktury, do osłabiania polskiego eksportu, a wreszcie do dominacji zagranicznego kapitału spekulacyjnego nad kapitałem inwestycyjnym. Nie tylko – pisze autor – przyznane Polsce środki pomocowe z Unii Europejskiej są stosunkowo mniejsze niż dla innych państw stowarzyszonych, ale wykorzystanie tych środków jest skandalicznie niskie. Jest to związane zarówno z niedomogami organizacyjnymi i kiepską umiejętnością przygotowywania projektów, ale również z niechęcią do angażowania środków budżetowych we współfinansowanie inwestycji z unijnych środków.

Tak często wychwalane osiągnięcia polskiej gospodarki, istotne są raczej z punktu widzenia krótkofalowego rozwoju, z chwilą jednak kiedy myślimy w perspektywie dwudziestu, trzydziestu lat, dzisiejsze oszczędności na oświacie, rozwoju

nauki, na odwlekaniu budowy autostrad, regulacji rzek, itp. dramatycznie wydłużą proces integracji Polski z europejskim rynkiem. Dzisiejsza walka o zredukowanie do zera zadłużenia publicznego jest – zdaniem Zygmunta Królaka – pomyleniem priorytetów. Zabiegi o utrzymanie silnej złotówki to zachęcanie do ciągłego wzrostu importu, bariera dla polskiego eksportu i nadmierny wzrost rezerw walutowych. W sytuacji, w której Polska próbuje jak najszybciej włączyć się do europejskiego rynku, jest to ponownie wątpliwy priorytet.

Z wieloma stwierdzeniami Zygmunta Królaka łatwo się zgodzić, niestety, czasami prosiło by się o więcej materiału dowodowego, czy o rozwinięcie myśli pokrótce cytowanych autorów. Wiele cytatów pełni raczej funkcję ozdobników. Deklaracje polityków przyjmowane są nazbyt często za dobrą monetę. Jest wiele zbędnych powtórzeń.

Mimo tych uwag krytycznych, jest to książka, po którą warto sięgnąć, gdyż problem dzisiejszych priorytetów wobec wyzwań nadchodzących dziesięcioleci skupia naszą uwagę w zdecydowanie zbyt małym stopniu. W sporach o długofalową strategię nigdy nie mamy pewności, które argumenty okażą się słuszne, najgorzej jest jednak, kiedy te strategie dyktowane są przez polityków przekonanych, że wszelka dyskusja jest zbędna.

A.K.

Zygmunt Królak: „Polska wobec wyzwań XXI wieku", Warszawa 1999 r. Nakładem własnym autora.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

13.01.
Zmarła w Wilnie w wieku 84 lat Irena Rymowicz – założycielka Polskiego Teatru w Wilnie i długoletni dyrektor tej sceny.

15.01.
Zmarła w Warszawie w wieku 73 lat Ewa Fiszer, poetka i tłumaczka.

22.01.
Zmarł w Poznaniu w wieku 86 lat Egon Naganowski, wybitny pisarz, eseista i tłumacz. ■ Wystawa „W litewskim zwierciadle", zorganizowana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie, została zamknięta. Zapoczątkowała ona cykl wystaw „Nasi sąsiedzi – nowe spojrzenie". Na wystawę składają się mapy, rysunki i fotografie, w pierwszym rzędzie książki, a więc najdawniejsze piśmiennictwo dotyczące minionych wieków, publikacje naukowe wydane w PRL w latach 1945-1989, oraz dorobek polskiej emigracji. Zaprezentowano również druki wydane przez podziemne inicjatywy wydawnicze po 1976 r.

25.01.
W Domu Literatury w Warszawie miał miejsce wieczór autorski Bolesława Taborskiego. Słowo wstępne wygłosił Leszek Szaruga, wiersze czytał Krzysztof Kolberger.

26.01.
Prezydent Aleksander Łukaszenko i p.o. prezydenta Rosji, Władimir Putin powołali do życia ZBiR – Związek Białorusi i Rosji. Przewodniczącym Związkowej Rady Państwa został Łukaszenko.

31.01.
W PEN-Clubie w Warszawie odbył się wieczór pamięci Juliusza Żuławskiego, prezesa Polskiego PEN-Clubu w latach 1978-1990, prezesa honorowego 1991-98.

1.02.
Rosyjski PEN-Club podjął się zorganizowania 67 Światowego Kongresu PEN-Clubów w Moskwie w 2000 r.

10.02.
Zmarł w Warszawie w wieku 59 lat Andrzej Zakrzewski, historyk, prawnik i publicysta, minister kultury i sztuki.

18.02.
W Państwowej Galerii Sztuki w Toruniu została otwarta wystawa prac Mariana Kościałkowskiego (1914-1977) ze zbiorów Archiwum Emigracji Biblioteki UMK w Toruniu.

ZACHÓD

9.01.
Zmarł w Monachium w wieku 94 lat Stanisław Mikiciuk, oficer AK, prezes Koła SPK w Monachium, prezes PSL „Wolność" w Niemczech. Stanisław Mikiciuk był wieloletnim przedstawicielem Kultury w Niemczech.

11.01.
W Stacji Naukowej PAN w Paryżu z udziałem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbył się odczyt prof. Zdzisława Chmielewskiego, rektora Uniwersytetu Szczecińskiego, na temat „Od Akademii Handlowej do Uniwersytetu Szczecińskiego – obecność szkół wyższych w intelektualnych przeobrażeniach Szczecina po 1945 r.".

21.01.
W Instytucie Polskim w Paryżu miał miejsce wieczór poświęcony poezji Haliny Poświatowskiej (1935-1967).

24.01.
Zmarł w Londynie Antoni Czułowski, b. dyrektor Polskiej Fundacji Kulturalnej oraz b. zastępca redaktora naczelnego *Dziennika Polskiego*. Przez wiele lat działał w Polskiej Macierzy Szkolnej.

28.01.
W Centre du Dialogue w Paryżu Ewa Kuryluk wygłosiła odczyt „O kulturze austriackiej XX wieku – wiedeńska Apokalipsa".

31.01.
Według oświadczenia Andrzeja Niewęgłowskiego, wiceprezesa Towarzystwa Opieki nad Polskimi Zabytkami i Grobami Historycznymi we Francji, huragan, który nawiedził Francję 26-go grudnia ub.r. spowodował ogromne straty również na cmentarzach paryskich, polskie groby nie ucierpiały z wyjątkiem neogotyckiej kaplicy Marii Potockiej na cmentarzu Montmartre. Jest ona obecnie w trakcie remontu.

1.02.
W Stacji Naukowej PAN w Paryżu miał miejsce odczyt prof. Stanisława Niciei, rektora Uniwersytetu Opolskiego, na temat „Lwów w kulturze europejskiej".

4.02.
Stowarzyszenie Polskie w Genewie zorganizowało odczyt prof. Dariusza Rosatiego – członka Rady Polityki Pieniężnej i b. ministra spraw zagranicznych na temat „Zagadnienia stojące przed polską polityką zagraniczną".

11.02.
W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbył się odczyt Heleny Kolanowskiej pt. „Malezja i Indonezja: od Kuala Lumpuru do Bali". Natomiast 24-go lutego Henryk Grabowski wygłosił odczyt „Losy dwóch pokoleń emigracji polskiej we Francji".

14.02.
W Musée d'Orsay w Paryżu została otwarta wystawa Jacka Malczewskiego (1854-1929). Wystawa będzie trwała do 14-go maja.

15.02.
Uniwersytet Paris-Sorbonne i Stacja Naukowa PAN w Paryżu zorganizowały wieczór poświęcony pamięci Aleksandra Gieysztora.

16.02.
W Bibliotece Polskiej w Paryżu pod przewodnictwem prof. Jerzego Kłoczowskiego miała miejsce dyskusja na temat „Polska i Ukraina na początku trzeciego tysiąclecia", z udziałem Claude'a Sardais, przewodniczącego Fundacji France-Pologne i Michela Malherbe, przewodniczącego Klubu Kijowskiego.

17.02.
W Stacji Naukowej PAN w Paryżu prof. Uniwersytetu Warszawskiego Karol Modzelewski wygłosił odczyt „Stan wojenny 1981 r. w oczach historyków i uczestników".

Listy do Redakcji

Ingelheim, 8 lutego 2000

Szanowny Panie Redaktorze,

Z zainteresowaniem przeczytałem recenzję p. Tomasza Mianowicza o książce autorstwa p. Zenobiusza Kozika pt. „Niemcy w NRD a polskie kryzysy 1956 i 1980-81" („NRD – sąsiad nieznany", *Kultura,* nr 1/628-2/629, 2000, str. 181).

T. Mianowicz w swej recenzji docenia wprawdzie dużą wartość podjętego przez p. Kozika tematu, ale równocześnie krytykuje braki lub nieścisłości faktograficzne książki i „zasady polskiej składni, gramatyki i ortografii, o interpunkcji nie wspominając".

Być może T. Mianowicz nie zna biografii „naukowej" p. Kozika. A kariera tego „luminarza" nauki może być przynajmniej częściowym wytłumaczeniem niedociągnięć książki opisanych przez autora recenzji.

Pracy Zenobiusza Kozika nie czytałem, ale znam autora tej książki z własnych doświadczeń. Pan Z. Kozik należał do grona tzw. „pomarcowych docentów". Pojawił się na mojej macierzystej uczelni, Akademii Medycznej w Krakowie (dawny i obecny Wydział Lekarski UJ), w roku 1969 jako przysłany przez partię indoktrynator (kierownik Zakładu Nauk Politycznych). Od pierwszego zetknięcia z nim miało się wrażenie, że nie jest on „orłem" intelektualnym, a sposób jego zachowywania się i bycia (np. w czasie przyjmowania studentów kładł swoje nogi na stole) pozostawiał wiele do życzenia. Gramatyka, interpunkcja, zasady budowania poprawnych zdań były już wtedy jego problemem (którego sam pewno nie zauważał). Przez nas studentów był po prostu uważany za prostaka i człowieka w pewnym sensie ograniczonego umysłowo, który usiłował przedstawiać siebie jako intelektualistę. Był po prostu jednym z wielu mu podobnych przedstawicieli „intelektualistów" partyjnych, których nikt z nas nie brał poważnie.

Do tego dochodziła duża dawka arogancji, którą wtedy zwykle demonstrowały osoby cieszące się poparciem partyjnym i które w związku z tym miały pewność zrobienia tzw. „kariery". Na pierwszym wykładzie w 1969 roku (wykłady były obowiązkowe) ówczesny mgr Kozik oświadczył nam: nazywam się Kozik, Zenobiusz Kozik, magister Zenobiusz Kozik, na razie tylko magister. I miał p. Kozik rację. Bo gdy w 1969 r. wpisywaliśmy do indeksu tytuł „tylko" magistra, to już rok później pan magister był doktorem, a po dalszym roku nawet docentem. Załączam kopie z mojego indeksu, które w sekwencjach czasowych pokazują błyskawiczną karierę p. Kozika.

Ten człowiek był chyba do tego stopnia ograniczony intelektualnie (a równocześnie zadufany w sobie), że nie był w stanie zorientować się w tym, że postanowiłem zdać obowiązkowy egzamin z nauk politycznych „trickiem". Zgłosiłem się przed sesją egzaminacyjną z zamiarem zdawania egzaminu przedterminowo, czym w

jego mniemaniu podkreślałem ważność jego misji i niesłychane znaczenie wykładanego przez niego przedmiotu. P. Kozik był niezwykle podniecony i ucieszony faktem, że ktoś „wprost pała chęcią" zdawania u niego egzaminu. Przyznaję się szczerze, że z jego bałamutnych wykładów nic nie wiedziałem. Pomimo tego trick się udał. Na pytanie p. Kozika, jaka literatura mnie najbardziej interesuje, wykrzyknąłem: „Dzieła Lenina" (a był to rok 1970, czyli stulecie urodzin Lenina, gdzie nawet w wystawie księgarni medycznej w Krakowie leżało pełno książek o Włodzimierzu Uljanowie). Wobec takiego obrotu sprawy nie wypadało partyjnemu indoktrynatorowi stawiać mi żadnych innych pytań dodatkowych, i p. Kozik wpisał do mojego indeksu ocenę „bardzo dobry". Pożegnał mnie bardzo wzruszony z zaznaczeniem, że jest dumny z poznania młodego medyka, który pomimo swojej młodości i profesji wie, która ideologia jest „światłem ludzkości". Załączam również kopię z indeksu z oceną wpisaną przez p. Kozika. Widać tu wyraźnie, że egzamin odbył się w połowie stycznia 1970 r., czyli około 2 tygodnie przed regularną sesją egzaminacyjną. Na pewno byli studenci p. Kozika mogliby dodać tutaj cały szereg podobnych anegdot dotyczących tego „luminarza" nauki.

Ponieważ w połowie lat 70-tych teren Akademii Medycznej nie mógł być dalej zadowalający dla tak wspaniałego marksistowskiego naukowca jak p. doc. Kozik, przeniesiono go więc do Warszawy na stanowisko zastępcy dyrektora lub też dyrektora Instytutu Marksizmu i Leninizmu przy KC PZPR. W tym czasie straciłem tego wspaniale zapowiadającego się naukowca z oczu, bowiem raj obiecywany tak gorliwie przez niego nie był tym rajem w którym ja chciałem żyć. W 1977 r. opuściłem PRL.

Czytając recenzję p. T. Mianowicza dziwiłem się przede wszystkim, że autorem książki o takiej tematyce jest nikt inny, ale były partyjny, ideolog i indoktrynator. Być może jest to tylko dalszym świadectwem tego, że niektóre osoby zawsze znajdą metodę i odpowiedni czas „to climb the bandwagon".

Znając jednakże do pewnego stopnia przeszłość p. Kozika nie dziwiło mnie natomiast to, że książka wydaje się mieć dużo problemów z faktami, a na pewno ma z ortografią, gramatyką, etc. Czego Jaś się nie nauczył, tego Jan nie będzie umiał.

Z wyrazami szacunku

Wacław S. ADAMUS

●

Toronto, 19 stycznia 2000

Szanowny Panie Redaktorze,

Byłem na Święta/Nowy Rok w Polsce. Oto parę uwag:

– Niepokoi mnie fakt, że w Polsce jest dużo ludzi nieuczciwych. Służba celna bierze łapówki, policjanci zatrzymują za przekroczenia

drogowe i każą płacić mandaty bez żadnego pokwitowania. Pisał Pan o tym w *Kulturze*, pisali Smecz i inni. Nic się nie zmienia. Pisano również o tym, że w Warszawie taksówkarze liczą kilkakrotnie więcej niż wynosi taryfa z lotniska do śródmieścia. Mój znajomy, który jest rodowitym Warszawiakiem, sam nigdy nie używa usług taksówkarzy sprzed lotniska lecz zamawia inną taksówkę telefonicznie. Okazuje się, że podobnie jest w innych miastach i to niekoniecznie tylko przy lotniskach. W załączeniu artykuł o praktykach taksówkarzy poznańskich.

Powyższe postępowanie chluby Polsce nie przynosi ale jakoś polskim władzom wcale nie chce się zlikwidować ten problem. A wydaje mi się, że sprawa byłaby prosta – wysłać paru odpowiednio przeszkolonych inspektorów z ukrytym magnetofonem, który nagrywałby rozmowy (w celach dowodów) a następnie za przekroczenia zabierać licencje na taksówki. Wydaje się, że sprawa prosta – niestety nie w Polsce.

Niech Pan alarmuje ile Pan może – praworządność, nieprzekupna policja i sądy są PODSTAWOWĄ PODSTAWĄ każdego demokratycznego państwa.

– Widziałem w telewizji w Polsce reportaż na temat drastycznego spadku turystyki z państw zachodnich. Podobno ceny w hotelach w Polsce są prawie tak jak na Zachodzie ale ze standardem nie tak.

Pokazywali również rozmowę z przewoźnikiem w Zakopanem, liczą sobie „ceny umowne", 40 do 60 zł za parę kilometrów i dziwią się strasznie, że nie ma kandydatów...

– Mała rzecz z cyklu dziwne/zabawne. Otóż byłem w Polsce w tym roku dwa razy, raz w sierpniu drugi raz na końcu roku. W obu wypadkach przylatywałem/wylatywałem z Warszawy. Przy wydawaniu „karty pokładowej" *(boarding pass)*, o ile dany osobnik leci do innego kraju to musi pokazać paszport (ewentualnie z wizą) aby linia lotnicza była pewna, że po wylądowaniu pasażer ma wstęp do danego kraju. Inaczej przewoźnik jest zobowiązany zabrać na własny koszt pasażera z powrotem.

Jestem obywatelem kanadyjskim i jako taki na pytanie o paszport (w Warszawie) dawałem paszport kanadyjski. W obu wypadkach, (raz leciałem Lotem, drugi raz KLMem) po otrzymaniu paszportu kanadyjskiego domagano się ode mnie paszportu polskiego (którego, nie będąc obywatelem polskim, nie posiadam). Za każdym razem było wielkie zdziwienie, że takowego nie posiadam. Podkreślam, że zdarzało się to przy „kasie biletowej" w Warszawie, a nie podczas kontroli paszportu przez policję graniczną.

Dawniej (bywałem parę razy w Polsce po roku 1991) nie było takich dziwnych pytań/zdziwień. Chyba, że ma to coś wspólnego z tym napisem w konsulacie polskim (o którym pisałem w poprzednim liście), że „...Obywatelom polskim wiz nie wydajemy..."

Znajoma pani w Kanadzie, której opowiedziałem o tych dziwnych pytaniach powiedziała mi, że podobno polskie władze od jakiegoś czasu kładą duży nacisk na to aby polscy emigranci ciągle posiadali/brali polskie paszporty. Być może, że wypadki zatrzymywania w Warszawie, o których wspominał Pan Redaktor we wrześniowym 1999 numerze *Kultury* mają coś z tym wspólnego?

W załączeniu kopia artykułu „List z konsulatu RP o paszportach". Na końcu jest uwaga redakcji: „Do tej drażliwej sprawy (i innych spraw wiążących się z traktowaniem Polonii z pogardą przez władze Polski postkomunistycznej) powrócimy."

Nie wiem jeszcze dokładnie o co chodzi, ale o ile ukaże się coś w przyszłości to prześlę kopię do *Kultury*.

Z poważaniem

Jacek HEJNAR

●

Paryż, 17 lutego 2000

Szanowny Panie Redaktorze,

Nawiązuję do „Notatek Redaktora" zamieszczonych w *Kulturze* nr 1/628-2/629. Zaniepokoiła mnie pewna nieścisłość w interpretacji mej wypowiedzi dotyczącej zawieszenia wydawania periodyku *Nasza Rodzina*. Pragnę wyjaśnić, że księża Pallotyni prowadzą działalność na różnych niwach. Miesięcznik *Nasza Rodzina* był tylko jedną z gałęzi tej działalności. Jego zamknięcie w dotychczasowej postaci nie narusza w niczym innych form naszej pracy, a już zupełnie nie dotyczy funkcjonowania ośrodka odczytowego Centre du Dialogue. Przy okazji dziękuję za tak wysoką ocenę roli odegranej dotychczas przez Centre du Dialogue i zapewniam, że nadal zależy nam na odpowiednim poziomie tej instytucji oraz na jej sprawnym funkcjonowaniu.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Ks. Henryk HOSER – SAC

●

2 grudnia 1999

Szanowny Panie Redaktorze:

Uwaga Krzysztofa Wolickiego z numeru 11/1999 *Kultury* na temat wyrzucenia prof. Jana Szyszki z Ministerstwa Ochrony Środowiska raz jeszcze potwierdza smutny stan świadomości ekologicznej nie tylko u obywateli polskich (jak wynika z cytowanego sondażu opinii), ale również u znanych publicystów.

Żadne z jego wystąpień podczas całej kadencji nie wskazuje na to, że p. Szyszko zna się na sprawach ochrony środowiska. Milczał w sprawie igrzysk olimpijskich w Zakopanem podczas gdy wszyscy naukowcy zgodnie twierdzili, że byłyby one katastrofalne dla polskich Tatr. Do ostatniej chwili robił wszystko co możliwe, by zapobiec zrealizowaniu decyzji Rady Ministrów w sprawie powiększenia Narodowego Parku Białowieskiego z początkiem 2000 roku. Biało-

wieża, jedyna pozostała puszcza nizinna w Europie, dalej jest wycinana, choć teraz nazywa się to „cięciami sanitarnymi". Przy zniszczeniu resztki naturalnych lasów obrzegowych, unikatowa różnorodność biologiczna Puszczy nie utrzyma się w małym, bo pokrywającym tylko 16% Puszczy ścisłym rezerwacie.

Dzięki p. Szyszce i jego poparciu dla lobby leśników Lasów Państwowych, uważających się za właścicieli Białowieży i *de facto* decydujących o destrukcji Puszczy dla swoich partykularnych interesów, Polacy wyglądają w oczach świata na barbarzyńców, którzy niszczą swój największy skarb przyrodniczy. P. Szyszko był tak zajęty popieraniem ambicji funkcjonariuszy Lasów Państwowych, że w ciągu ostatnich dwóch lat nie zdołał przygotować aktów prawnych oraz zasad wykorzystania funduszy pomocniczych Unii Europejskich przeznaczonych na ochronę środowiska i absolutnie koniecznych do integracji Polski w struktury europejskie.

Z poważaniem

Ewa JASTRZĘBSKA, profesor biologii
Przewodnicząca Komitetu Ratowania Białowieży

●

28 grudnia 1999

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Bardzo proszę o umieszczenie następującego wyjaśnienia w najbliższym numerze *Kultury*.

W odpowiedzi na odpowiedź Krzysztofa Wolickiego w sprawie referendum z listopadowej *Kultury* Nr 11/626, na stronie 69-70, pozwolę sobie dorzucić kilka uwag: Nie neguję pomysłu referendum krajowego w sprawie przystąpienia Polski do Unii Europejskiej. Będzie to niewątpliwie „decyzja historyczna", której konsekwencje zaważą na kilku pokoleniach Polaków w XXI wieku.

Zupełnie inaczej patrzę na rozstrzyganie o uregulowaniu praw własności w Polsce poprzez głosowanie powszechne, które w rezultacie byłoby pytaniem „czy wolno kraść..." Na marginesie informacji autora „odpowiedzi" w punkcie 3, o rzekomych 50 miliardach złotych, które mieliby zapłacić podatnicy: nie ma takich przewidywań w preliminarzu do projektu ustawy reprywatyzacyjnej Ministerstwa Skarbu. (Wiceminister Krzysztof Łaszkiewicz może to łatwo potwierdzić). Rozchodzi się przede wszystkim o zwrot zagrabionego w czasie II wojny światowej mienia, które dotychczas niszczeje w rękach Skarbu Państwa, lub administracji komunalnej. Zwrot jego prywatnym właścicielom na pewno nie uszczupli budżetu państwowego!

Wreszcie na zakończenie swych wywodów pan Wolicki podkreśla że „byłem tego zdania w PRL i jestem tego zdania w RP." (To znaczy żądania od władzy swoistego dialogu z ludem...) Zapytuję czy był ON tego zdania również w sławetnym REFERENDUM

w roku 1946, w którym „GŁOS LUDU" JEDNOZNACZNIE ZATWIERDZIŁ JEDNĄ Z DECYZJI Stalina o pozbawieniu ponad 60.000 obywateli polskich całego dorobku wielu pokoleń, likwidując na zawsze klasę ziemiańską i związaną z nią kulturę wsi polskiej?

Z poważaniem

Delegat Polskiego Związku Ziemian w USA
Józef Edward KLESZCZYŃSKI

●

Szanowny Panie Redaktorze

Doznałem sporego zdziwienia przy lekturze tekstu pana Andrzeja Koraszewskiego (*Kultura* nr 10/99). Pierwsza część artykułu (ponad połowa całości), poświęcona historii Konkursu Pamięci Polsko-Żydowskiej o Nagrodę im. Dawida Ben Guriona w Płońsku, zawiera wyraźną tendencję polityczną podpartą m.in. błędami merytorycznymi i różnego rodzaju nieścisłościami.

Otóż nie jest prawdą, że Andrzej Pietrasik (główny i jedyny wymieniony z nazwiska płoński bohater artykułu pana Koraszewskiego) był „po upadku komunizmu pierwszym burmistrzem Płońska". W 1990 roku burmistrzem wybrany został Franciszek Gościniak i funkcję tę sprawował przez dwa lata, tj. do chwili, gdy do przejęcia władzy dojrzała frakcja A. Pietrasika. Nieprawdziwa jest też informacja, że A. Pietrasik był nauczycielem, oraz że jest autorem pomysłu wprowadzenia do szkół lekcji z historii regionalnej (lekcje takie zalecało i zaleca MEN – program tzw. „małych ojczyzn").

Faktem jest, że oficjalnie Zarządowi Miasta projekt zorganizowania Konkursu Pamięci Polsko-Żydowskiej przedstawił w 1997 r. A. Pietrasik. Docenić jednak trzeba pomysły i poświęcenie pani Mirosławy Krysiak, kierowniczki Pracowni Dokumentacji Dziejów Miasta, dzięki której – tak naprawdę – ten konkurs zaistniał.

Ożywienie stosunków płońszczan z diasporą żydowską natomiast nastąpiło (i tu nie ma żadnych wątpliwości) znacznie wcześniej niż A. Pietrasik objął urząd burmistrza. Za datę przełomową należałoby uznać rok 1983, kiedy to na byłym cmentarzu żydowskim zniszczonym przez hitlerowców odsłonięto lapidarium wykonane przez płońską rzeźbiarkę, a ufundowane przez społeczeństwo miasta. Potem były uroczyste obchody setnej rocznicy urodzin Ben Guriona (1986) i dość zaawansowane plany budowy w Płońsku ośrodka kultury żydowskiej (hotel, gastronomia, muzeum...). Żydowską przeszłość miasta prezentowano także w czasie Telewizyjnego Turnieju Miast: Płońsk-Rawicz (1988).

Nie jest więc tak, jak chce pan Koraszewski (lub jego informatorzy), że dopiero po 1989 roku i za sprawą A. Pietrasika ujawniona została żydowska historia Płońska. Nie można też chyba przeceniać roli Konkursu Pamięci w poszerzaniu konkretnej wiedzy o

przeszłości miasta. Wśród 115 uczestników z 17 krajów znalazła się tylko jedna osoba z Płońska (osobiście to właśnie uważam za słabość imprezy i notuję in minus). Wywód pana Koraszewskiego o poszukiwaniu „rozrzuconych po świecie byłych mieszkańców Płońska lub ich dzieci" nie znajduje pokrycia w faktach.

I wreszcie sprawa dla mnie najistotniejsza. Zastanawiam się, na jakich faktach autor artykułu oparł twierdzenie, że w drugiej fazie konkursu (realizowanej przez władze z rekomendacji SLD) „zabrakło kurtuazji i umiejętności współdziałania". Osobiście uważam, że właśnie idea konkursu zjednoczyła lewą i prawą stronę lokalnej sceny politycznej. I na Gali, i na imprezach Dni Kultury Polsko-Żydowskiej byli obecni zarówno działacze AWS, jak i SLD (wszyscy liczący się politycy w Płońsku). Prawdą natomiast jest tylko to, że dwóch czy trzech dziennikarzy nie chciało owej współpracy zauważyć. Z przywiązania do „Solidarności" czy A. Pietrasika woleli eksponować „polityczne skłócenie" oraz „żerowanie SLD na pomysłach AWS". Tymczasem aktualne władze miasta przejęły Konkurs Pamięci Polsko-Żydowskiej jeszcze w trakcie przyjmowania prac. Musiały więc powołać jury i zorganizować jego pracę, znaleźć sponsorów nagród, zaplanować i przygotować finał oraz trwające tydzień Dni Kultury Polsko-Żydowskiej (obok programu merytorycznego, trzeba było zadbać o noclegi, wyżywienie, transport... etc.). No i przede wszystkim znaleźć na wszystko pieniądze, bo choć pan A. Pietrasik celował w popularyzacji konkursu, to do finansów jakoś nie miał serca (nie złożone zostały – na przykład – jesienią 1998 roku wnioski o dofinansowanie imprezy). Nie było też tak, jak pisze pan Koraszewski, że „jak konkurs zyskiwał bardziej konkretne kształty powiększały się szeregi ludzi i instytucji gotowych do udzielenia pomocy". Za każdym pozyskanym groszem stoi spory wysiłek organizatorów (rzadko kto dziś sam z siebie daje pieniądze – nawet na najszlachetniejszy cel). Pozwoliłem sobie na powyższe uwagi przez szacunek dla autorytetu, jakim cieszy się pan Jerzy Giedroyc. Przez lata urobiłem sobie przekonanie, że *Kultura* należy do tych nielicznych pism, które nie manipulują faktami, które stać na obiektywizm bez względu na to czy sukces jest dziełem lewicy czy prawicy.

Z wyrazami szacunku

Burmistrz Płońska
Marian MICHNIEWICZ

●

Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam kilka uwag na marginesie listu burmistrza Płońska. Moją główną informatorką była wspomniana w liście p. Michniewicza pani Mirosława Krysiak. Już po otrzymaniu kopii listu burmistrza Płońska powiedziała mi ponownie i z całą stanowczością: „Głównym motorem tego konkursu był Andrzej Pietrasik i bez niego tego konkursu by nie było".

Sprawa nieścisłości dotyczącej burmistrza, sprawującego władzę przed p. Pietrasikiem. Pani Krysiak stwierdza: „Mieszkam w Płońsku od czterech lat, teraz kiedy p. Michniewicz wspomina o nim w liście uświadamiam sobie, że kiedyś o nim słyszałam".

Pan Andrzej Pietrasik jest polonistą, studiował polonistykę, i tak mi się przedstawił, a fakt, że MEN zalecał programy „małych ojczyzn", nie oznacza ani tego, że są one wszędzie wprowadzane, ani tym bardziej, że cieszą się specjalnym zainteresowaniem samorządu, ani wreszcie, że są specjalnie wspierane finansowo przez samorząd. Jak wynikało z tego co mi powiedziano w Płońsku i co potwierdził sam pan Pietrasik, tak właśnie wyglądało wprowadzenie programów o historii lokalnej w tym mieście.

Pani Mirosława Krysiak ponownie potwierdza, że początkowo chciano skoncentrować się na historii współżycia Polaków i Żydów na Mazowszu, ze szczególnym uwzględnieniem Płońska i jego okolic.

Jeśli idzie o finanse, do których p. Pietrasik ponoć „nie miał serca", znów z tego samego źródła otrzymałem informację, że najtrudniejsze było zdobycie funduszy na rozruszanie całej imprezy. Pan Marian Michniewicz był niesłychanie rzutkim poszukiwaczem sponsorów w końcowym etapie, kiedy sprawa nabrała już rozgłosu i kiedy pozyskanie tych sponsorów było znacznie łatwiejsze. (Co niczego jego zasług na tym polu nie ujmuje.)

Autor listu nie ukrywa, że najbardziej poruszyło go moje stwierdzenie, iż „zabrakło kurtuazji i umiejętności współdziałania". Podczas uroczystości finałowych konkursu obecny burmistrz Płońska wielokrotnie uczciwie przypomniał, że inicjatywa tego konkursu wyszła od poprzedniej ekipy samorządowej. Wydawało mi się i nadal mi się wydaje, że przy okazji tak udanej imprezy można było odłożyć partyjne podziały i realizować to do końca wspólnie, a jeśli nawet nie było to możliwe, to przynajmniej warto było stworzyć pozory i zaprosić głównego inicjatora tej imprezy do jury konkursu, lub w inny sposób zaprosić go do osobistego uczestnictwa w zakończeniu tego przedsięwzięcia. Wydaje się p. Marian Michniewicz nie zdaje sobie sprawy z tego, że w ocenie tej sprawy nie ma dla mnie żadnego znaczenia partyjna przynależność obydwu burmistrzów Płońska. Fakt, że główny inicjator tak znakomitej imprezy był gościem na cudzym weselu, wydawał mi się i nadal wydaje mi się brakiem kurtuazji i umiejętności współpracy.

Andrzej KORASZEWSKI

●

18 stycznia 2000

Szanowny Panie Redaktorze,

W listopadowym numerze *Kultury*, we wspomnieniu o Benedykcie Heydenkornie, jest wzmianka o katedrze języka polskiego na Uniwersytecie Torontońskim.

Takiej katedry na tym uniwersytecie nie ma. Jest natomiast stała katedra historii polskiej ufundowana w całości przez Polonię Kanadyjską. Inicjatorem działalności, w wyniku której zebrano ponad milion dolarów, był Stanisław Orłowski, ówczesny prezes Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Obecnie w ramach prac na katedrze szereg doktorantów przygotowuje prace doktorskie. O ile nam wiadomo jest to jedyna poza granicami kraju stała katedra historii polskiej. Oprócz katedry prowadzone są na Uniwersytecie Torontońskim, na którym liczbę studentów polskiego pochodzenia ocenia się na ponad 2000, kursy z zakresu polskiej kultury, literatury i języka polskiego. Kursy te są wspomagane finansowo przez Polonię Kanadyjską.

Pozostaję z poważaniem

Jerzy SŁUBICKI
Przewodniczący Komitetu Katedry Historii
na Uniwersytecie Torontońskim

●

13 lutego 2000

Szanowny Panie Redaktorze

Kończąc polemikę z Leopoldem Ungerem zapewniam, że nie chciałem mu udzielać lekcji demokracji. Po pierwsze – jakże bym śmiał. Po drugie – nie udzielam z zasady żadnych lekcji dorosłym facetom. Są nieefektywne.

Unger ma paradoksalny stosunek do demokracji i zbyt wysoko trzyma o wybranych, zbyt nisko o wyborcach. Tymczasem głupstwa robią i ci, i ci – i na ogół nie wiadomo z góry, którzy większe.

Akces do Unii Europejskiej nie jest decyzją techniczną i argument o 40.000 ustaw unijnych nie ma nic do rzeczy. Zapewniam, że zwykły poseł zna je niemal równie słabo jak zwykły obywatel. Zresztą, właśnie dla Ungera–przyjaciela Unii powinno być jasne, że koncentracja na tej czy innej ustawie lub regulacji unijnej zazwyczaj źle wróży: taki poseł lub taki wyborca na pewno będą chcieli się targować. Akces do Unii jest bardzo złożoną decyzją ideową, kulturalną i polityczną, która angażuje, bez żadnej przesady, tożsamość człowieka i jego stosunek do własnego kraju. I nie ma żadnych dobrych racji, by Polakom odmawiać poczucia odpowiedzialności i prawa do odpowiedzialności, z którego korzystać i będą korzystały inne narody kandydujące do UE.

Wreszcie: żałuję, że mój oponent nie zechciał się ustosunkować do kluczowej kwestii w polemice. Referendum jest wielką próbą dla władzy, która musi przekonać wyborców do swojej sprawy. W Polsce, gdzie umiejętność dialogu społecznego jest dziś nikła, taka próba referendalna powinna się również przyczynić do podniesienia poziomu uprawiania polityki.

Łączę pozdrowienia

Krzysztof WOLICKI

Rzym, 10 stycznia 2000

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

w ostatnim numerze *Kultury* (12/1999, s. 156) przeczytałem z przyjemnością notatkę o naszym włosko-polsko-ukraińskim *table ronde* poświęconym twórczości Słowackiego. Pozwolę sobie tylko zauważyć, że spotkanie odbyło się w Stacji Naukowej PAN w Rzymie, a nie w Instytucie Polskim, skądinąd bardzo aktywnym.

Następne włosko-polsko-ukraińskie spotkanie zaplanowaliśmy na 9 lutego. Będzie to promocja „Historii literatury ukraińskiej" po włosku, wydanej tutaj przez prof. Oxanę Pachlowską z Ukraińskiej Akademii Nauk i Uniw. Rzymskiego „La Sapienza".

Życząc Panu osobiście i *Kulturze* szczęśliwego Nowego Roku, wyrazy głębokiego szacunku łączę

Dyrektor Stacji Naukowej PAN w Rzymie
prof. Krzysztof ŻABOKLICKI

SPROSTOWANIE

Dobrzyń, 15.02.2000 r.

Szanowny Panie Redaktorze:

Dziś dopiero otrzymałem styczniową *Kulturę*. Jest mi okropnie przykro, że do mojego artykułu o „Kościelnych pieniądzach" wkradł się błąd, a dokładniej nie uwzględniono przesłanej poprawki do wypowiedzi księdza Adama Bonieckiego. Stosowny fragment dotyczący włoskiego systemu finansowania Kościoła powinien brzmieć: „Ksiądz Adam Boniecki pisał w swoim liście, że od jakiegoś systemowego uregulowania kwestii finansów Kościoła nie da się uciec i że on osobiście jest zwolennikiem systemu włoskiego, a więc pozostania przy dobrowolnych ofiarach wiernych plus subwencjonowania Kościoła z podatku od osób fizycznych. Dokładniej rzecz biorąc system polega na tym, że, poniżej jednego procenta wpływów z podatku od osób fizycznych państwo przekazuje Kościołom lub na cele charytatywne, zgodnie ze wskazaniem samych podatników".

Przesyłam serdeczne pozdrowienia

Andrzej KORASZEWSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Barbara S., Polska: **– Pani scenki kabaretowe nie należą do udanych, podobnie jest w wypadku wierszy. Pisze Pani np. o gnatach, które „oczu nie otwierały i były blade od szukania". Co to może znaczyć?**

Kazimierz M., Polska: **– Gdy Pan z uwagą przeczytał swój własny dystych, zrozumie Pan, dlaczego nie porywa on siłą poetyckiego wyrazu: „Więc obraz mistrza udany nieskalanie / Ciepłymi kolorami jedną cierpienie ze smakiem".**

Robert L., Polska: **– W wierszu poświęconym Wojaczkowi pisze pan: „Była potrzeba poezji. (...) I była potrzeba potrzeby". Cóż – zapewne nie do końca zdaje pan sobie sprawę z wieloznaczności używanych słów, a to poezji dobrze nie wróży.**

Stanisław S., Polska: **– Potrafi Pan zaintrygować: „co mówię i piszę co też cicho myślę / starannie notują tajni modelarze / każde posunięcie ma tam u nich kreskę / a następne w przedczas ma projektowanie". Tajemnicze to bardzo, ale – jak i w pozostałych wierszach – pełne poetyckiej „waty" (choćby owo „ma tam" upchane dla zachowania rytmu").**

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 1ère trimestre 2000.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:
Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obł.,
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04
Fax: 01-39-62-57-52
e-mail: kultura@club-internet.fr

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 2000		
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: W. Luterek (adres w Szwecji). Konto w BG-Bank A/S nr1-687-7179	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: **Barbara Malak-Minkiewicz**, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260,fax: (613) 789-1051; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	$ can.13,00	$ can.75,00	$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; **POLONIA Bookstore,** 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books**, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»**, 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	$ US 11,00	$ US 60,00	$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
***Przesyłka* pojedynczego numeru – F. 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. 18-228-56 W020 (*z Francji*) lub C.C.P. 18-228-38 B020 (*z zagranicy*)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSŁAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA" (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE" (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464 **Cena F. 200,00**

●

Tom 509 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT

STO TRZYDZIESTY

zawiera opracowania: A. Nowak: ***Polityka „rosyjska" obozu Piłsudskiego w latach 1914-1918;*** **Grzegorz Mazur:** ***Polityka sowiecka na „Zachodniej Ukrainie" 1939-1941 (zarys problematyki);*** **J.W. Solecki:** ***Unia, własność, sprawiedliwość;*** **T. Mianowicz:** ***Mniejsze zło. Taktyka PZPR w 1989 r.;*** **A. Rudzińska:** ***Mój KOR. Czerwiec 1976 – styczeń 1980;*** **M. Bernhardt:** ***Byłem przymusowym ochotnikiem;*** **T. Wyrwa:** ***Monografia o Pawle Edmundzie Strzeleckim;*** **J.R. Krzyżanowski:** ***Powieść o Krystynie Skarbek;*** **K. Czyżewski:** ***Studium zniewolenia; Książki nadesłane;*** **L. Gruszczyński:** ***Zjazd historyków we Wrocławiu;*** **J. Cisek:** ***Amerykański Legion dla Polski?*** **P. Daszkiewicz:** ***„Jeniec Polak" w osiemdziesiątą rocznicę zakończenia działalności;*** **P. Owcarz:** ***Jeszcze raz Oświęcim;*** **M. Bornet:** ***Pierwsi żołnierze polscy w Rzymie w 1944 roku;*** **LISTY DO REDAKCJI.**

Str. 240 **Cena F. 90,00**

Cena 55 F

I.N., 93400 St-Ouen – 5187 - 2000